

almanach

KULTURY KOSZALIŃSKIEJ 2020



aLmanach

KULTURY KOSZALIŃSKIEJ

2020



Koszalin 2021



Almanach Kultury Koszalińskiej 2020
wydany z inicjatywy Rady Kultury przy Prezydencie Miasta Koszalina

Przewodnicząca Rady Kultury:
Ewa Czapik-Kowalewska

Kolegium redakcyjne:
Piotr Pawłowski – przewodniczący
Aleksandra Barcikowska
Anna Popławska
Izabela Rogowska
Łukasz Waberski

Redaktor prowadząca:
Anna Makochonik

Fotografie i fotoedycja:
Izabela Rogowska
Magdalena Pater

Wydawca:
Koszalińska Biblioteka Publiczna
75-415 Koszalin, plac Polonii 1, tel. 94 348 15 40

Opracowanie graficzne:
Piotr Witkowski

Projekt okładki:
Sara Olszewska

Druk:
Intro-Druk Koszalin

W *Almanachu Kultury Koszalińskiej 2020* wykorzystane zostały fotografie z zasobów archiwalnych koszalińskich instytucji, placówek kulturalnych i prywatnych, fotografie prasowe udostępnione przez organizatorów imprez. Dziękujemy za użyczenie zdjęć Mariuszowi Czajkowskiemu, Kamilowi Jurkowskiemu, Ilonie Łukjaniuk, Tomaszowi Majewskiemu i Agnieszce Orsie.

www.biblioteka.koszalin.pl/wirtualna-czytelnia/

Nakład: 800 egz

ISSN 2450-8691

Szanowni Państwo,

Miniony rok był czasem specyficznym, czasem, który – mam nadzieję – za chwilę odejdzie w najciemniejsze mroki zapomnienia. Koronawirus odcisnął piętno na wielu dziedzinach naszego życia, ale bez wątpienia mocno uderzył w kulturę. Zamknięte teatry, galerie, kina, biblioteki – czy ktoś z Państwa kiedyś wyobrażał sobie taką sytuację? Chyba jedynie miłośnicy literatury fantastycznej. To, co wydawało się jeszcze rok temu czymś odległym i nie pasującym do otaczającej nas rzeczywistości, swego rodzaju snem historyka, zapukało do naszych drzwi, wcisnęło do naszego codziennego życia i wygodnie się rozgościło. Ten nieproszony gość już dawno stał się gościem niepożądanym i czas najwyższy, by opuścił nas na zawsze. Na pewno nie będziemy za nim tęsknić.

Czy epidemia i związana z tym nowa sytuacja sprawiły, że miniony rok koszalińska kultura może spisać na straty? Na szczęście nie. Widać to chociażby po zawartości niniejszego „Almanachu”. To nie są puste kartki, które świadczyłyby o śmierci życia duchowego koszalinian. Ludzie kultury jak zwykle pokazali, że na ich wyobraźnię zawsze można liczyć, a pomysły na wypełnienie covidowej pustki zaskakiwały swoją różnorodnością.



Co zatem warto odnotować? Wydaje się, że przede wszystkim nową scenę artystyczną na mapie kulturalnej Koszalina, czyli Teatr Muzyczny Adria. Gorszego momentu startu nie można sobie wyobrazić, a jednak zespół nie załamał rąk i udało się wystawić pierwszy musical *The Bodyguard*, który od razu zyskał wielką sympatię

widzów. Sceniczny krajobraz uzupełniły spektakle Bałtyckiego Teatru Dramatycznego i Teatru Propozycji „Dialog”, który pod nowym zarządem zaczyna kreować nową wizję funkcjonowania placówki. Dodajmy do tego liczne, choć ograniczone w swoim zasięgu i możliwościach, festiwale, remont amfiteatru i ministerialną nagrodę za wyremontowanie kościoła w Jamnie – kulturalny obraz Koszalina Anno Domini 2020, mimo przeciwności losu, wygląda naprawdę okazale.

Koszalińska kultura jest niezwykle ważnym elementem życia miasta i jego mieszkańców. Na tyle dużo się w niej dzieje, wiele nowych talentów rodzi, a jednocześnie jest na tyle ulotna, że warto przypominać jej osiągnięcia, by nie pokryła ich mgła zapomnienia.

Piotr Jedliński
Prezydent Koszalina

Drodzy Czytelnicy!

Rok 2020 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia. Parafrazując Henryka Sienkiewicza, ze smutkiem zauważam, że osią ubiegłorocznych wydarzeń stała się pandemia. Za jej przyczyną istotnie zmieniło się funkcjonowanie państw, społeczeństw, firm, instytucji i wszystkich nas prywatnie. Dotknęła niemal każdej dziedziny życia, a widmo kryzysu wywołało szereg refleksji i wieloaspektowych problemów. Wśród nich nade wszystko znaczący wydaje się realny wpływ pandemii na kulturę, w wyniku czego funkcjonowanie całego sektora wymagało gruntownego przeorganizowania. Perspektywa roku, mimo iż daje pewne rozwiązania i doświadczenia, nadal zmusza nas do rozpatrywania różnych scenariuszy. Dotychczasowe konteksty z pewnością ulegną zmianie. „Skrepowanie” życia kulturalnego i prywatnego już pociągnęło za sobą długofalowe zmiany zjawisk kulturowych – na przykład mobilności artystów, co w ostatnich latach stanowiło istotny filar działalności twórczej. Musimy jako artyści i odbiorcy kultury przekonfigurować dotychczasowe modele pracy, zasady funkcjonowania organizacji i instytucji, spędzania wolnego czasu, a co za tym idzie uczestnictwa w kulturze. O ile kwestie przyszłości pozostają nieznane, o tyle procesy transformacji i kształtowanie nowych trendów dostrzegalne są już dzisiaj.

Po początkowym zaskoczeniu i widocznej dezorganizacji, środowisko kultury natychmiast podjęło świadome działania dostosowawcze, mające na celu podtrzymanie aktywności oraz próby opracowywania strategii dalszego postępowania w nowej rzeczywistości. Mimo że odwołano wiele imprez i festiwali, a kto mógł przekładał swoje projekty w czasie, twórcy podjęli ogromny wysiłek błyskawicznego dostosowania się do realiów, by za pomocą dostępnych środków utrzymać się w świadomości odbiorców. Szczególną rolę w tym zakresie odegrały nowoczesne technologie, dzięki którym możliwe i realne na dużą skalę stało się stwo-

zenie różnych form ekspresji zdalnej. Aktywność w ogromnej mierze przeniosła się w sferę wirtualną, włączając przestrzeń prywatną twórców do sfery publicznej. Zobaczyliśmy artystów w ich domach, zmienionych w sale koncertowe czy teatralne, i sami zamieniliśmy swoje mieszkania w domowe centra odbioru. Sektor kultury, który do tej pory borykał się z wieloma problemami, głównie dotyczącymi praw pracowniczych i niskich zarobków, podczas pandemii został wystawiony na prawdziwą próbę. Wielu artystów

utraciło częściowo lub całkowicie swoje dochody i stanęło przed widmem przebranżowienia. Zamknięcie kultury dotknęło tych, którzy nie mogli swojej sztuki pokazać, jak i tych, którzy nie mogli sztuki odebrać na dawnych zasadach.

Jednocześnie to branża artystyczna była tą, która wręcz kaskadowo wyzwalała swoją kreatywność.

Tegoroczny „Almanach” nie jest wątpli. Koszalińska kultura „działa się”, tam gdzie mogła, uporczywie broniąc się przed niebytem. To właśnie w 2020 roku jako Rada Kultury mieliśmy możliwość współtworzyć

program stypendialny dla artystów, którego pilotażowa edycja, mimo trudności i technicznych ograniczeń w realizacji, cieszyła się ogromnym zainteresowaniem. Mam nadzieję, że program ten wesprze twórców nie tylko w pracy, ale i rozwoju i przede wszystkim będzie powodem do satysfakcji.

Zapraszam do lektury. Twórcom, animatorom i uczestnikom wydarzeń serdecznie gratuluję i dziękuję za trudny i niezapomniany rok. Życzę nam wszystkim, żebyśmy wkrótce znów mogli się spotkać w każdej dziedzinie sztuki – bez bariery online – w teraźniejszości, wspólnie przeżywanej chwili, współobecni w akcie twórczym, emocjach, wzruszeniu. Do jak najszybszego spotkania!

Ewa Czapik-Kowalewska,
przewodnicząca Rady Kultury przy Prezydencie Koszalina





KULTURA W KWARANTANNIE

Co drugi fotel pusty

Kultura stała się papierkiem lakmusowym przemian wywołanych przez COVID-19. Izolacja od bezpośredniego udziału w kulturze, dziedzinie rozwijającej i integrującej środowiska, wrażliwej na restrykcje i ograniczenia, jeszcze dokładniej niż na przykład biznes i edukacja, uświadomiła nam, ile codziennie tracimy na zagrożeniu. Równocześnie jednak, ile zyskamy, kiedy groza minie. Kultura trwa – to najważniejszy wniosek z dziesięciu miesięcy pandemii 2020 roku. Wprawdzie w ograniczonej i najczęściej niebiletowanej formie, mimo to żyje dzięki internetowi. Co wydarzy się w 2021 roku? W pandemii nieprzewidywalność zdarzeń była – i pozostaje – najtrudniejszą przeszkodą w organizacji i planowaniu czegokolwiek, zwłaszcza w kulturze.

Pierwszy w Polsce przypadek pacjenta z chorobą zakaźną COVID-19, wywołaną wirusem SARS-CoV-2, został stwierdzony 4 marca 2020 roku.

Sześć dni później premier Mateusz Morawiecki wydał decyzję o zakazie organizacji imprez masowych. W Koszalinie pierwszym oficjalnie odwołanym wydarzeniem kulturalnym był koncert Julii Marcell w Polskim Radiu Koszalin. Wówczas jeszcze nikt nie przypuszczał, że kwarantanna kultury polskiej potrwa dłużej niż do końca roku.

Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog” zawiesiło do odwołania swoje wydarzenia, a organizator 5. Dziecięcego Festiwalu Sztuki Filmowej, Centrum Kultury 105 (CK 105), tłumacząc decyzję dbałością o bezpieczeństwo uczestników, postanowił przenieść „Filmoniadę” na termin majowy.

Pierwsze dwa tygodnie

11 marca premier ogłosił zawieszenie publicznej działalności instytucji kultury w całym kraju. Placówki kulturalne zostaną zamknięte natychmiastowo – brzmiał komunikat. Stało się jasne, że kultura, dla dobra jej odbiorców, stanie się jedną z wielu ofiar koronawirusa.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (MKiDN) poinformowało: „(...) sztab kryzysowy z udziałem ministra (...) zdecydo-



wał o zamknięciu od 12 do 25 marca 2020 roku instytucji kultury”.

Tego samego dnia prezydent Koszalina Piotr Jedliński zwołał konferencję prasową, w której wzięli udział dyrektorzy instytucji kultury. – Mówimy dzisiaj nie o możliwości, lecz o konieczności – przekonywał. – Placówki zamykamy na najbliższe dwa tygodnie.

Piotr Jedliński zaapelował do koszalinian: – Przyzwyczailiśmy się do ogromnej ilości imprez kulturalnych. Musimy na dwa tygodnie

uzbroić się w cierpliwość. Właściwie nie mamy innego wyjścia.

Podobnej treści komunikat prezydent powtórzy w połowie kwietnia, ale wówczas wirus stanie się już codziennością Polaków.

Próby na scenie i w domu

Dyrektorzy powiadomili o odwołaniu lub przeniesieniu w czasie największych imprez swoich placówek. Instytucje zostały zamknięte dla publiczności, co nie oznaczało, że również dla pracowników. – Prób i przygotowań do spektakli premierowych nie przerywamy – oświadczył Zdzisław Derebecki, dyrektor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego (BTD). – Terminy premier ulegną zmianie, działalność zawieszamy do kwietnia.

Radykalna zmiana sytuacji zastała na scenie aktora Piotra Krótkiego, który na 35-lecie pracy artystycznej przygotowywał monodram *Audycja IV* Bogusława Schaeffera (planowana data premiery: 17 kwietnia). – Nie da się tak do końca zatrzymać procesu twórczego – uznał Piotr Krótki, który podjął się również reżyserii spektaklu. – Większość najtrudniejszej pracy mam za sobą, potrzebuję kilku tygodni ostatnich przygotowań.

Kasy biletowe zamknęła Filharmonia Koszalińska (FK). – Do 3 kwietnia odwołaliśmy wszystkie koncerty – mówił Robert Wasilewski, dyrektor FK. – Obiekt został wyłączony z życia kulturalnego. Muzyków zobowiązałem do indywidualnej pracy w domu.

W CK 105, które organizuje największą ilość imprez, udało się zmienić terminy większości z nich. – Podpisaliśmy nowe umowy – tłumaczył Paweł Strojek, dyrektor CK 105. – Zajęcia wstępnie odwołaliśmy na dwa tygodnie. Pracownicy pozostają na stanowiskach.

„Grafik” tylko elektroniczny

Odwołane zostały zajęcia artystyczne w Pałacu Młodzieży, który podlega pionowi edukacji. – Decyzja objęła sześć instytucji kultury – podsumował Przemysław Krzyżanowski, zastępca prezydenta Koszalina. – W sumie odwołaliśmy około pięćdziesięciu imprez i wszystkie zajęcia stałe.

Kluby osiedlowe, organizujące spotkania z artystami, wystawy, koncerty, również okresowo zawiesiły działalność. – Odbiorcami naszej oferty są głównie seniorzy – przypomniała Iwona Augustyniak z Klubu Osiedlowego „Bałtyk” Koszalińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Na Skarpie”. – Nie chcieliśmy narażać ich na niebezpieczeństwo.

Odwołanie działań kulturalnych postawiło w trudnej sytuacji

redakcję miesięcznika „Koszaliński Grafik Kultury”. – Wydawnictwo opiera się na zapowiedziach imprez – mówiła Anna Makochonik, dziennikarka kulturalna koordynująca publikację obydwu „Grafików” – elektronicznego i drukowanego – oraz „Almanachu Kultury Koszalińskiej”.

Kwietniowe i majowe wydanie „Grafiku” zastąpiło specjalne wydanie online. Miejsce rubryk z datami, nazwami i miejscami odbywania się imprez zastąpiły teksty o charakterze publicystycznym. Zaplanowany na 2020 roku III Koszaliński Kongres Kultury początkowo został przełożony na jesień, a później na 2021 roku.

Zmiana stylu życia

Automatycznie odwołana została – zaplanowana na 20 marca – Gala Koszalińskiej Kultury, połączona z promocją „Almanachu Kultury Koszalińskiej 2019”. Publikacja została wydana, w dystrybucji znalazła się z opóźnieniem, ale wcześniej – w wersji pdf – trafiła na strony instytucji kulturalnych. „Almanach” poradził sobie bez promocji. – Zamiast podczas gali, lista laureatów nagród prezydenta Koszalina w dziedzinie kultury opublikowana została na stronie głównej Urzędu Miejskiego i w „Grafiku” – wyjaśniła Anna Makochonik. – Jak każdego roku, była także dostępna w „Almanachu”.

Wirus na miesiące i wiele sposobów odmienił kulturę. Pojawiły się nowe problemy i pomysły, wszystko to jednak koncentrowało się na unikaniu kontaktu i uczestnictwa, co w każdej dziedzinie sztuki jest podstawą jej odbioru.

Koronawirus rozpedził rynek mobilny nad Wisłą – ogłosiła 18 marca Wirtualna Polska, dodając, że najpopularniejsze aplikacje pokazały, jak w ciągu zaledwie tygodnie zmienił się nasz styl życia. Życia, ale także uczestnictwa w kulturze.

Kultura wyłącznie online

Dzisiaj słowem ważniejszym niż koronawirus jest odpowiedzialność – padło podczas jednej z wielu konferencji prasowych zorganizowanych przez koszaliński ratusz, transmitowanych w sieci i retransmitowanych przez telewizję „Max”. Nie były to jednak typowe konferencje, ze względów bezpieczeństwa dziennikarze swoje pytania zadawali mailowo lub esemesowo. Z tych przekazów mieszkańcy na bieżąco dowiadywali się o decyzjach samorządu, zmianach w funkcjonowaniu instytucji, profilaktyce.

Wiele osób, dotąd zabieganych, nagle uświadomiło sobie, że być

to nie mieć, lecz przetrwać, a przetrwanie wymagało przestrzegania nowych zasad.

#zostanwdomu – ta akcja stała się elementem postawy obywatelskiej i odpowiedzialności za siebie i innych. W otoczeniu domowym fotografowali się artyści, naukowcy, przedsiębiorcy i politycy. Miara rozważań i wyobraźni stało się unikanie skupisk, a nowym krajobrazem miast – wyludnione ulice, place, miejsca użyteczności publicznej.

Kultura online – to hasło, które zdominowało myślenie o kulturze w ogóle. Okazało się, że dzięki sieci jest taniej, szybciej, wygodniej i bezpieczniej, co przez pierwsze miesiące miało znaczenie, a w drugiej połowie roku przybrało formę zła koniecznego.

Nowy wzorzec uczestnictwa

Przed koronawirusem często mówiliśmy o problemach: dostępności do kultury i uczestnictwa w kulturze. Szukaliśmy przyczyn spadku liczby widzów, słuchaczy, odbiorców. W kryzysie okazało się, że życie mobilne to także życie w tym samym miejscu i w bezruchu, co zrodziło potrzebę obecności w kulturze tu i teraz, bez tłumów i wychodzenia z domu.

Poprzez zamknięcie, a w następnych tygodniach izolację, powstał nowy wzorzec udziału w kulturze i postępowania, dotąd głównie kojarzony z filmem, częściej i łatwiej oglądanym z poziomu fotela domowego niż kinowego.

Z Koszalińskiej Biblioteki Publicznej napłynął komunikat do czytelników: „Biblioteka nie może [obecnie] udostępniać książek, polecamy platformę lektury.gov.pl, na której znajdują się lektury w formie e-booków”. – Przypomnieliśmy o tej możliwości po interwencji rodziców, którzy dopytywali się o dostęp do lektur szkolnych – tłumaczył Dariusz Pawlikowski, dyrektor KBP. – Popularnością cieszą się sieciowe źródła pozyskiwania nowych tytułów.

W KBP odwołane zostały wszystkie spotkania autorskie z pisarzami i pisarkami. Wieczory literackie organizowało Stowarzyszenie Unia Literacka, a transmitowane były one w mediach społecznościowych.

Nieprzewidywalność zdarzeń

Choć sceny są zamknięte, pracownicy centrów życia kulturalnego na brak pracy nie narzekają i na nowo układają kalendarze koncertów i wydarzeń – obwieściła w mediach FK i 18 marca, a więc po tygodniu od zamknięcia, uruchomiła kasę biletową ze sprzedażą

wejściówek na koncerty przełożone z wiosny na późne lato i jesień. Otwarcie kasy umożliwiło również zwrot pieniędzy za wcześniej wykupione bilety.

W połowie marca dyrektorzy instytucji kultury zdecydowali o przesunięciu swoich pracowników do pracy zdalnej – z miejsca zamieszkania.

W BTD próby do nowej premiery – baśni dla dzieci *Kazuko* w reżyserii Laury Sonik – miały odbywać się do 28 marca (data premiery). Później na ten dzień zaplanowana została kolaudacja przygotowanego do prapremiery przedstawienia. Próby odbywały się w wąskim gronie, mimo to tydzień wcześniej dyrektor teatru podjął decyzję o zawieszeniu dalszych prac nad spektaklem. – Zagrożenie wzrosło, o przerwę wnioskowali też aktorzy – tłumaczył Zdzisław Derebecki (baśń swoją premierę miała w marcu 2021 roku – dop. red.).

Kultura bezpłatna, realizowana społecznie i bez ograniczeń budżetowych, stanowi niewielką część działań artystycznych. Problem zaczyna się wszędzie tam, gdzie kasa biletowa zaczyna świecić pustką. Zamknięcie instytucji i odwołanie wydarzeń uderzyło po kieszeni artystów z pensją podstawową, najczęściej najniższą krajową i honorariami za występy. Dla nich pojęcie przetrwania nabrało znaczenia podwójnego.

Większa wartość wsparcia

21 marca MKiDN poinformowało o przedłużeniu do odwołania ograniczenia działalności instytucji kultury. Wielu animatorów mniej zaniepokoiło samo zamknięcie, ponieważ jego kontynuacja była łatwa do przewidzenia, a bardziej brak konkretnych terminów. W kwietniu mogło to oznaczać, że kultura zostanie odmrożona dopiero jesienią.

– Realizacja umów z wykonawcami to teraz nasze najważniejsze zmartwienie – przyznała Monika Modła, zastępczyni dyrektora CK 105. – Tuż po 12 marca przenieśliśmy wydarzenia z pierwszej połowy roku na drugą.

Podobnie jak inne instytucje, CK 105 zadeklarowało, że z tytułu zmian w harmonogramie i repertuarze nie poniesie żadnych strat. Stratni mogli okazać się wyłącznie koszalinianie, jak w przypadku majowych Dni Koszalina, początkowo również przeniesionych na inny termin, a ostatecznie zorganizowanych w internecie.

850 tysięcy złotych – tyle Sejmik Województwa Zachodniopomorskiego przeznaczył w 2020 roku na wsparcie Filharmonii Ko-

szalińskiej i Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, a precyzyjnie – na koncerty i spektakle realizowane w różnych miejscowościach Pomorza Zachodniego.

Drugi miesiąc izolacji

FK otrzymała 350 tysięcy złotych. W 2020 roku miało odbyć się 15 koncertów poza Koszalinem, w tym w Kołobrzegu, Szczecinku, Polanowie, Sławnie i Darłowie oraz w ramach 54. Międzynarodowego Festiwalu Organowego.

Do BTD trafiło pół miliona złotych. Teatr na 2020 roku zaplanował siedem premier, organizację 11. Koszalińskich Konfrontacji Młodych „m-teatr” i 40 przedstawień poza sceną koszalińską, w tym w Białogardzie, Kołobrzegu, Sławnie i Darłowie.

Przypadający na 27 marca 59. Międzynarodowy Dzień Teatru, z powodu zamknięcia scen, miał wymiar symboliczny. W liście do widzów Zdzisław Derebecki, napisał: „Nasze święto (...) przypada w czasie trudnym, pełnym niepokoju o teraźniejszość i przyszłość. (...) wierzymy, że wkrótce wrócimy do Państwa z nową energią wypływającą z robienia tego co kochamy najbardziej – tworzenia spektakli dla Was, naszych widzów”.

W BTD święto teatru miała zwieńczyć wspomniana premiera *Kazuko*, do której próby zostały odwołane. – Nawet nie możemy podać nowego terminu premiery – oświadczył Zdzisław Derebecki. – Wszystko stało się niepewne.

Równolegle premierę świąteczną odwołał Teatr „Dialog”, który na ten dzień zaplanował, oparty na twórczości Fiodora Dostojewskiego, monodram *Iwan Karamazow zwraca bilet* w wykonaniu Michała Studzińskiego i w reżyserii Stanisława Miedziewskiego.

Drugi miesiąc izolacji nie przyniósł zmian. Na stronach instytucji na bieżąco publikowane były informacje o sieciowych zasobach muzyki, spektakli teatralnych i filmów oraz z innych obszarów działalności online.

W masceczkach i z dystansem

Filharmonia Koszalińska udostępniła załogom karetek pokoje gościnne. Robert Wasilewski przyznał, że pomoc ratownikom medycznym to obowiązek każdej instytucji.

„Czas zarazy zmusił całą branżę filmową do przymusowej kwarantanny! Zmusił i nas do zmiany terminu tegorocznej edycji Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych, zaplanowanej na czerwiec br. – napisał 17 kwietnia w liście otwartym Janusz

Kijowski, dyrektor programowy festiwalu „Młodzi i Film”. – Nie poddajemy się jednak”.

Organizatorzy zdecydowali o przeniesieniu festiwalu na termin jesienny: 1 – 5 września. Obowiązywało noszenie maseczek ochronnych i zachowanie dystansu społecznego. Początek maja przyniósł znoszenie ograniczeń.

Kultura cierpliwie stała w kolejce do zdjęcia zakazów. Po „majówce” brak kontaktowego odbioru sztuki i kontaktu artystów z jej odbiorcami stał się problemem artykułowanym już przez wszystkich i wszędzie. Przyzwyczajenie – to kolejne słowo istotne w pandemii. Trudno przyzwyczaić się do zagrożenia i izolacji, mimo to poczucie braku wpływu na wydarzenia i nieprzewidywalny rozwój zarazy u wielu osób obudziły nowe pokłady aktywności.

W samym budynku teatru, podobnie jak w innych instytucjach kulturalnych, trwały porządki i przygotowania do wznowienia działalności.

Oczekiwanie na lepsze czasy

Muzeum w Koszalinie odwołało wydarzenia zaplanowane na maj i czerwiec. Obsługa interesantów została ograniczona do kontaktów telefonicznych i mailowych. Muzeum wykorzystało czas pierwszego zamknięcia, od marca do maja, na remonty magazynów, przeprowadzki zbiorów i przygotowania do nowych ekspozycji, a także tworzenie nowej koncepcji konserwacji obiektów muzealnych.

Pracownicy KBP codziennie proponowali czytelnikom nowe lektury, zabawy literackie i spotkania online, a poza tym zajmowali się opracowaniem zbiorów i powołali Biblioteczny Parasol Ratunkowy.

W CK 105 zapanowała cisza, kino zostało zamknięte już w marcu, a zajęcia przeniesione do sieci. Niektóre z nich cieszyły się tak dużą popularnością, że dynamika wejść blokowała profil centrum na FB. Powodzeniem cieszyły się kwietniowe konkursy na filmik prezentujący domowe zwierzę i na autorskie nagranie ulubionej piosenki.

Sala koncertowa Filharmonii Koszalińskiej pozostała zamknięta, lecz ruszyły przygotowania do nowego sezonu i organizacji koncertów przeniesionych z wiosny. Muzycy orkiestry ćwiczyli w warunkach domowych, Familijny Park Sztuki przeniósł się do internetu, a 56. Międzynarodowy Festiwal Organowy musiał poczekać na lepsze czasy, czyli wznowienie działalności FK.



Kolejka do Koszalińskiej Biblioteki Publicznej w dniu otwarcia po pierwszym lockdownie w maju, 2020 roku

Czwarty etap odmrażania

O podopiecznych nie zapomniał Pałac Młodzieży, który swoją działalność zaprojektował dwutorowo. – Największą aktywność generują oczywiście media społecznościowe, w których proponujemy zajęcia wielotematyczne – tłumaczyła Iwona Potomska, dyrektorka Pałacu Młodzieży. – Drugim rodzajem interakcji są organizowane przez instruktorów konkursy dla dzieci i młodzieży.

Zgodnie z decyzją rządu, kultura znalazła się w drugim etapie odmrażania, co oznaczało, że biblioteki, muzea i galerie sztuki zostały otwarte równolegle ze sklepami budowlanymi i hotelami.

Kultura w pandemii nie miała szczególnych preferencji, a w wielu przypadkach skazana była na nie zawsze trafne wyobrażenie urzędników ministerialnych o działalności instytucji kulturalnych.

W czwartym etapie otwarte zostały teatry i kina, ale w nowym reżimie sanitarnym. Po trzech miesiącach od przedostania się wirusa do Polski, słownik pandemii Polaków wzbogacił się o pojęcia, które miały zostać z nami na długo. Obostrzenia, sankcje, ograniczenia, nadzór, reżim sanitarny i epidemiczny – to słowa najczęściej używane. Część instytucji, poza np. kinami, została otwarta 4 maja.

Po pierwsze: bezpieczeństwo

Decyzję o trybie i tempie otwierania instytucji w każdym przypadku miał podjąć dyrektor placówki. W Koszalinie instytucje zostały odmrożone zgodnie ze wskazaniami samorządu i wytycznymi resortowymi.

Zgodnie z tymi rekomendacjami: muzea i galerie sztuki powinny ograniczyć liczebność zwiedzających, zmieniać trasy zwiedzania tak, aby zapewnić utrzymanie bezpiecznego dystansu i zaniechać organizacji wydarzeń dla większych grup.

W pierwszym okresie, udostępnianie obiektów miało być działalnością równoległą do udostępniania zbiorów online. – Zamykamy czytelnię, nie będzie możliwości wypożyczenia czasopism – mówiła Barbara Wysmyk z Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Działalność wznowiła Bałtycka Galeria Sztuki w CK 105, która zaplanowała dwie wystawy: plakatów Rafała Olbińskiego (wewnątrz galerii) oraz fotografii Wojciecha Druszcza *Portret intymny* (w holu kina Kryterium).

We wszystkich instytucjach po raz pierwszy pojawiły się stojaki z płynem dezynfekcyjnym, ograniczenia wejść, opakowania z maseczkami i rękawiczkami, przesłony ochronne z pleksi tam, gdzie obsługa wymagała bezpośredniego kontaktu z interesantem. Wszystkie obostrzenia pozostały z nami do końca roku.

Dni Koszalina tylko w sieci

Dni Koszalina 2020 online potrwały cztery dni. CK 105 przygotowało interpretację muzyczną (w wykonaniu duetu Katarzyna Stenzel i Radosław Czerwiński) utworu z repertuaru Marka Grechuty *Dni, których nie znamy*, konkursy tematyczne, a pod hasłem *Zaśpiewajmy Hymn Koszalina* internauci wykonali po fragmencie refrenu hymnu miasta *Pieśń o Ziemi Koszalińskiej* autorstwa Władysława Turowskiego.

Pod auspicjami Centrum Kultury 105 m. in. został zaprezentowany film Koszalińskiej Kompanii Rycerskiej, w którym członkowie organizacji prezentowali uzbrojenie i opowiadali, do czego służą jego elementy i odbył się koncert rodziny Barów *Baw się razem z nami* (pod opieką Jarosława Barowa).

Koszalińska Biblioteka Publiczna przypomniła sylwetkę Gracjana Bojara Fijałkowskiego, autora popularnych legend regionalnych. Z inspiracji KBP Andrzej Kuczkowski, historyk, archeolog i autor publikacji o historii regionu w krótkich filmikach nagranych na Górze Chełmskiej odniósł się do opowieści pisarza. Filharmonia Koszalińska zachęcała koszalinian do dopisywania dodatkowych zwrotek do jednej z pieśni Stanisława Moniuszki, nagrywania ich i wysyłania.

BTD przygotował film prezentujący kulisy teatru, czyli funkcjonowanie pomieszczeń, do których widzowi nie mają dostępu. Z okazji święta miasta Pałac Młodzieży zaproponował młodym i najmłodszym koszalinianom internetowy turniej szachowy, konkurs fotograficzny oraz prezentację *Dni Koszalina we wspomnieniach*. Wszystkie wydarzenia odbyły się na profilu FB Pałacu Młodzieży.

Ograniczenie liczby widzów

18 maja rząd uwolnił działalność kin plenerowych, w tym samochodowych i umożliwił wznowienie prób i ćwiczeń, nagrań w instytucjach kultury i zajęć indywidualnych w szkołach artystycznych.

W czerwcu stało się jasne, że nie wszyscy artyści i nie wszystkie – publiczne i prywatne – podmioty kulturalne będą mogły skorzystać z kolejnych uruchamianych przez rząd tarcz antykrzysowych. Minister Piotr Gliński zapowiedział wprowadzić wejście w życie ponad 30. programów socjalnych, lecz równocześnie – na antenie Polskiego Radia – przyznał, że podstawowym wsparciem dla artystów będzie trzymiesięczne „postojowe” w wysokości 80 proc. płacy minimalnej.

6 czerwca ruszyło kino Kryterium. Bałtycki Teatr Dramatyczny wznowił działalność dopiero 13 czerwca. Zdzisław Derebecki do końca sezonu artystycznego zaplanował sześć spektakli, każdy

z zachowaniem środków ostrożności. – Straconego czasu nie nadrobimy, natomiast zależy nam na tym, żeby nie stracić widzów – podkreślił. – Teraz najważniejsza jest dla nas premiera koncertu piosenek z PRL *Miłość, nostalgia i Rock'n'roll*.

Institucje z widownią musiały wprowadzić zmiany w sposobie funkcjonowania obiektów: ograniczyć liczbę widzów (najpierw o połowę, czyli pozostawiając co drugi fotel pusty, a jesienią nawet do 25 proc. publiczności) z zachowaniem bezpiecznych odległości, zamknąć szatnię, dezynfekować miejsca siedzące i ciągi komunikacyjne, zapewnić środki dezynfekcji. Widzowie mieli obowiązek noszenia maseczek na ustach i nosie także podczas spektakli.

Wirus w defensywie

Zagrodę Jamneńską, zamkniętą od marca, Muzeum w Koszalinie uruchomiło już 13 maja, lecz w czerwcu poszerzyło swoją ofertę o możliwość udostępnienia grupom zwiedzającym wybranych ekspozycji również w godzinach wieczornych – od 21 do 23 (z wyłączeniem poniedziałków).

Lato przyniosło pozorny odpoczynek od pandemii. Znacznie spadła liczba zakażeń w kraju, w Koszalinie okresowo niemal do zera. – Trochę odetchnęliśmy, że jeszcze nie wszystko stracone – mówił Paweł Strojek. – Wiosną wyglądało na to, że nie uratujemy żadnej z naszych imprez programowych. Pod koniec czerwca zaczęliśmy planować tegoroczną edycję festiwalu „Młodzi i Film”.

Lipiec i sierpień nie przyniosły większych zmian. Koszalińskie instytucje kultury nie powróciły do pełnej formy działalności. Wprawdzie realizowane były spektakle, koncerty, wernisaże, ale wszędzie obowiązywały surowe obostrzenia sanitarne.

Wiele imprez, jak np. cztery koncerty plenerowe Good Vibe Festiwal (GVF), poprzedziła wizyta inspektorów sanitarnych, którzy skrupulatnie sprawdzali organizację pod kątem bezpieczeństwa uczestników. – Nie mieliśmy wątpliwości, że gdybyśmy coś zaniedbali lub o czymś zapomnieli, towarzyszący inspektorom policjanci zamknęliby koncert – mówił Mateusz Prus, pomysłodawca i organizator GVF.

Zgodnie z nowymi obostrzeniami, w koncertach mogło wziąć udział tylko 150 osób, zachowujących dystans, sprawdzających temperaturę przy wejściu, dezynfekujących dłonie i uzbrojonych w maseczki. Do biblioteki powróciły spotkania z pisarzami. Do Koszalina przyjechali: Dominika Słowik (autorka *Zimowli*) i Ałbena Grabowska (autorka sagi *Stulecie Winnych*).

Z ministerialnego programu *Teatr i Taniec* Bałtycki Teatr Dramatyczny otrzymał 145 tysięcy złotych na organizację 11. Koszalińskich Konfrontacji Młodych „m-teatr 2020”, a Filharmonia Koszalińska 50 tysięcy złotych z programu *Muzyka* na organizację 54. Międzynarodowego Festiwalu Organowego.

Duch zagrożenia i niepokoju

BTD skorzystał z propozycji, jaką dawał program *Kultura w Sieci*, uruchomiony przez Narodowe Centrum Kultury, a finansowany przez MKiDN. Uzyskał dofinansowanie dla dwóch pomysłów realizowanych wspólnie ze stowarzyszeniem Aktoży po Godzinach.

We wrześniu odbyły się m.in. dwa spośród największych koszalińskich festiwali, czyli m-teatr (19 – 27 września) i 39. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film” (1 – 5 września). Te i wszystkie inne wydarzenia zostały przeprowadzone z zachowaniem obostrzeń sanitarnych, np. widzowie mieli do dyspozycji tylko połowę miejsc na widowni. Program „Młodych i Film” został ograniczony do prezentacji filmów i konkursu filmowego, organizatorzy zrezygnowali ze spotkań z aktorami i większości koncertów towarzyszących festiwalowi.

W przypadku „m-teatru” ograniczona została ilość nagród i spektakli konkursowych (nie odbyło się jedno z przedstawień). Wprawdzie, jak powiedział Zdzisław Derebecki, do teatru powrócili widzowie, a Piotr Jedliński dodał, że powróciły również emocje, mimo to spoglądając na widzów w maskach, trudno było oprzeć się wrażeniu, że nawet w świątyni słowa nad wszystkim unosił się duch zagrożenia i niepokoju.

Koszalin w strefie czerwonej

Rodzajem podsumowania roku w kulturze był i jest projekt *Artyści w czasie pandemii*, realizowany w CK 105 dwuetapowo. 7 sierpnia, pod tym tytułem, w Bałtyckiej Galerii Sztuki odbyła się wystawa interdyscyplinarna z udziałem kilkorga koszalińskich artystów. Wernisażu nie było, ale jesienią ruszyły zdjęcia do filmu dokumentalnego *Dwie twarze* (tytuł roboczy), na który złożą się rozmowy z tymi samymi twórcami. Film ma mieć premierę w 2021 roku. – Chcemy zdokumentować to, co nasi bohaterowie i uczestnicy wystawy robili w pandemii, ale także pokazać ich jako zwyczajnych ludzi, których koronawirus zaskoczył w działaniu – tłumaczyła Izabela Madajczyk, koordynatorka projektu.

1 września uczniowie wrócili do szkół, ale już w drugiej połowie miesiąca liczba nowych zakażeń zaczęła rosnąć. W mediach powróciło pojęcie drugiej fali, wprawdzie prognozowanej i zapowiadanej wiosną, ale zlekceważonej przez rząd latem. W zależności od aktualnej ilości zachorowań i zgonów powiaty zostały podzielone na strefy żółte i czerwone. 17 października weszły w życie nowe obostrzenia w kulturze. Na wszelkiego rodzaju imprezy mogło wejść tylko 25 proc. widzów. Obowiązywała konieczność wypełnienia i złożenia oświadczenia o braku objawów chorobowych.

Koszalin długo pozostawał poza strefami, czyli zachowywał status obszaru w miarę bezpiecznego dla mieszkańców i gości. Kolejne wzrosty zakażeń spowodowały jednak, że 10 października znalazł się w strefie czerwonej. Pozostał w niej, ponieważ cztery dni później cała Polska nabrała czerwonej barwy najwyższego zagrożenia COVID-19.

Zamiast epilogu

Od 24 października cały kraj stał się strefą czerwoną. 7 listopada, wobec stale rosnącej liczby zachorowań, weszły w życie kolejne obostrzenia. Do 29 listopada instytucje kultury zostały zamknięte dla publiczności.

Ostatnią imprezą, którą udało się zorganizować, częściowo zdalnie, a częściowo stacjonarnie, była 17. edycja Europejskiego Festiwalu Filmowego Integracja Ty i Ja (3 – 7 listopada).

W trudniejszej sytuacji znalazł się 8. Festiwal Debiutów w Monodramie „Strzała Północy”, zorganizowany 9-11 października przez Teatr „Dialog”. Pierwszy dzień odbył się stacjonarnie, kolejne dwa już online.

Nie doszło do skutku wiele imprez, w tym: Festiwal Rockowy Generacja (40. edycja), Hanza Jazz Festiwal (CK 105), spektakle w BTD, koncerty w FK i spotkania z pisarzami (KBP). Poza wyjątkami, do końca roku rząd nie zdecydował się na otwarcie kultury.

Gdyby ktoś chciał walkę z pandemią wyposażyć w ilustracyjny podkład muzyczny, doskonale nadawałaby się do tego przejmująca i niepokojąca muzyka prof. Krzysztofa Pendereckiego. Światowej sławy kompozytor i dyrygent zmarł 29 marca po długiej i ciężkiej chorobie. Miał 86 lat.

Niemal 10 miesięcy 2020 roku przeżyliśmy w lęku, izolacji, dystansie, maseczkach i osobno. Za pandemią idzie kryzys gospodarczy, który w pierwszej kolejności objawił się w samorządach, a to one na kulturę wydają najwięcej. Na co zabraknie w przyszłym roku? To pytanie zadawali sobie nie tylko artyści, lecz także uczestnicy wydarzeń kulturalnych.

Kultura obroniła się przed skutkami wirusa na tyle, na ile pozwoliły jej na to przepisy nowego prawa – prawa do przetrwania bez zakażenia.

O ile już się to nie stało, wkrótce ktoś o pandemii zrealizuje pierwszy film fabularny, napisze książkę, skomponuje utwór.

Po dwóch stronach ekranu

Autorzy brytyjskiego słownika Collinsa ogłosili, że słowem roku 2020 jest „lockdown”, czyli w wolnym tłumaczeniu zamknięcie albo izolacja. W kilka miesięcy koronawirus i wszystkie jego pochodne przejęły bowiem kontrolę nad życiem milionów ludzi na całym globie i sprawiły, że trzeba było nauczyć się funkcjonować w świecie pełnym zakazów i obostrzeń. W nowej rzeczywistości znalazły się również instytucje kultury, które szukały różnych sposobów na utrzymanie więzi z odbiorcami.

W marcu kwarantanna narodowa stała się faktem. Na ulicach pustki. Zamknięta została większość sklepów, urzędów oraz innych placówek publicznych. Na mieszkańców nałożono też czasowy zakaz wchodzenia do parków i lasów.

Nauka przez ekran

Centrum Kultury 105 (CK 105) zdecydowało się więc przenieść zajęcia do internetu. Jak wyjaśniała Marta Grzegorzczak z Działu Promocji i Marketingu był to jedyny bezpieczny sposób na to, aby kontynuować spotkania i zdobywać nowe umiejętności. – Postanowiliśmy po prostu nakręcić filmiki, wrzucić je do internetu i poprosić państwa, żebyście uczestniczyli z nami w wydarzeniach kulturalnych oraz w amatorskim ruchu artystycznym. Będzie trochę śpiewu, tańca i plastyki. Wszystko przygotowane przez naszych instruktorów – tłumaczyła.

Mimo obostrzeń CK 105 zachęcało także do brania udziału w konkursach. Jesienią 2020 roku rozpoczęło nowy projekt Respirator Kultury, który skierowany został do muzyków. Biorąc pod uwagę, że artyści ze względu na obostrzenia nie mogli występować dla

publiczności, pracownicy Centrum Kultury 105 wyszli z inicjatywą realizowania koncertów w sieci. „(...) Bardzo tęsknimy za spotkaniami z artystami i za widownią, stąd pomysł, żeby wykorzystać nasze pomieszczenia, sprzęt, umiejętności i udostępnić artystom wszystko czego potrzebują do nagrania koncertu.” – przekonywali.

Pierwsi w projekcie wystąpili muzycy zespołu Czerwona Piłeczka. Nagranie dostępne było w sieci od połowy grudnia, a w kolejce czekali już kolejni artyści m.in. z grup Harc Band oraz SoulBox.

Pomysłodawcy dodają, że mają nadzieję, że inicjatywa będzie kontynuowana także po zdjęciu obostrzeń i z udziałem publiczności.

Aktorskie wyzwania

Kontakt z widzami nie mieli też aktorzy i pracownicy Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, choć nie dla wszystkich z nich była to sytuacja niecodzienna. Tomasz Ogonowski, dramaturg BTD stwierdził: – Dla kogoś z boku mój normalny tryb życia może wydawać się kwarantanną, bo pisząc sztuki, właśnie w taki sposób funkcjonuję. Często stosuję autokwarantannę, zamykając się w swojej głowie ze swoimi pomysłami. Inaczej jest z aktorami. Oni rzeczywiście bardzo przeżywają rozłąkę z widzami i brak możliwości grania.

Jak poradzić sobie w sytuacji, kiedy próby do spektakli trwały, ale efektu finalnego nie można było zaprezentować przed publicznością? Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, aktorka koszalińskiego teatru, przyznaje, że przymusowy urlop spowodowany obostrzeniami był słodko-gorzkim doświadczeniem: – Z jednej strony miałam szansę, żeby trochę odpocząć, wypaść się i poczytać książki, ale z drugiej męczyło mnie to zawieszenie i próby odgadywania przyszłości, które właściwie były tylko wróżeniem z fusów – mówi artystka.

Stan „nicnierobienia” jest jednak aktorom koszalińskiego teatru obcy, bo już w kwietniu w mediach społecznościowych zaczęły pojawiać się filmiki oznaczone #BTDnakwarantannie. Zabawne



i zachęcające do szukania sposobów na ciekawe spędzenie czasu w zamknięciu nagrania cieszyły się ogromną popularnością w sieci. Wojciech Rogowski proponował wspólne przyrządzenie włoskich ciasteczek, Beata Niedziela i Jacek Zdrojewski czytali wiersze Juliana Tuwima, a Katarzyna Ulicka-Pyda przedstawiła pluszową owcę, z którą spędzała wolny czas.

Kultura w sieci

Pracownikom BTD udało się także pozyskać dofinansowanie w ramach programu *Kultura w sieci* uruchomionego przez Narodowe Centrum Kultury. – Jest to dla nas istotne wsparcie, bo w okresie bezrobocia możemy wykonać jakąś pracę, za którą otrzymamy wynagrodzenie – mówi Marcin Borchardt, aktor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego.

Projekt *Niech cię usłysz* skierowany był do młodzieży z mniejszych miejscowości regionu, niemającej dostępu do teatru. Zajęcia indywidualne obejmowały ćwiczenia dykcji, konsultacje językowe oraz warsztaty z interpretacji tekstu i budowania dialogu. Kolejnym etapem, w którym uczestniczyła cała grupa, było przygotowanie słuchowiska teatralnego. Odbływały się oczywiście online.

Wsparcie w ramach tego samego programu otrzymało również stowarzyszenie Aktoży po Godzinach na realizację projektu *Byliśmy/jesteśmy/będziemy. Współcześni o nas*. – Wracamy do po-

czątków naszej działalności, czyli do czytania performatywnego – wyjaśniał Marcin Borchardt. – Tym razem będziemy realizować ten projekt online. Wybierzemy teksty polskich, współczesnych dramaturgów, którzy często w surowy i mniej lub bardziej dowcipny sposób opisują naszą rzeczywistość. W serwisie YouTube znalazły się cztery nagrania m.in. czytanie sztuki *Muzułmany* autorstwa Artura Pałgi oraz interpretacja tekstu *Słabi* Magdaleny Drab.

Muzyczne podziękowania

Czas pandemii był ogromnym wyzwaniem dla pracowników służby zdrowia. Z jednej strony, pod ich opieką były setki chorych, z drugiej – wykonując swoje obowiązki zawodowe, codziennie narażali się na zakażenie koronawirusem. W wielu krajach mieszkańcy o umówionej godzinie wychodzili na balkony lub stawali w oknach i bili brawo, aby choć w ten symboliczny sposób podziękować im za pracę i poświęcenie.

Swoją wdzięczność postanowili wyrazić także artyści Teatru Muzycznego „Adria”, którzy nagrali cover piosenki *Możesz wszystko* zespołu Sound’n’Grace. Utwór dedykowany lekarzom, pielęgniarkom i ratownikom medycznym oraz pozostałym pracownikom szpitali pojawił się w sieci na początku kwietnia i wyświetlony został już ponad 47 tys. razy (ilość odsłon na koniec 2020 roku). – Chcieliśmy wszystkich trochę wesprzeć, зараzić pozytywną energią i podnieść



na duchu – mówiła Magdalena Łoś-Wojcieszek, dyrektor teatru muzycznego. W nagraniu wzięło udział czternaście osób, w tym aktorzy, wokaliści, tancerze, a nawet scenograf współpracujący z Adrią.

Magdalena Łoś-Wojcieszek z myślą o pracownikach Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie nagrała też cover piosenki *Biała Armia* zespołu Bajm.

Artystyczne tęsknoty

O powrocie do normalności marzyli także artyści Teatru Variete Muza. Łącząc przyjemne z pożytecznym, postanowili więc zorganizować *Koncert na widowni* w sieci. – Pomysł zrodził się po prostu z tęsknoty – mówił Jarosław Barów, właściciel Muzy, a zarazem kompozytor i akompaniator i dodał: – Oczywiście prowadziliśmy dyżury w teatrze, ale działalności artystycznej niestety nie mogliśmy kontynuować, więc zdecydowaliśmy się wystąpić online.

Próby trwały dwa tygodnie, a w repertuarze podzielonego na kilka części koncertu znalazły się m.in. utwory z lat 20. i 30. XX wieku, wykonywane przez Pawła Barowa i Bartosza Czaję. W ramach przedsięwzięcia we współpracy z Fundacją Pokoloruj Świat zorganizowano również Koszaliński Koncert Życzeń dla Mam. W wydarzeniu wzięli udział nie tylko artyści Teatru Variete Muza, ale również młodzi koszalinianie.

Bajkowo, rodzinnie, muzycznie

Pandemia przerwała też koncerty stacjonarne w Filharmonii Koszalińskiej, w tym tak lubiany przez dzieci i dorosłych cykl Familijny Park Sztuki. Stało się to w momencie, kiedy swoje uroczyste prawykonanie miała mieć bajka muzyczna *W zaczarowanym ogrodzie ciotki Nutki*, skomponowana przez Jacka Piotra Kujawskiego do tekstu Iwony Wyszynskiej. Zapadła więc decyzja, aby kolejne

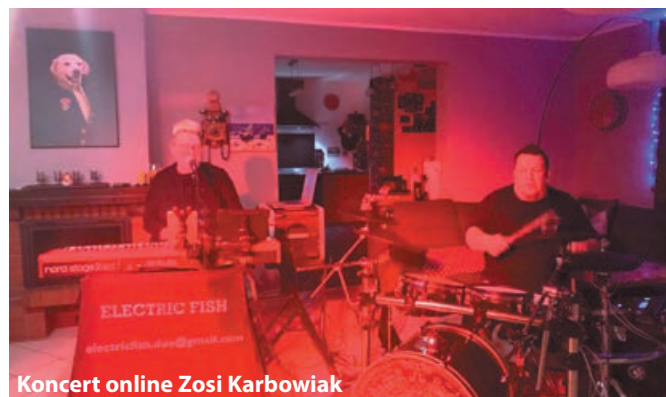
odcinki zamieszczać co dwa tygodnie w internecie. – Wydaje mi się, że jest to pierwsza taka produkcja w Polsce. Mam tutaj na myśli koncert edukacyjny orkiestry symfonicznej – podkreślił Robert Wasilewski, dyrektor instytucji. Bajka miała mieć swoją premierę podczas jubileuszowej, pięćdziesiątej odsłony Familijnego Parku Sztuki w filharmonii. Na scenie mieli pojawić się nie tylko muzycy, ale także aktorzy. Ostatecznie została ona podzielona na dziesięć części i trafiła do internetu. Można ją wciąż bezpłatnie obejrzeć na platformie YouTube.

Biblioteka na ratunek

Nieocenioną pomocą nie tylko dla miłośników literatury, ale także dla wszystkich tęskniących za szeroko pojętą sztuką i rozrywką, była akcja pracowników Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Podczas narodowej kwarantanny, a także po jej zakończeniu, choć w czasie, gdy obowiązywało wciąż wiele obostrzeń, służyli oni pomocą wszystkim szukającym ciekawych wydarzeń w internecie.

Projekt zatytułowany Biblioteczny Parasol Ratunkowy był swoistym przewodnikiem po tym, co ciekawego działo się w artystycznym świecie. „(...) Nasz biblioteczny Oddział Ratownictwa Izolacyjnego codziennie będzie aktualizował bazę ciekawych zabaw,



filmów, wirtualnych spotkań i innego dobrodziejstwa onlinego, które pomoże Wam się nie nudzić, a rodzicom opiekującym się dziećmi da oręż do codziennych zmagania. Zapraszamy na: głośne czytanie i spotkania z gwiazdami, zabawy kreatywne. Podpowiemy, gdzie znaleźć książki i lektury online, zaprosimy do wirtualnych teatrów, muzeów i na koncerty” – zachęcali pracownicy KBP.

Na FB biblioteki powstała natomiast grupa wsparcia dla czytających *Zaczytamy od Marqueza!*, na której swoje recenzje i polecenia czytelnicze prezentowali m.in. bibliotekarze.

Kulturalne inicjatywy online podejmowali też artyści. Związany z Koszalinem duet muzyczny Lucy & Tom zorganizował „pierwszy, internetowy i kanapowy minikoncert”, zapraszając swoich fanów 21 marca przed ekrany telewizorów i monitorów. – Spotkamy się przy dźwiękach i słowach pięknych, polskich, ludowych piosenek – zapraszała Lucy. Równolegle z koncertem Lucy & Tom uruchomili możliwość zakupu elektronicznej wersji ich pierwszego albumu *Edith Piaf Et Ses Amis*. Drugi koncert odbył się 1 kwietnia.

21 marca w sieci wystąpiła także Zosia Karbowski z mężem i równocześnie perkusistą jej zespołu, Tomkiem. – Zagraliśmy i będziemy grać online, aby ludziom podczas tego ciężkiego okresu umilić czas spędzany w domu, dodać otuchy i dzielić się z nimi muzyką – tłumaczyła wokalistka. – Zawsze byliśmy blisko naszych odbiorców, a teraz te koncerty pomagają nam i wiemy, że pomagają im.

Także wiele organizacji pozarządowych – w okresie izolacji – przeniosło swoją aktywność do sieci, czego najlepszym przykładem koszaliński oddział Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, który w swoich pięciu środowiskowych ogniskach wychowawczych prowadzi zajęcia artystyczne. – Kilka dni po decyzji rządu rozpoczęliśmy zajęcia online – mówił Henryk Zabrocki, prezes TPD w Koszalinie. – Ponieważ wiele dzieci nie miało własnego sprzętu, zorganizowaliśmy akcję pomocową. Od ludzi życzliwych otrzymaliśmy pięćdziesiąt komputerów, które niezwłocznie trafiły do naszych podopiecznych, również po to, aby mogli uczestniczyć w zdalnej nauce. Za pośrednictwem aplikacji mobilnych zajęcia artystyczne z udziałem dzieci prowadziły wychowawczynie ognisk. (red)

Jak minął 2020 rok?

Tytułowe pytanie zadaliśmy osobom w różny sposób związanym z kulturą. Zwykle czytamy o zrealizowanych spektaklach, wystawach, projektach, o sukcesach na festiwalach i konkursach. Tym razem mówili nam o tym, czego nie było, nie udało się zrealizować albo trzeba było przenieść na termin, którego nie da się określić. Jak sobie radzili w ciężkim czasie. Są gorzkie słowa i nadzieje, że kolejny rok będzie łaskawszy. Koszalińska kultura i rozrywka – w najróżniejszych wymiarach – została zamknięta za drzwiami z tabliczką „pandemia”, ale nawet, jeśli te drzwi są przymykane czy zamykane – w każdej chwili wszyscy są w stanie zacząć działać na cały gwizdek.



Ewa Bałdys,
właścicielka sklepu muzycznego **Swing**

Mój sklep istnieje od 25 lat i nigdy nie było tak źle, nawet w latach gorszej koniunktury gospodarczej. Nie pracowaliśmy przez dwa wiosenne miesiące, od lata sklep jest czynny, choć w okrojonych godzinach. Mam jednego pracownika i sama częściej stoję za ladą. Przedtem zajmowałam się zamówieniami, tworzeniem wizerunku sklepu, szukaniem ciekawych produktów. Sytuacja, w jakiej znalazła się kultura, natychmiast odbiła się na mnie i – co wiem z rozmów – wszystkich tego typu sklepów w Polsce. Nie ma koncertów, imprez, festiwali, toteż wszystkiego, co do ich realizacji potrzebne, nie używa się. Statywy, sprzęt oświetleniowy, nagłośnieniowy, płyny do dymownic, mikrofony czy kable leżą i czekają. Tęsknię za klientami, bo wizyta u nas to nie jest zwykły zakup, to zawsze rozmowa. Myślę, że teraz ludzie trochę więcej kupują w internecie i pewnie część spróbowałszy, nie wróci do mnie, choć np. instrument taki, jak gitara czy niezwykle popularne ukulele powinno się kupować w sklepie, bo trzeba wypróbować, dopasować

do siebie, posłuchać go. Utrzymuję cały czas pełną ofertę, każdy klient znajdzie tu wszystko, co do tej pory.



Jarosław Barów,
muzyk, aranżer, kompozytor, współwłaściciel Teatru **Variete Muza**

W 2020 roku z artysty zamieniłem się w kogoś, kto pisze wnioski o wsparcie. A zapowiadało się tak wspaniale! Mieliśmy zaplanowane kilkadziesiąt koncertów z największymi gwiazdami estrady, tyle samo koncertów z własnymi produkcjami w całym kraju. Nasz kalendarz był szczególnie wypełniony do czerwca. I wszystko trzeba było przekładać na jesień. Wiosną zrealizowaliśmy cykl koncertów *Na widowni*, oczywiście, już tylko online, tak samo finały Dni Koszalina. Podczas wakacji udało się zagrać na żywo kilka koncertów. Przyszła jesień i znów wszystko stanęło. Jako kompozytor czy aranżer nie mam pracy, bo nie ma produkcji estradowych. Pisanie do szuflady nie jest dla mnie dopingiem. Jednak nie zniechęcamy się. Jestem mocno przekonany, że nie można żyć bez kultury, że telewizja

i imprezy online nie wystarczą. Dlatego jesteśmy przygotowani na realizację koncertów na żywo, kiedy tylko będzie to możliwe, nawet przy zmniejszonej widowni. Wciąż mam kontakty z artystami i z organizatorami imprez. Jako współwłaściciel teatru nieraz byłem w trudnej sytuacji i przetrwałem. Zawsze patrzę do przodu.



Zdzisław Derebecki,
dyrektor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego

2020 rok wbrew pozorom był bardzo pracowity. Ciągłe zmiany obostrzeń, lockdowny zmuszały nas do wprowadzania zmian w sposobie działania teatru.

Udało się zrealizować festiwal „m-teatr”, premierę spektaklu *Żeby umarło przede mną*, ale już spektakl dla dzieci

Kazuko w marcu padł ofiarą obostrzeń i w listopadzie ponownie trzeba było premierę wstrzymać. Zrezygnowaliśmy z produkcji o Marku Hłasce. To przykre, że nie gramy, aktorzy ciężko to znoszą. Wiosną realizowali akcje internetowe, ale dla nas najważniejsza jest żywa widownia i jej reakcje. Tęsknota za pracą i widzami jest ogromna. Prowadzimy próby do nowych spektakli, co daje nam pewną satysfakcję, ale bez realnego terminu nie ma tej temperatury, co zwykle. Rok 2021 ma u nas hasło *Uśmiech, radość i taniec*, wcale nie dlatego, że – miejmy nadzieję – popandemiczny. Hasła wcześniej ustalamy.



Kłowni Kulki

Rok 2020 był szczególny dla naszej pracy, dla dzieci i ich uśmiechów – dwadzieścia lat temu Klaun Kulek po raz pierwszy założył kostium, by bawić dzieci, ale to rok niełatwy. Trzeba powiedzieć, że dla takich

osób jak my rząd nie miał żadnej propozycji pomocy. Trochę pracowaliśmy w wakacje, ale to nie było to samo. Nie odbył się szereg

imprez, w których zawsze bierzemy udział, żaden piknik czy festyn; nie było Bezpiecznych Wakacji.

W maju ogłosiliśmy na FB konkurs pod hasłem *Festiwal baniek mydlanych*. Udział wzięło w nim ponad 15 tys osób i dzięki Urzędowi Miejskiemu, pojawiliśmy się w sumie na dwudziestu ulicach z pokazem. Robiliśmy to pro bono, by dać zamkniętym w domach dzieciom uśmiech w trudnym czasie. Później pojawiliśmy się jeszcze na 15. ulicach. Także dzięki wsparciu finansowemu ratusza w każdy piątek odwiedzaliśmy dzieci w ramach akcji *Wesołe podwórka*. To dla nich było wielkie przeżycie, a dla nas oddech, bo zostaliśmy bez dochodów. Mamy więcej czasu, więc szykujemy nowe rzeczy, szyjemy stroje, zwłaszcza, że planowaliśmy, iż rok 2021 będzie naszym jubileuszem. Czekamy z nadzieją na nowy sezon.



Przemysław Krzyżanowski,
zastępca prezydenta miasta ds. polityki społecznej

To był rok trudny i zarazem przykry dla środowiska kultury. Jesienią już mieliśmy nadzieje i chwilę oddechu, instytucje zainaugurowały sezon. Były spektakle, koncerty i uśmiechy zarówno widzów, jak i artystów. Niestety, szybko znikły. To także rok nowych doświadczeń – kultury

w wersji online. Uczyliśmy się tego wszyscy, choć to nie zastąpi realnych przedstawień i reakcji widzów nas widowni. Cieszę się, że udało nam się zrealizować nasze sztandarowe imprezy, jak festiwale Młodzi i Film, m-teatr, także Strzała Północy czy Integracja Ty i Ja, choć odbyły się w bardzo zaostrzonym reżimie sanitarnym i mniejszej ilości widzów. Wiem, że artystom trudniej się żyje, niektórym na skraju możliwości utrzymania. Niestety, rok 2021 dla kultury także będzie trudny. Pandemia sprawiła, że nie ma dochodów przewidzianych w budżecie miasta i środki na działalność kulturalną będą mniejsze. Będziemy się starać, by nie było to zbyt dotkliwie, by nasza kultura koszalińska nie straciła blasku, którym świeciła przez ostatnie lata.



**Maciej Osada-Sobczyński,
muzyk, aranżer, kompozytor**

Nie mam wiele do powiedzenia, bo siedzimy bez możliwości pracy, a to, co robię, robię do przysłowiowej szuflady. Do 11 marca było normalnie, czekaliśmy na Galę Kultury, podczas której razem z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej miał wystąpić niezwykle zdolny Michał Słobodzian. Miałem być dyrygentem tego koncertu. Niestety, galę odwołano. Pracowałem też przy spektaklu *The Bodyguard*, jestem autorem aranżacji piosenek. Teraz została mi tylko praca twórcza, choć nie wiem, kiedy to, co przygotowuję, wykorzystam. Piszę nowe piosenki, pracuję nad repertuarem naszego zespołu i nad ofertą firmy Osadaart, by być gotowym na odwołanie zagrożenia, na powrót do życia. Żona pracuje w szkole. Ja, jako twórca nie czuję, by do mnie została wyciągnięta pomocna ręka od kogokolwiek.



**Dariusz Pawlikowski,
dyrektor Koszalińskiej Biblioteki Publicznej**

Za nami rok, który w naukach społecznych będzie się przewijał jako przyczynek badań. Nic nie było takie samo, a my z dnia na dzień zdobywaliśmy doświadczenie, jak globalnie i okrutnie potraktowała nas choroba. Najgorsze co się przydarzyło – oprócz cierpień w wymiarze osobistym i rodzinnym – było rozerwanie więzi. Wiele osób zmuszonych było ograniczyć spotkania z najbliższymi, a w przypadku codziennych konsumentów kultury najbardziej brakowało koncertów, teatru, wystaw i bibliotek.

W KBP staraliśmy się jak najlepiej wykorzystać każdy możliwy czas, by otworzyć się dla czytelników. Czuliśmy, i była to reakcja zwrotna, że miłość do książek i do czytania nie słabnie, a wytęsknieni bibliotekarze w poczuciu obowiąz-

ku pełnili swoją misję. Trzeba było odwołać wiele zaplanowanych wydarzeń i naszych sztandarowych przedsięwzięć, ale i tak udało się przeprowadzić kilka spotkań autorskich oraz w okrojonej formie 17. Europejski Festiwal Filmowy Integracja Ty i Ja. Mimo okresowego zamykania biblioteki kupowaliśmy nowości książkowe, audiobooki i płyty. Czuję, że rok 2021 będzie powolnym powrotem do tego, co już znamy. Po piszących oczekuję więcej memuarystyki i rzeczy poważnych, ale nieco lżej podanych. Nie tęsknię za utopiami i tym bardziej dystopiami. Wystarczy!



**Wojciech Szwej,
fotografik**

Gdyby nie pandemia, byłbym teraz (grudzień 2020 – przyp. dj) na Dominikanie, w ekskluzywnym ośrodku, gdzie od siedmiu lat pracowałem jako art-fotograf. W styczniu 2020 roku było jeszcze mnóstwo gości, a od lutego nagle robiło ich coraz mniej, aż ośrodek zupełnie opustoszał. Po dwóch tygodniach został zamknięty.

Do Polski wróciłem ostatnim samolotem z programu *LOT do domu*. W Warszawie musiałem odbyć dwutygodniową kwarantannę i dopiero wtedy pojechałem do Koszalina, do rodziny. Na dworcu do pociągu wsiadło 18 osób, od Gdańska byłem w wagonie sam. Przywiozłem jakieś środki na życie, liczyłem też, że jesienią wyjadę. Tak się nie stało. Miałem jeszcze kilka zleceń na sesje, ale telefon coraz rzadziej dzwonił, a jak weszliśmy w czerwoną strefę – zamilkł.

W tej sytuacji przyjąłem ofertę, która nadeszła z koszalińskiego „plastyka” – od września jestem nauczycielem, uczę fotografii. Przygotowałem program, lekcje się rozkręcały, ale teraz znów uczymy zdalnie. Tylko jak uczyć zdalnie fotografii? Dla mnie ważne jest, że prowadzę lekcje ze szkoły, muszę więc codziennie wyjść z domu.

Pandemia zmusiła mnie jeszcze do czegoś. Otóż wróciłem do swojego archiwum, gdzie odkładałem negatywy, dziesiątki zdjęć „na później”. Na początek uporządkowałem zbiory z lat 80. i 90. i dokonałem kilku niesamowitych odkryć.



Robert Wasilewski,
dyrektor Filharmonii Koszalińskiej

Do 11 marca 2020 roku pracowaliśmy zgodnie z planem. Od 12 marca zaczęła się zupełnie inna sytuacja i trwała do końca roku. Nie wiemy, kiedy i jak się skończy. Nasz rodzaj pracy jest niezwykle wrażliwy na zmiany, jakie przyniosła pandemia, bo trudno inaczej realizować podstawową formę artystycznego przekazu, jaką są koncerty na żywo z udziałem publiczności. Myślę, że dla słuchaczy ten sposób kontaktu ze sztuką też jest ważny. Tego nie da się zastąpić niczym, mimo znakomitych technologii. Mimo problemów, udało nam się, o dziwo, z grubsza zrealizować program. Trochę było siałomów organizacyjnych, trochę działań ad hoc, dostosowanych do możliwości. W całości zrealizowaliśmy tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Organowy, wszystkie 31 koncertów, a także pięć koncertów letnich na Rynku Staromiejskim, gdzie graliśmy pięć bardzo trudnych, wymagających programów. W końcu roku zaczęliśmy nagrywać płyty – aż trzy. Każda inna, każda adresowana do innego odbiorcy. Ukażą się na przełomie roku 2020/2021. W styczniu wykorzystamy urlopy wypoczynkowe, a potem przystąpimy do pracy, by być przygotowanym na koncerty. Mamy nadzieję, że będzie to możliwe.



Radosław Wilkiewicz,
dyrygent chórów Politechniki Koszalińskiej Canzona i dziecięcego Pomerania Cantat

Ten rok dla chórzystów i dyrygentów był trudny, ponieważ musieliśmy się wdrożyć do korzystania z nowych technik i szukać pomysłów, jak je wykorzystać do naszej pracy. Chóralistyka to dziedzina, gdzie śpiew jest, powiedzmy, analogowy, bez korzystania z żadnych technik. Teraz trzeba się było przestawić. Obawiam się, że to osłabi poziom naszej pracy, że nasze wymagania wobec samych

siebie mogą nieco spaść. Uczymy się melodii, ale nie zawsze jest to śpiew artystyczny. Cieszę się jednak, że zmuszeni sytuacją odważyliśmy się użyć tych wszystkich komputerów w innym celu niż tylko komunikacja czy rozrywka. Te umiejętności i odwaga nam zostaną.

Chóry, które prowadzę, już wiosną prowadziły próby zdalne. Podczas wakacji mieliśmy nawet zgrupowania, bowiem przygotowaliśmy się do udziału w finałowym koncercie Międzynarodowego Festiwalu Organowego. I to się udało. Początek roku szkolnego był obiecujący, wznowiliśmy nawet próby. Nie rezygnujemy, przygotowujemy kolędy do nagrań i koncertów na żywo, jak to tylko będzie możliwe.



Kacper Wojcieszek,
reżyser, choreograf, współwłaściciel Teatru Muzycznego Adria

Dla nas ten rok był z jednej strony wspólny, przełomowy, z drugiej – niezwykle trudny. Udało nam się spełnić marzenia i otworzyć nowe miejsce dla sztuki w Koszalinie.

Było ciężko, bo w tym samym czasie kończyliśmy remont obiektu, a jednocześnie robiliśmy próby do pierwszego spektaklu. Dodam, że już samo zdobycie licencji na możliwość wystawienia musicalu *The Bodyguard* możemy sobie zapisać jako sukces. Była ogromna radość, ale premiera odbyła się już w reżimie sanitarnym, czyli na widowni mogło zasiąść 50 proc. widzów (ok. 150 osób).

Zagraliśmy trzy spektakle i obostrzenia zmniejszyły liczbę widzów do 25 proc. Pocięchą było przyjęcie spektaklu – zawsze góracze, z oklaskami na stojąco. Mogę też powiedzieć, że zawsze mieliśmy komplety, czyli wypełnione wszystkie dopuszczalne sytuacją miejsca. Niestety, druga połowa roku to zupełny zastój. Dlatego zdecydowaliśmy się przygotować koncert na żywo, ale dostępny tylko online. Podchodziliśmy do tego z rezerwą, bo nie po to stworzyliśmy swój teatr, by grać za pośrednictwem internetu, ale nie mieliśmy wyjścia.



**Joanna Wyrzykowska,
redaktor naczelna „Tygodnika Koszaliń-
skiego Miasto”**

To miał być wyjątkowy rok. Z tym prze-
czuciem witałam go w gronie znajomych.
Pewnie nikt z nas nie spodziewał się, że te
dwie dwudziestki wywrócą nam życie do
góry nogami. Już od marca tematy roz-
mów zeszyły głównie na pandemię i trudno
było zainteresować się czymś innym. Nam,

dziennikarzom, nie było łatwo. Z jednej strony chcieliśmy informo-
wać o sytuacji, zgłębiać temat, żeby „poznać wroga”, z drugiej stara-
liśmy się nieco odwracać uwagę od tych przykrych statystyk, który-
mi witani byliśmy każdego ranka. Sporym wyzwaniem była sama
praca. Dziennikarz żyje ze spotkań z innymi, bo nie da się poznać

historii drugiego człowieka przez telefon czy internetowy komu-
nikator. Tymczasem spotkanie oko w oko często nie było możliwe.
Trzeba było rozmówców oswajać z innym sposobem komunikacji,
co nie było łatwe. Życie kulturalne zamarło, zabrakło więc relacji ze
spektakli, spotkań autorskich, wernisaży. To nas zaskoczyło i zubo-
żyło, ale też coś zyskaliśmy. Wiadomo, że w kryzysie wychodzą na
wierzch zawichości ludzkich charakterów. Oprócz zwykłej pracy, po-
jawiały się różne życiowe problemy, przekonaliśmy się, jakimi jeste-
śmy ludźmi, z jakimi mamy do czynienia i na kogo możemy liczyć.

**Rozmawiała
na przełomie listopada i grudnia 2020:
Dana Jurszewicz**

WYDARZENIA



Konserwatorski Oscar za remont kościoła

Najwyższa nagroda w ubiegłorocznym konkursie Zabytek zadbane przypadła gotyckiemu kościołowi w koszalińskim Jamnie. To jedna z piękniej odnowionych świątyń na całym Pomorzu.

Organizowany przez generalnego konserwatora zabytków konkurs odbywa się od 1975 roku. Tym razem zgłoszono 63 kandydatury zabytków z całej Polski i, jak w latach poprzednich, nagrody przyznano w pięciu kategoriach. Rok był jednak wyjątkowy (pandemia): nie ogłoszono więc listy nominowanych, nie odbyła się też gala wręczenia nagród.

W maju decyzję jury ogłosiła wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego i generalny konserwator zabytków, prof. Magdalena Gawin. Dla społeczności Jamna i całego Koszalina werdykt był bardzo radosny: kościół pw. Matki Bożej Różańcowej w dzielnicy Koszalina, Jamnie uzyskał pierwsze miejsce w kategorii A „utrwalanie wartości zabytkowej obiektu”. Z pięciu kategorii tego konkursu ta jest najbardziej oblegana i prestiżowa. „Nagroda za kompleksowe, oparte o staranne rozpoznanie badawcze, prace remontowe, konserwatorskie i rewitalizacyjne kościoła Matki Boskiej Różańcowej w Koszalinie-Jamnie, które pozwoliły wydobyć, utrwalić i wyeksponować wartości zabytkowe związane z poszczególnymi etapami historii kościoła” – brzmiało uzasadnienie decyzji komisji konkursowej. Wyróżnienia zdobyły Rotunda Świętego Mikołaja w podziemiach archikatedry w Przemyśle, Biały Dom w Łazienkach Królewskich w Warszawie i Wieża Ariańska w Wojciechowie w Lubelskiem.

– Byłem po kolejnym zapaleniu płuc, a tu taka wiadomość z ministerstwa; skakałem ze szczęścia – przyznaje ksiądz Jarosław Krylik, proboszcz koszalińskiej parafii pw. Matki Teresy z Kalkuty, do której należy jamieńska świątynia. Proboszcz zaznacza, że miał świadomość, że prace konserwatorskie w świątyni i dokumentacja zostały

wykonane wzorowo i nie budziły kontrowersji. Wiedział też, że cały zabytek został kompleksowo wyremontowany. – Zastanawiałem się jednak, czy przy takiej konkurencji zostaniemy zauważeni – mówi.

Siedem wieków kościoła

Jamneński kościół pw. Matki Bożej Różańcowej to zabytek o starej metryce. Należy do grupy unikalnych gotyckich świątyń usytuowanych wzdłuż wybrzeża Bałtyku (do tej samej grupy należą m.in. kościoły w Osiekach, Iwęcinnie czy Mielnie).

Pierwszy kościół w tej wsi był wzmiankowany już w 1278 roku jako nadanie dla przybyłych do Koszalina sióstr cysterek. Świątynię wznoszono etapami w XIV-XVI wieku, rozbudowano i przebudowano ją w wiekach XVIII, XIX i latach 20. XX wieku. Kościół gotycki był ceglaną budowlą salową pozbawioną wieży. W XV wieku od zachodu wzniesiono masywną wieżę, która w XVIII wieku otrzymała barokowy hełm kryty gontem.

Warto wspomnieć, że w 1756 roku pastor Christian Wilhelm Haken założył przy jamneńskim kościele bibliotekę, w której zgromadził księgi z XVI, XVII i XVIII wieku. Było to ambitne i wyjątkowe przedsięwzięcie. Biblioteka miała charakter publiczny, a jej organizację zatwierdził król pruski Fryderyk II.

W 1861 roku od strony południowej kościoła dobudowano obszerny, dwukondygnacyjny neogotycki aneks (zwanym chórem łabuszan). Rozbudowę sfinansowali mieszkańcy Jamna i Łabusza, co upamiętniają napisy odlane na kolumnach, które wspierają chór. Na poddaszu chóru łabuszan została ulokowana wspomniana wcześniej biblioteka. Zbiory niestety nie przetrwały do naszych czasów.

Kościół poważnie ucierpiał podczas pożaru w 1921 roku. Ogień zajął wieżę, nadpalona została też konstrukcja dachowa nawy i prezbiterium. W czasie późniejszego remontu nad nawą i prezbiterium założono sklepienie, które ze względu na kształt nazywane jest pozornym sklepieniem kolebkowym. Wnętrze ozdobił polichromiami nawiązującymi do miejscowej tradycji. W ornamentykę roślinną



wpisano przedstawienia Chrystusa, ewangelistów, wersety Biblii i sceny z pożaru kościoła.

W 1945 roku świątynię przejęli katolicy. W latach 50. na polichromiach zamalowano cytaty z Biblii w języku niemieckim i symbole protestanckie. Remont odbył się też w latach 70. Do dziś wewnątrz świątyni przetrwały cenne obiekty: barokowa ambona pochodząca z połowy XVIII wieku, chrzcielnica i krucyfiks ołtarzowy.

Jak pomóc królewiczowi?

Ksiądz Jarosław Krylik przypomina sobie jedną z pierwszych wizyt w jamneńskim kościele po objęciu parafii w 2011 roku. Zabytek był w złym stanie: zawilgocony, porażony przez korniki. Pękały ściany, dach wymagał pilnej naprawy. – Uklęknałem przed ołtarzem i pomyślałem: „Jak tobie, królewiczu, pomóc, żebyś znowu błyszczał?”

W 2015 roku przeprowadzono inwentaryzację budowlaną i konserwatorską zabytku. Na podstawie zaleceń konserwatorskich został

przygotowany projekt budowlany remontu kościoła, wkrótce udało się też uzyskać pozwolenie na budowę. Zaczęto od fumigacji czyli gazowania, które zapobiegło dalszemu niszczeniu drewnianych elementów przez szkodniki. W 2017 roku odbył się remont hełmu wieży (górnej części krytej gontem oraz niższej, krytej dachówką).

Cały czas trwały też starania o pieniądze. Z funduszy unijnych (Regionalny Program Operacyjny Województwa Zachodniopomorskiego) udało się zdobyć 2,5 miliona złotych. Władze Koszalina przekazały na remont 450 tysięcy złotych. Parafianie i sponsorzy też nie żalowali grosza.

Remont w 2018 roku rozpoczął się od skuwania z lica ścian współczesnych tynków cementowych, naprawy ścian fundamentowych. Renowacji poddane zostały ściany nawy i prezbiterium. Konserwacji poddano wieżę świątyni. Odsłonięto i wyeksponowano piękny gotycki portal, dzięki czemu cała wieża odzyskała swój pierwotny charakter. Ekipa remontowa wykonała także naprawę dachu nawy,



Fot. Izabela Rogowska





wymieniając pokrycie z blachy na dachówkę ceramiczną. Fachowcy wzmocnili stropy drewniane i poddali je konserwacji. Roboty wewnątrz świątyni poprzedzone zostały badaniami archeologicznymi. Usunięto współczesną posadzkę z klinkierowych płytek, a w nawie ułożono cegłę o wymiarach cegły gotyckiej (wcześniej montując ogrzewania podłogowe).

Organy zabrzmiały po 70. latach

Wnętrze odnowionego kościoła prezentuje Zbigniew Kocur, współautor projektu budowlanego remontu, który nadzorował też

prace budowlano-konserwatorskie. Mówi, że wszystkie prace zostały wykonane z najwyższą starannością. W prezbiterium np. udało się wykorzystać w formie „świadka” część oryginalnych XIX-wiecznych płytek, na ich wzór zostały wypalone nowe płytki, którymi została pokryta większa część posadzki.

Konserwacji poddano okna drewniane i stalowe, wykonano nowe okna witrażowe, naprawie poddano też schody i drzwi, a w wieży pojawiły się dębowe okiennice. Z lica ścian wewnętrznych zostały usunięte współczesne cementowe tynki, oryginalny wygląd odzyskał więc gotycki mur.

Przy okazji prac dokonano kilku spektakularnych odkryć. Okazało się, że na ścianach wewnątrz kościoła, pod warstwami tynków, zachowały się średniowieczne polichromowane krzyże konsekracyjne (tzw. zacheuszk), czyli miejsca namaszczone olejami świętymi podczas konsekracji kościoła. To wielka rzadkość w pomorskich kościołach. W ścianie prezbiterium odkryto zaś dwa średniowieczne sakramentaria – nische na najświętszy sakrament.

Starannej renowacji poddano polichromię w nawie i w prezbiterium, przywracając (na podstawie zachowanych materiałów ikonograficznych) ornamentykę nawiązującą do tradycji jamneńskiej. Konserwacji i naprawie poddano też emporę organową i chór łabuszan. Zamówiono nowe ławki do świątyni (mają tradycyjne, jamneńskie zdobienia). Wymieniono całą instalację elektryczną i zamontowano instalację sygnalizacji pożaru. Fachowcy przeprowadzili ponadto kompleksowy remont organów.

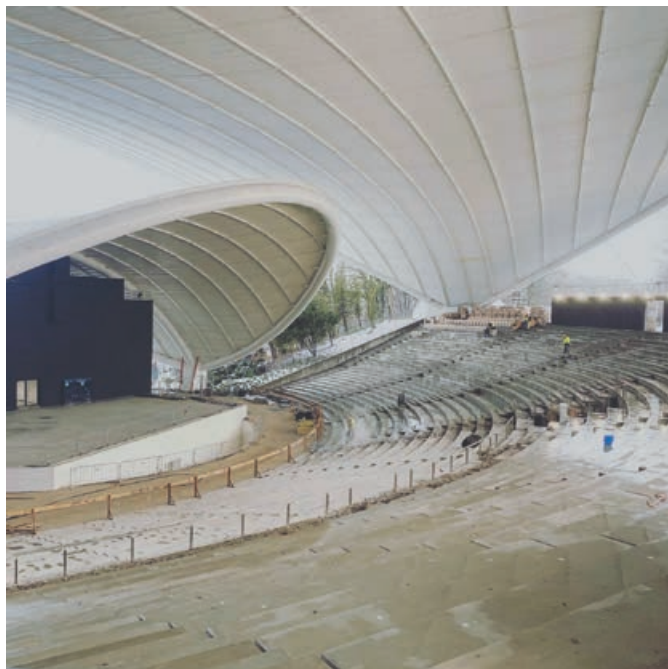
Oscar w świecie zabytków

Jak podkreślają wykonawcy remontu, dawny wygląd kościoła został odtworzony na podstawie wnikliwych badań architektonicznych, konserwatorskich i ikonograficznych. Dość wspomnieć, że aby jak najwierniej odtworzyć polichromię na sklepieniach, trzeba było m.in. przestudiować dokumentację zachowaną w niemieckich archiwach (Greifswald). Z pewnością tę staranność doceniła komisja, która rozpatrywała kandydatury odnowionych historycznych obiektów zgłoszonych do konkursu *Zabytek zadbany*. – To bardzo prestiżowa nagroda; Oscar w konserwatorskim świecie – mówi z dumą Zbigniew Kocur. A ksiądz Jarosław Krylik dodaje, że bez zaangażowania wielu życzliwych osób ten sukces nie byłby możliwy. – Mamy teraz prawdziwą perełkę – podkreśla.

Amfiteatr rośnie w oczach

Budowa koszalińskiego amfiteatru w 2020 roku toczyła się bez większych przeszkód. Budowla rosla i rośnie w oczach. Wiele wskazuje na to, że termin oddania będzie szybszy niż zakładano.

Lata poprzedzające remont, a w zasadzie budowę nowego amfiteatru, były burzliwe. To, że sypiący się stary obiekt wymagał pilnej interwencji, nie budziło wątpliwości. Przerazały za to koszty. Prezydent jak i Rada Miejska musieli podejmować trudne decyzje, które skutkowały dokładaniem kolejnych milionów złotych.



Fot. Materiały prasowe CK 105 (5)

W tzw. międzyczasie mieliśmy do czynienia z nieudanymi przetargami i przeciągającymi się procedurami. To jednak przeszłość. Rok 2020 stał pod znakiem robót budowlanych. Efekty są co najmniej zadowalające.

W zasadzie odwiedzając Park Ksiąząt Pomorskich co dwa tygodnie, za każdym razem można było podziwiać nowe elementy, powstające na miejscu starego obiektu. Koszaliński amfiteatr to legenda. Pionierska konstrukcja z lat 70. XX wieku, została zauważona w całym świecie architektów i inżynierów. Niestety, czas zrobił swoje. Technika sceniczna poszła w ostatnich latach tak do przodu, że organizacja dużych wydarzeń stała się niemal niemożliwa. Kiedy w końcu z pomocą środków unijnych i budżetu Koszalina dopięto finansowanie, podpisano umowę z wykonawcą – firmą Budimex. Całość kontraktu opiewa na kwotę 37 milionów złotych. Plac budowy przekazano w sierpniu 2019 roku. Termin realizacji to dwa lata, więc pod koniec trzeciego kwartału 2021 roku obiekt powinien być zdany do użytku. Prace w roku 2020 nabrały jednak takiego tempa, że jeśli nie pojawią się przeszkody, amfiteatr zostanie skończony już w czerwcu 2021 roku.

Stary obiekt był w takim stanie, że należało go całkowicie rozebrać. Pozostał jedynie zaprojektowany przez profesora Jana Filipkowskiego dach, choć i on przeszedł modernizację. Resztę zaczęto budować od podstaw. Jedyne czego zabraknie w nowej odsłonie to dach nad sceną, służący za ekran kinowy. Amfiteatr, zgodnie z zapowiedziami dyrekcji Centrum Kultury 105, które odpowiada za nadzór i zarządzanie obiektem, będzie wykorzystywany przez cały rok. Zostanie tam przeniesiona część zajęć Amatorskiego Ruchu Artystycznego. Dodatkowo planuje się używanie przestrzeni dla organizacji pozarządowych. Mają być organizowane wernisaże czy kameralne koncerty. To wszystko będzie się odbywało w budynku zaplecza amfiteatru. Znajdą się tam garderoby, magazyny i pomieszczenia techniczne. Miejsc siedzących będzie ponad cztery tysiące, co ważne – z oparciami.



Amfiteatr, listopad 2020

budimex







Poza budynkiem potrzebne jest wyposażenie sceniczne (przetarg odbędzie się w 2021 roku). Wspomniane na początku koszty nie zawierają bowiem tego elementu. Istnieje zatem ryzyko, że mimo wcześniejszego oddania amfiteatru do użytku, nie będzie można jeszcze w roku 2021 organizować imprez. Jeżeli procedury przetargowe, a potem dostawy i montaż sprzętu, się wydłużą, publiczność będzie mogła zasiąść na widowni dopiero w roku 2022. Dodatkowym elementem, który zawsze funkcjonuje przy inwestycjach z udziałem środków unijnych, jest tzw. trwałość projektu. Zakazuje ona komercyjnego zarabiania na obiekcie. Nie będzie zatem przez kilka lat gastronomii w środku. Może jednak takowa funkcjonować na zewnątrz, jako ogródek letni.

Środki unijne na pochodzą z programu Interreg, a to wymaga przeprowadzenia kilku procedur. To między innymi wymiana kulturalna pomiędzy Koszalinem a Neubrandenburgiem (partner projektu) w postaci wspólnych warsztatów polsko-niemieckich, ale też przeprowadzenie konsultacji społecznych na temat wykorzystania obiektu. Internetową ankietę przygotowało Centrum Kultury 105. Analiza wyników pokazuje, że mieszkańcy czekają na oddanie amfiteatru i deklarują chęć masowego uczestnictwa w wydarzeniach.

Najtrudniejsze kwestie już za inwestorem. Ostatnia prosta budowy przed nami, a potem będziemy mogli już tylko oceniać kwestie wykorzystania artystycznego. Amfiteatr ma być wizytówką Koszalina, oby nie tylko architektoniczną.

Biblioteka przyszłości

6 listopada 2020 roku ogłoszono wyniki – organizowanego przez Politechnikę Koszalińską (PK) – międzynarodowego konkursu na projekt Centrum Wiedzy Cognitarium. Już dziś bez wątpienia możemy powiedzieć: jeżeli ten projekt zostanie zrealizowany, w Koszalinie powstanie miejsce, którego będzie nam zazdrościła cała Polska.

Zwyciężyła propozycja pracowni OVO Grąbczewscy Architekci z Katowic, który zakłada, że na placu pomiędzy ulicami Gdańską, Jana Pawła II, Śniadeckich i Chrzęszczyńskiego powstanie ogromny budynek złożony z dziewięciu bloków. Mają one tworzyć bibliotekę przyszłości, czyli miejsce, w którym oprócz biblioteki głównej PK znajdą się również: centrum szkoleniowo-konferencyjne, przestrzeń wystawiennicza z funkcją muzealną, galerie, kawiarnia, a także wirtualne laboratoria.

Skąd pomysł na tak nowoczesną i rozbudowaną przestrzeń? Podczas ogłoszenia wyników konkursu wyjaśniała to dr hab. Danuta Zawadzka, prof. PK, rektor Politechniki Koszalińskiej: – Pomysł na nową bibliotekę uczelnianą zrodził się już kilka lat temu. Jednak z biegiem czasu uznaliśmy, że należy w projekcie działań pójść szerzej i zaplanować miejsce o formule interesującej nie tylko dla studentów i pracowników Politechniki Koszalińskiej, ale również mieszkańców Koszalina i regionu Pomorza, a także odwiedzających to miejsce turystów.

W ten sposób z pomysłu na tradycyjną bibliotekę władze uczelni przeszły do koncepcji miejsca, jakiego w Koszalinie dotąd nie było: to ma być już nie tylko przechowalnia zbiorów bibliotecznych, ale i przyjazna przestrzeń do spotkań, wymiany poglądów, spędzania wolnego czasu.

Biblioteka z wielu bibliotek

W projekcie, który zwyciężył, znalazło się więc miejsce dla wielu bibliotek: Biblioteki Głównej Politechniki Koszalińskiej (BGPK), nowej filii Koszalińskiej Biblioteki Publicznej (KBP) i zbiorów wirtualnych innych bibliotek, np. pedagogicznej, lekarskiej (uzgodnienia trwają).

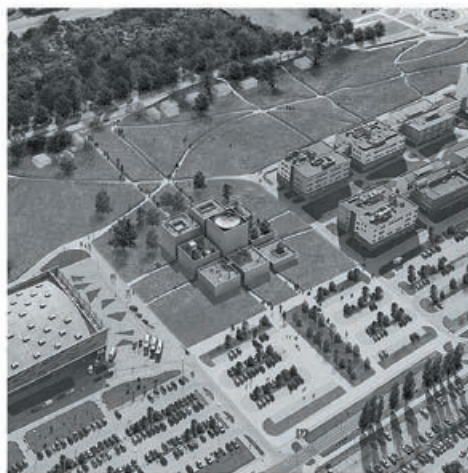
Budynki, w których znajdą się zbiory, są zaprojektowane w taki sposób, że czytelnicy będą mieli wolny dostęp do książek, czyli wybiorą interesujące ich pozycje, spacerując między półkami. Oprócz tego w tworzących całość Cognitarium budynkach znajdziemy też np. salę szkoleniową, pokoje do pracy indywidualnej, czytelnię ogólną wspomnianych bibliotek, wydawnictwo Politechniki Koszalińskiej, kawiarnie, ogrody na zewnątrz budynków oraz dostępne dla czytelników strefy zielone na dachach kilku obiektów.

Kolejną nowością będzie książkomat, w którym czytelnicy będą mogli całodobowo oddać lub odebrać zamówione książki. Oprócz tego w częściach dostępnych dla czytelników znajdą się również działy informacji naukowej BGPK i KBP oraz dział metodyczny KBP.

Teraz kilka słów o samym kompleksie. Poszczególne bloki, połączone pod i nad ziemią, stworzą układ uliczek, którymi można będzie przejść z największego kampusu PK do Hali Widowiskowo-Sportowej i od parkingów do terenu zielonego, który w przyszłości zmienić się ma w Park Naukowo-Technologiczny Politechniki Koszalińskiej. Ta otwarta struktura ma pozwolić na ewentualną rozbudowę obiektu.

Wypożyczalnia z wahadłem Foucaulta

Sam budynek złożony jest z dziewięciu niezależnych modułów – prostopadłościennych brył – pomiędzy którymi zlokalizowanych będzie osiem dojść prowadzących do centralnie położonego, wielopoziomowego holu. Ten natomiast ma ułatwiać orientację wewnątrz obiektu. Tworzące budynek moduły o podstawie kwadratu



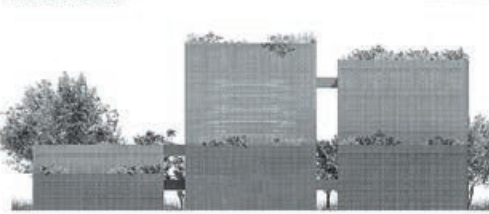
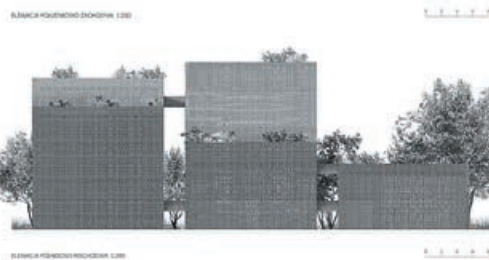
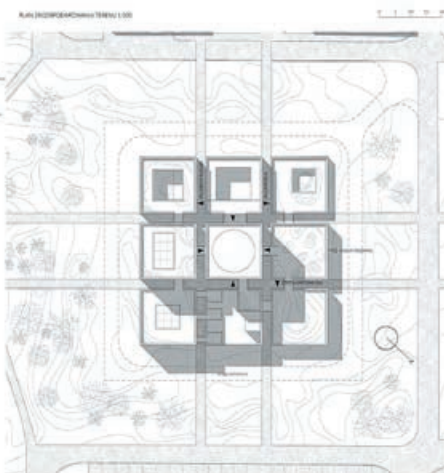
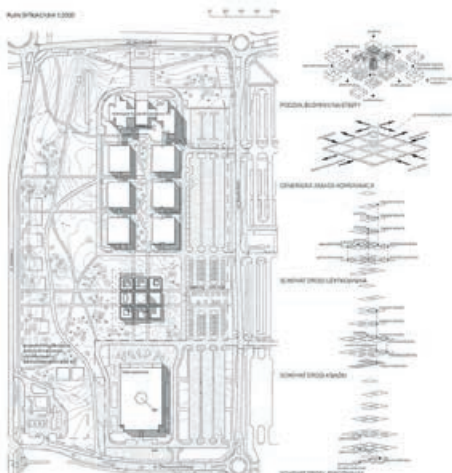
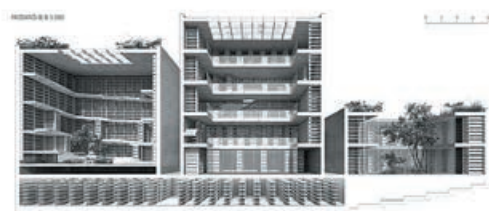
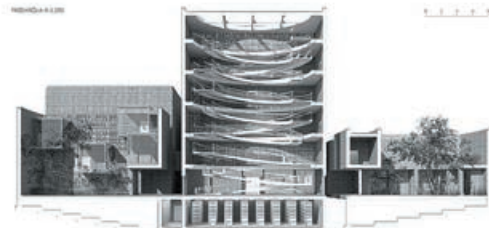
WIDOK 1. Z otoczenia (widok z południa)



WIDOK 2. Z otoczenia (widok z północy)



WIDOK 3. Przekrój (widok z południa)



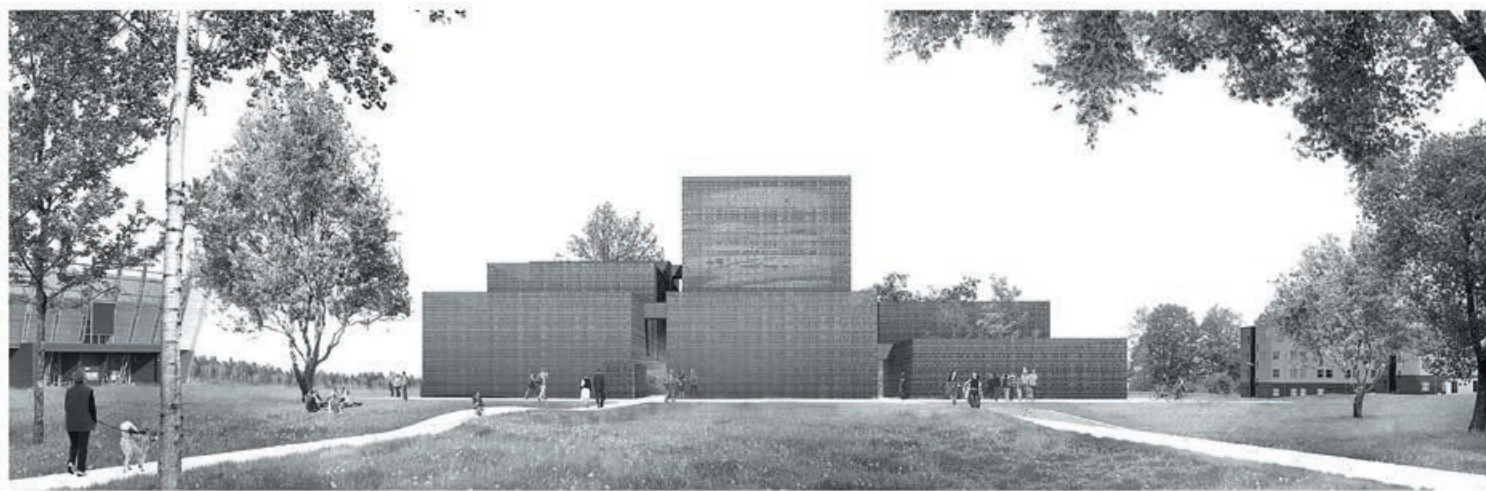
będą miały różną wysokość – od sześciu do nawet 24 metrów. Całość ma być połączona podziemnymi magazynami oraz mostkami dla pieszych.

– Jednym z najciekawszych wątków zawartych w zwycięskiej pracy jest idea tajemniczości i odkrywania tego budynku dla siebie, zwłaszcza przy pierwszej wizycie – podkreśla Bartosz Warzecha, prezes koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich i członek sądu konkursowego. – Ten budynek ma zatem wartość dodaną, oprócz nowoczesności technologicznej, funkcjo-

nalności i innych zalet. Tą wartością jest to, że on wywoła nasze zainteresowanie, zaciekawienie, chęć odwiedzenia, zobaczenia, co kryje się w środku.

No właśnie. Teraz kilka słów o jednej z największych atrakcji wizualnych przyszłego budynku Cognitarium. W najwyższym module budynku, w którym znajdzie się największa wypożyczalnia, zawisnie wahadło Foucaulta. Ogromna konstrukcja zostanie wyposażona w możliwość wahań w dowolnej płaszczyźnie pionowej.

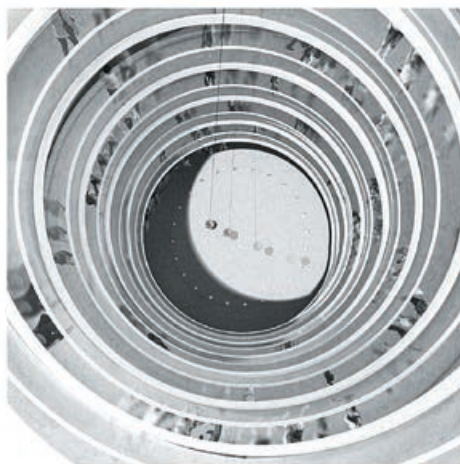
Powolna zmiana płaszczyzny ruchu wahadła względem Ziemi,



Widok z ulicy Śniadeckich 2, Koszalin



Widok z korytarza na piętrze, Koszalin



Widok z atrium na piętrze, Koszalin



Widok z atrium na piętrze, Koszalin

z naukowego punktu widzenia dowodzi jej obrotu wokół własnej osi.

Wahadło to urządzenie spektakularne ze względu na wielkość. Koszalińskie ma mieć długość zbliżoną do tego, które pracuje w siedzibie ONZ w Nowym Yorku. Pomysł na zawieszenie wahadła na terenie Politechniki Koszalińskiej ma już kilkadziesiąt lat. Jak informuje uczelniane Towarzystwo Wieży Clausiusa: „Założkiem tej idei był pomysł zbudowania wahadła Foucaulta w jednej z auli Politechniki Koszalińskiej”.

Na szlaku ceglanego gotyku

W późniejszych latach, gdy rozpoczęto budowę kampusu przy ulicy Śniadeckich 2, pojawiła się wizja posadowienia wahadła w wieży o kształcie piramidy (obok budynków). Miał to być architektoniczny symbol dedykowany Rudolfowi J. E. Clausiusowi, fizykowi, który w 1822 roku urodził się w Koszalinie. Po dyskusjach podjęto decyzję, iż zbudowana zostanie Wieża Clausiusa z zawieszonym w jej wnętrzu wahadłem Foucaulta.

Budowla miała być symbolem jedności europejskiej: Foucault był Francuzem, Clausius – Niemcem urodzonym w Koszalinie, a pomysłodawcy projektu reprezentowali „współczesny Koszalin i polską naukę”. Ta idea upadła, ale jej pokłosie znalazło się na szczęście w projekcie pracowni OVO Grąbczewscy Architekci z Katowic.

Podstawowym budulcem, z którego ma zostać wykonana koszalińska biblioteka przyszłości, będzie cegła. „Každą cegłą jest elementem powtarzalnym, a zarazem, dzięki niedoskonałościom, przepaleniom, nierównościami, każda jest indywidualna. Oczywiście ważny był też kontekst Koszalina jako miasta na szlaku ceglanego gotyku, skojarzenie z ceglanyimi budynkami użyteczności publicznej, wyrażenie nowoczesnej architektury w budulcu liczącym tysiące lat” – wyjaśniał w wywiadzie udzielonym pismu „Architektura & Biznes” Oskar Grąbczewski z pracowni OVO Grąbczewscy Architekci.

Znaczenie większe niż lokalne

Wstępny koszt budowy Cognitarium to 53 miliony złotych. – Od dawna prowadzimy różnego rodzaju działania, aby pozyskać środki na realizację tego zadania – przyznaje dr inż. Artur Wezgraj, kanclerz Politechniki Koszalińskiej i radny województwa zachodniopomorskiego. – W pierwszej fazie udało się nam namówić Sejmik Województwa Zachodniopomorskiego do wsparcia samego konkursu,

co pozwoliło również podnieść ten projekt do rangi regionalnej. Pojawiła się też możliwość wpisania Cognitarium do Krajowego Planu Odbudowy dla projektów o znaczeniu większym niż lokalne, które będą służyły odtworzeniu naszej infrastruktury społecznej, gospodarczej po okresie pandemii. Uczelni i samorządowi Koszalina udało się zgłosić nasz projekt do tego planu. Wszystko rozstrzygnie się w przyszłym roku, ale jesteśmy zdeterminowani do możliwie najszybszej realizacji projektu.

Zakończenie budowy biblioteki wstępnie zaplanowane jest na 2023 rok, o ile oczywiście uda się niełatwy montaż finansowy budżetu inwestycji, która już dzisiaj określana jest miastem „budynku przyszłości”.

Na konkurs ogłoszony przez Politechnikę Koszalińską, pod patronatem i ze wsparciem merytorycznym koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich, napłynęły 44 prace. Sąd konkursowy przyznał trzy nagrody i trzy wyróżnienia. Miejsce drugie zajął projekt biura Heinie, Wischer und Partner Architekci z Wrocławia, a trzecie – INTERURBAN Gdynia i THEZA Architekci Wrocław. Laureatami równorzędnych wyróżnień zostali: D+P ARCHITEKTURA Paweł Skóra Katowice oraz ZEEV BARAN ARCHITECT Jerozolima/Izrael; Andrzej M. Chołdzyński z Warszawy; Autorskie Studio Architektury ASA Architekci z Rzeszowa.

Andrzej Mielcarek

W świecie znaków

Rozmowa z dr hab. Moniką Zawierowską-Łozińską, profesor Politechniki Koszalińskiej

Jaki dla Pani był rok 2020 – jednym słowem?

– Bez namysłu powiem, że pracowity.

Ale chyba również udany? Drugi rok z rzędu miała Pani indywidualną wystawę w prestiżowej Galerii Związku Polskich Artystów Plastyków w Gdańsku. To nie zdarza się często.

– Byłam miło zaskoczona powtórным zaproszeniem w tak krótkim czasie. Tym razem przygotowałam ekspozycję zatytułowaną *Papier. Kamień. Nóż*.

Poprzednia, nazwana *Obrazy do noszenia*, składała się z prac ceramicznych, w tym w dużej części z porcelanowej biżuterii. Skąd u absolwentki kierunku graficznego, kojarzonej w roli nauczyciela akademickiego głównie z komunikacją wizualną, zainteresowanie technikami ceramicznymi?

– Nie ma żadnej sprzeczności między grafiką a ceramiką. Tak samo gdy tworzymy kolaż fotograficzny albo coś z zakresu komunikacji wizualnej, również tej komercyjnej, zaczynamy od obrazu, choćby to był pojedynczy znak. Od dziecka miałam kontakt z różnymi formami plastyki, próbowałam różnych rzeczy. Moi rodzice nie krępowali mojej ekspresji, nawet kiedy mając pięć lat „ozdabiałam” rysunkami ściany domu. Później, na studiach, również nie mogłam usiedzieć w miejscu. Już wtedy w ramach poszukiwania zajęć fakultatywnych zainteresowałam się tym, co dzieje się w pracowni ceramicznej, jednak wówczas niewiele dowiedziałam się o ceramice. Do poznania jej tajników dochodziłam praktycznie samodzielnie po latach.

To była Pani pierwsza wystawa złożona wyłącznie biżuterii i obrazów ceramicznych.

– Postawiłam sobie za zadanie, by każdy znalazł tam coś dla siebie. Pojawiły się prace, które nigdy nie były pokazywane, ale też

i takie, które wykonałam dawno temu. Celem było pokazanie małych dzieł sztuki do noszenia, skąd wziął się tytuł prezentacji. Porcelana to szczególnie materiał, doskonale nadający się na przedmioty osobiste: nagrzewa się od ciała, zachowuje jego ciepło, a nawet zapach.

A co kryło się za tytułem drugiej ekspozycji *Papier. Kamień. Nóż*?

– To oczywiście nawiązanie do znanej gry *Papier, nożyce, kamień*. Ta trójka ma z sobą bezpośredni związek w moim artystycznym doświadczeniu. Chciałam to uwypuklić. Papier jest wciąż podstawowym tworzywem plastyki, a jeśli nie podstawowym to na pewno pierwszym, gdy plastik rozpoczyna jakąś pracę. Nieważne, czy chodzi o papier w jego oczywistej czy nieoczywistej formie. Może on być przecież ekologiczny i pochodzić z recyklingu, może powstać z włókien, wiórów, szmat, a nawet plastiku. Papier może być kolorowy – można mu nadać barwę lub wykorzystać barwiony w różnych zestawieniach. Mogę go ciąć, giąć, szanować lub zniewolić, nadać mu strukturę lub z niego zbudować strukturę. Papier może być częścią masy porcelanowej, czyli kamienia – najpierw w jego sproszkowanej formie, potem w masie płynnej, a następnie w bryłach lub powierzchniach tworzących stałe, wypalone obiekty. Jeśli zaś miałabym wybrać najważniejsze narzędzia, to w mojej pracowni zaraz po ołówku pojawiłby się właśnie nóż. On rozdziela, tnie, rysuje, drapie.

Na wystawie pokazała Pani przestrzenne prace z papieru wykonane w technice pop-up. Dla oglądających zaskoczeniem był fakt, że mogli eksponaty dotykać, oglądać z każdej strony.

– Zawsze zachęcam do manipulowania wszystkimi prezentowanymi formami z papieru. W przypadku uczniów i studentów to jest





Fot. Izabela Rogowska

świetny wstęp do nauki konstruowania wielkich i małych budowli, a jednocześnie wstęp do projektowania w ogóle. Pop-up przeżywa teraz swój renesans. Studenci starszych roczników pamiętają, że przynosiłam na zajęcia trójwymiarowe książki, by mogli je rozebrać do zera, poznać mechanizm i konstrukcję, i by umieli sami stworzyć takie lustracje.

Ilustrowaniem książek interesuje się Pani od dawna.

– Lubię tę dziedzinę plastycznej aktywności. Mam na koncie kilka zilustrowanych książek, a wśród nich przestrzenną wersję *Mistrza i Małgorzaty*. Obecnie robię to raczej „do szuflady”, mam jednak nadzieję, że uda mi się jeszcze kiedyś wygospodarować czas na kolejne prace. Powieść Bułhakowa zamierzam zilustrować przynajmniej jeszcze raz, bo mam nowe pomysły...

Na własne przedsięwzięcia ilustracyjne brak Pani czasu, ale ilustracja wciąż jest w Pani świecie obecna.

– Na co dzień prowadzę wraz z asystentami pracownię introliigatorską, ale również zajęcia z „czystej” ilustracji książkowej, która służy między innymi nauce interpretacji tekstu wyrażonej wizualnie. Studenci często podejmują tematykę skłaniającą się w stronę dziecka. Wiele rzeczy szeroko z nimi omawiamy, szukamy właściwych kluczy do tekstów, wariantów, pomysłów. To daje sympatycz-

ne efekty. Ilustracja, zarówno w formie prostych piktogramów, jak i złożonych w treści i formie obrazów, jest naturalnym środkiem komunikacji dla grafika.

Jak radzą sobie na rynku Państwa absolwenci?

– Mówię to z poczuciem ogromnej satysfakcji: z naszej uczelni pochodzi wielu naprawdę utalentowanych i coraz bardziej liczących się ilustratorów. Projektują oni plastyczną oprawę książek dla dzieci i dla dorosłych, są autorami ilustracji medycznych i innych graficznych materiałów specjalistycznych.

Duże jest zapotrzebowanie na pracę grafików?

– Ono stale rośnie i nie mam tu na myśli operatorów komputerowych programów graficznych a projektantów w pełnym znaczeniu. W obieg wchodzi coraz więcej grafiki użytkowej, tworzonej na zamówienie, bo graficzny sposób komunikowania jest skrótowy i bezpośredni, stosunkowo jednoznaczny. Co jest zamawiane? Chodzi o rozmaite formy użytkowe: karty infograficzne, instrukcje graficzne, pomoce służące do nauki, wszelkiego typu gry i wiele, wiele innych rodzajów prac. O powodzeniu w zawodzie ilustratora zaświadcza liczba zamówień, a do naszych absolwentów płyną one nie tylko z Polski czy szerzej – Europy, ale również z Azji, zwłaszcza z Korei Południowej. W większości jest to grafika cyfrowa, która dla mnie jest ostatnią fazą kształcenia w zakresie graficznym, ale akurat na nią jest obecnie duże zapotrzebowanie, nasi studenci i byli studenci świetnie się w niej odnajdują.

Nie sposób nie zapytać o to, jak wygląda u Państwa proces dydaktyczny w okresie ograniczeń związanych z pandemią.

– Oczywiście nauczanie jest zdalne, z wykorzystaniem platform Teams i Zoom. Jednak taki tryb pracy jest ogromnym obciążeniem. W niektóre dni prowadzę zajęcia od rana do późnego popołudnia, a nawet dłużej. Cierpią na tym oczy ciągle skupione na ekranie komputera, ale również kręgosłupy przymuszone do nienaturalnej pozycji w trakcie siedzenia przed monitorem. Ustaliliśmy ze studentami, że kiedy to konieczne, jesteśmy w kontakcie z włączonymi kamerami i mikrofonami, ale kiedy już ustalimy co jest do zrobienia, kamery i mikrofony wyłączamy, a ja wciąż jestem dostępna, ale wtedy, gdy konsultacja jest naprawdę niezbędna.

Dr hab. Monika Zawierowska-Łozińska. Profesor Politechniki Koszalińskiej, jest absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz National College of Art and Design w Dublinie (Irlandia). Doktorat uzyskała w 2003 roku na Wydziale Malarstwa i Grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku (grafika), a habilitację w 2014 roku na Wydziale Architektury i Wzornictwa tej samej uczelni (wzornictwo). Jest nauczycielem akademickim Politechniki Koszalińskiej od 1997 roku. Prowadzi zajęcia z komunikacji wizualnej, infografiki, typografii, konstrukcji pop-up w kontekście projektowania wzornictwa i opakowań. Jednocześnie uczestniczy systematycznie w wystawach indywidualnych i zbiorowych, projektuje m.in. publikacje elektroniczne oraz infografiki, konstruuje publikacje dla dorosłych i dzieci zawierające elementy inżynierii papieru. Pasjonuje się typografią i technikami introliigatorskimi.



Prace studentów Moniki Zawierowskiej

Taki sposób pracy zdaje egzamin?

– Zasadniczo tak. Problemem jest rok pierwszy, który u nas powinien być wyłączony spod trybu zdalnego. W tym przypadku kontakt z nauczycielem jest kluczowy dla zdobycia podstawowych umiejętności, które okażą się niezbędne na kolejnych etapach studiów. Ćwiczenia rysunku muszą być prowadzone studyjnie. Trzeba pokazać, jak kąt patrzenia, ustawienie przedmiotu, światło wpływają na odbiór sytuacji. Z drugiej strony siła nacisku na papier, kąt pod którym trzymane jest narzędzie, nachylenie dłoni, dynamika ruchu dłoni i mnóstwo innych czynników – wszystko to można starać się opisywać słowem albo pokazać na filmie, lecz nigdy nie będzie to tym, czym jest wspólna praca, kiedy nauczyciel pokazuje konkretnemu studentowi określone różnice. To trzeba poczuć, doświadczyć tego i usłyszeć komentarz na gorąco.

Jak reagują studenci?

– Bezsprzecznie zdali sobie sprawę z tego, jak ważne jest zobać, powąchać, usłyszeć materiał. Ale również przejść się po korytarzu, myśląc o tym, co się tworzy w danym momencie, a nie tylko siedzieć w czterech ścianach swojego pokoju. Ogromnym wyzwaniem są tegoroczne dyplomy, bo nie wiadomo, czy pojawią warunki do normalnej ekspozycji prac i czy nie trzeba będzie przygotowywać jakichś wizualizacji, aby dało się zrozumieć istotę pracy i ocenić osiągnięty efekt w stosunku do założonego zamiaru. Myślimy nad tym usilnie, ale jesteśmy pełni obaw.

Ma Pani opinię autorki znakomitych logotypów. Czy nadal je Pani tworzy?

– W tej dziedzinie zatrzymałam się w pewnym punkcie. Uczą tego obecnie moi młodszy koledzy. Ja zaś skupiam się bardziej na typografii, która jest nowym przedmiotem na wzornictwie. Uznaliśmy, że jest niezbędna jako zawodowe wyposażenie każdego projektanta, absolwenta studiów wzorniczych. Chodzi o przynajmniej o dwa cele. Ktoś, kto współcześnie zajmuje się pro-

jektowaniem, powinien mieć minimum wiedzy i umiejętności, by kreatywnie podejść do liternictwa. Drugi cel to ćwiczenie kompetencji, które nazwałabym analogowymi – w tym również kaligrafii jako sztuki, oczywiście w podstawowym zakresie. Te zajęcia mają praktyczny wymiar, bo polegają na pracy z marką określonych firm albo instytucji.

Co to znaczy w praktyce?

– Przykładem niech będzie współpraca z Centralnym Ośrodkiem Szkolenia Straży Granicznej w Koszalinie. Zadaniem studentów stało się zaprojektowanie wszelkich elementów komunikacji wizualnej COSSG. Powstał cały zestaw materiałów wizualnych – od papieru firmowego i teczek okolicznościowych, po rozmaite instrukcje, oznakowania wraz z instrukcją tworzenia kolejnych znaków, jeśli miałyby powstawać w przyszłości. Nie jest to więc szkolenie teoretyczne ani tylko ćwiczenie, bo wszystko odbywało się w kontakcie z konkretnymi osobami reprezentującymi ośrodek i podlegało na bieżąco ocenie – znów nie tylko ze strony nauczycieli, ale również poprzez weryfikację ze strony tych, którym zaprojektowane znaki służą na co dzień. Bardzo konkretnym sprawdzianem sprawności projektantów było również zderzenie się z możliwościami technicznymi urządzeń drukujących materiały. Takie podejście pozwala studentowi zrozumieć, że najczęściej w praktyce zetknie się nie tylko z oczekiwaniami klienta, ale również z określonymi warunkami technicznymi, które musi brać pod uwagę w trakcie projektowania.

Czy ta forma zdobywania kompetencji przez studentów ma szansę kontynuacji przy obowiązujących ograniczeniach sanitarnych?

– Oczywiście. Kolejnym naszym „klientem”, na tej samej zasadzie jak COSSG, staje się obserwatorium astronomiczne powstałe w ramach koszalińskiego Budżetu Obywatelskiego. Pandemia utrudnia nam życie, przysparza dodatkowej pracy, ale nie może oznaczać obniżania poprzeczki wymagań wobec siebie.

Teraz może być już tylko lepiej...

Gołąb ma dwa znaczenia, a właściwie skojarzenia: plac ratuszowy Koszalina, czyli serce miasta, a ponadto – pokój, nadzieja. – Symbol ma nieść ukojenie – podkreśla Sara Olszewska, ilustratorka, która jest autorką projektu okładki tego „Almanachu”. – Pomyślałam, że powinno znaleźć się na niej coś dobrego, pozytywnego.

„Jako dziecko chciała być lekarką. Wydawało jej się, że rysunek to pasja, a medycyna – powołanie. Dostyc długo tkwiła w tym przekonaniu. Uważała, że zawód ilustratora jest nieosiągalny. Sądziła, że tylko wielcy artyści mają do niego prawo. Dziś zajmuje się tworzeniem ilustracji do książek. Od nowoczesnych programów komputerowych woli papier i ołówek i krok po kroku buduje swoją markę na krajowym rynku.” – tak zaczyna się opowieść Aleksandry Barcikowskiej o Sarze Olszewskiej, którą zamieściliśmy w „Almanachu Kultury Koszalińskiej 2019”.

To, co dobre i trochę otuchy

W tym wydaniu wracamy do tej postaci. Artystka przyjęła nasze zaproszenie i przygotowała okładkę wydawnictwa w edycji 2020. W ten sposób stała się siódmym grafikiem, który w szesnastoletniej historii pisma swoją pracą wzbogacił oprawę graficzną „Almanachu”. A zależało nam szczególnie, aby okładka korespondowała nie tylko z aktualnymi wydarzeniami kulturalnymi, ale także z tym, czym żyliśmy – i nadal żyjemy – czyli zagrożeniem wirusem COVID-19 i jego konsekwencjami społecznymi.

Pierwszy raz z Sarą Olszewską o projekcie okładki rozmawialiśmy latem 2020 roku. Choć w pauzie między pierwszym a drugim sezonem zarazy, mimo to w dystansie, w maseczkach. na ławce przed Koszalińską Biblioteką Publiczną. Żar lejący się z nieba spo-

wodował, że musieliśmy schować się pod daszkiem przy wejściu.

Uznaliśmy, że potrzebujemy wyrazistego symbolu. Szkic zamienił się w projekt wstępny, który jesienią nabral kształtu ostatecznego. – Projektując okładkę, miałam na uwadze ujęcie trudnego roku w możliwie bezbolesny, a nawet lekki sposób – mówi Sara Olszewska. – Obecna sytuacja dotyka każdego, koncepcja zawiera prostą i uniwersalną metaforę. Zależało mi, aby „Almanach” przywoływał na myśl to, co dobre i dodawał otuchy – po najgorszej burzy wychodzi Słońce.

Ołówek i kartka, rzadziej komputer

Sara Olszewska (rocznik 1991) jest ilustratorką i graficzką, absolwentką Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej (obecnie: Wydział Architektury i Wzornictwa). Projektuje z myślą o dzieciach, prowadzi autorskie warsztaty plastyczne. Lubi rysować ołówkiem, pasjonuje się grafiką warsztatową, w szczególności monotypią.

Dla Wydawnictwa Dwie Siostry zilustrowała polską wersję *Drzewa życzeń* Katherine Applegate, książki, która długo gościła na liście bestsellerów „New York Timesa” i została przetłumaczona na kilkadziesiąt języków. W 2018 roku Sara Olszewska została wyróżniona prestiżowym dyplomem *FONT nie czcionka!*.

Odkąd pamięta, chciała rysować. – Najlepiej czuję się z ołówkiem i kartką, czasami sięgam po kredki – mówiła na łamach „Almanachu”. – Staram się, żeby moje rysunki były swobodne. Nie wyobrażam sobie, żeby całkowicie tworzyć na komputerze, coś czasami trzeba podrasować, ale to raczej detale.

Pierwszą propozycję ilustracji otrzymała na studiach. Portfolio ze swoimi pracami rozesłała do wydawnictw. Debiutem ilustratorki była seria książek edukacyjnych dla dzieci. Po niej przyszły kolejne zlecenia, o tych, nad którymi pracuje najczęściej nie może mówić. – Czuję się szczęśliwa, cały czas się uczę, spełniają się moje marzenia zawodowe – powiedziała Aleksandrze Barcikowskiej w 2018 roku.





Wiosną powiało grozą

Dzisiaj na pytanie o bilans ostatnich miesięcy Sara Olszewska ciężko wzdycha: – To był bardzo trudny rok. Wiosną powiało grozą, dowiedziałam się, że masa projektów została przeniesiona na przyszły rok, z wielu wydawcy zrezygnowali – dodaje. – Zamykały się drukarnie, dla wydawnictw największym problemem było załamanie się rynku sprzedaży książek. Nie działały księgarnie, hurtownie.

Artystka odwołała swoje warsztaty, nawet umówione z rocznym wyprzedzeniem. Przygotowała ilustracje do gier, dwóch książek, wzięła udział w prestiżowym Festiwalu Miasto Słowa, które towarzyszy Nagrodzie Literackiej Gdynia (sierpień 2020). Znalazła się wśród znanych postaci: Manueli Gretkowskiej, Katarzyny Nosowskiej, Doroty Masłowskiej, Zygmunta Miłoszewskiego.

Wyjazd do Gdyni był jednym z jaśniejszych punktów 2020 roku. Sara Olszewska opowiada: – Miałam okazję spotkać Marka Niedźwiedzkiego, którego uwielbiam. Prowadziłam warsztaty, on miał spotkanie z czytelnikami. Znaleźć się w tym samym programie imprezy, obok siebie – wielka radość! Kupiłam najnowszą jego książkę, zdobyłam autograf. Chociaż bezpośredni dostęp do dziennikarza był utrudniony, mimo to wzruszeń i uśmiechów nie zabrakło – śmieje się ilustratorka.

Jak będzie wszystkim nam żyło się w 2021 roku? – Inaczej – mówi z przekonaniem. – Jesteśmy mądrzejsi o doświadczenia z roku dwudziestego. Staram się myśleć pozytywnie. Czuję, że wychodzimy z najgorszego okresu.

Dobre nastawienie do przyszłości

Przed wydaniem „Almanachu” ostatni raz rozmawialiśmy w połowie grudnia 2020 roku. Artystka przyznała, że była silniejsza psychicznie niż we wcześniejszych miesiącach roku, co tak definiowała: – Dla każdego człowieka utrata wolności ma największe znaczenie, a my teraz tę wolność chcemy jak najszybciej odzyskać. Mam nadzieję, że wielu ludzi wirus nauczył, w jaki sposób właściwy z niej korzystać.

Wracając do okładki i towarzyszących jej powstawaniu inspiracji. Gołąb ma dwa znaczenia, a właściwie skojarzenia: plac ratuszowy Koszalina, czyli serce miasta, a ponadto – pokój, nadzieja. – Symbol ma nieść ukojenie – podkreśla Sara Olszewska. – Jak tylko przyjąłam zaproszenie do stworzenia okładki, pomyślałam, że powinno znaleźć się na niej coś dobrego, pozytywnego – wspomina. – Początkowo chciałam narysować domy z cechami ludzkimi, ale w sytuacji pandemii to mogłoby skojarzyć się z tym, że człowiek tkwi w zamknięciu.

Ilustracja, która ostatecznie znalazła się na okładce – w ocenie autorki – pozwala pokazać, że przestrzeń otwarta należy do nas, wszystko będzie funkcjonować tak, jakbyśmy tego chcieli, wystarczy nabrać oddechu, poczekać i na obecną sytuację spojrzeć z dystansem. Sara Olszewska deklaruje: – Jestem pozytywnie nastawiona do przyszłości. Wierzę, że to, co dobre w większej mierze zależy od nas. Możemy przyciągać to, na czym nam zależy i dbać o siebie, otoczenie.

Młode kino w trudnych czasach

39. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”; 1 – 5 września 2020

Droga tegorocznego festiwalu Młodzi i Film (MiF) do widzów była, jak wielu imprez w Polsce, kręta i pełna przeszkód. Organizatorom – Stowarzyszeniu Filmowców Polskich, Miastu Koszalin i Centrum Kultury 105 – udało się ją jednak przejść i znaleźć dla imprezy formułę równie bezpieczną, co atrakcyjną. Było więc sprawdzanie temperatury, obowiązkowe maseczki, dezynfekcja, wypełniona do połowy sali kina Kryterium, ale też mnóstwo dobrych filmów i przede wszystkim kultura na żywo.

Nie obyło się jednak bez znaczących zmian, w tym terminu festiwalu. Zamiast w czerwcu, festiwal odbył się we wrześniu i był o jeden dzień krótszy. Wszystko działo się w jednym miejscu – Centrum Kultury 105 – nie licząc niedalekiego placu przed Amfiteatrem, gdzie miały miejsce plenerowe wieczorne seanse kina samochodowego. Ciąć trzeba było też program. Nie znalazła się w nim m.in. scena muzyczna (szkoda, bo koncerty to zawsze mocny punkt MiF), a liczne zazwyczaj spotkania, dyskusje, panele i przeglądy specjalne ograniczono do kilku.

Festiwalowi towarzyszyła filmowa wystawa prac Henryka Sawki oraz fotografii studentów warszawskiej ASP, a także mini recital Mary Komasy i Antoniego Komasy-Łazarkiewicza, który uświetnił galę wręczenia Jantarów 2020. Bez zmian natomiast pozostały festiwalowe konkursy oraz dyskusje Szczerość za Szczerość po seansach, z udziałem debutantów.

W Konkursie Pełnometrażowych Debiutów Fabularnych zmierzono się dziesięć tytułów: *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*, reż. Jan Holoubek; *1800 gramów*, reż. Marcin Głowacki; *Fisheye*, reż. Michał Szcześniak; *(Nie)znajomi*, reż. Tadeusz Śliwa; *Pewnego razu w Ogródkach Działkowych*, reż. Rafał Bryll; *Polot*, reż. Michał Wnuk; *Smak pho*, reż. Mariko Bobrik; *Supernova*, reż. Bartosz Kruhlak; *Wszystko dla mojej matki*, reż. Małgorzata Imielska; *Żelazny most*, reż. Monika Jordan-Młodzianowska. Filmy oceniało jury w składzie: Ewa Puszczyńska – przewodnicząca, Małgorzata Szytak, Bodo Kox, Mateusz Pacewicz, Mikołaj Trzaska.

Do Konkursu Krótkometrażowych Debiutów Filmowych zgłoszono rekordową liczbę propozycji – ponad 300. Ostatecznie znalazło się w nim 71 filmów: 37 fabuł, 19 dokumentów oraz 15 animacji. Tu w jury zasiedli: Paweł Maślona – przewodniczący, Marta Frej, Magdalena Popławska, Anna Różalska oraz Radosław Ochnio.

Największymi wygranymi głównego konkursu okazały się filmy *Supernova* w reż. Bartosza Kruhlika (Wielki Jantar) oraz *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy* w reż. Jana Holoubka, który zebrał aż pięć nagród, w tym publiczności.

Wybory nie były specjalnym zaskoczeniem, bo to zdecydowanie dwa najmocniejsze debiuty 2020 roku, doceniane również podczas innych festiwali, ale warto również wspomnieć o wyróżnionym nagrodą przez sieć kin studyjnych, ciekawym *Żelaznym moście* w reż. Moniki Jordan-Młodzianowskiej ze znakomitymi rolami Julii Kijowskiej, Bartłomieja Topy i Łukasza Simlata.

Miejmy nadzieję, że jubileuszowa 40. edycja MiF w 2021 roku odbędzie się już w swobodnej atmosferze, pełnym wydaniu i z kompletem widzów na sali.



Fot. Izabela Rogowska (3)



Jantary 2020

Wielki Jantar 2020 za pełnometrażowy debiut fabularny: *Supernova*, reż. Bartosz Kruhlik
Jantar 2020 im. Stanisława Różewicza za reżyserię: Jan Holoubek, *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*
Jantar 2020 za scenariusz: Andrzej Gołda, *25 lat niewinności...*, reż. Jan Holoubek
Jantar 2020 za główną rolę męską: Piotr Trojan *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*, reż. Jan Holoubek
Jantar 2020 za główną rolę kobiecą: Julia Kijowska, *Fisheye*, reż. Michał Szczęśniak
Jantar 2020 za odkrycie aktorskie: Lena Nguyen, *Smak Pho*, reż. Mariko Bobrik
Jantar 2020 za zdjęcia: Bartłomiej Kaczmarek, *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*, reż. Jan Holoubek
Jantar 2020 za muzykę: Agata Kurzyk, *Fisheye*, reż. Michał Szczęśniak
Jantar 2020 za krótkometrażowy film animowany: *Z czosnkowym wziełem*, reż. Zuzanna Stach
Wyróżnienie Ale kino+ za krótkometrażowy film animowany: *Własne śmieci*, reż. Daria Kopiec
Jantar 2020 za krótkometrażowy film dokumentalny: *Synek*, reż. Paweł Chorzępa
Wyróżnienie Ale kino+ za krótkometrażowy film dokumentalny: *We have one heart*, reż. Katarzyna Warzecha
Jantar 2020 za krótkometrażowy film fabularny: *Maria nie żyje*, reż. Martyna Majewska
Wyróżnienie Ale kino+ za krótkometrażowy film fabularny: *Zanim zasnę*, reż. Damian Kosowski
Jantar 2020 za dźwięk do filmu krótkometrażowego: Irena Suska, *Noamia*, reż. Antonio Goldamez
Jantar 2020 za zdjęcia do filmu krótkometrażowego: Kajetan Plis, *Noamia*, reż. Antonio Goldamez
Nagroda Specjalna Sieci Kin Studyjnych i Lokalnych: *Żelazny most*, reż. Monika Jordan-Młodzianowska
Nagroda Dziennikarzy za film krótkometrażowy: *Maria nie żyje*, reż. Martyna Majewska
Nagroda Dziennikarzy za film pełnometrażowy: *Supernova*, reż. Bartosz Kruhlik
Nagroda Publiczności: *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*, reż. Jan Holoubek



Fot. Materiały prasowe/Sylvia Olszewska (2)



Festiwal w ważnej sprawie

17. Europejski Festiwal Filmowy Integracja Ty i Ja; 3 – 7 listopada 2020

Rozmowa z Łukaszem Maciejewskim, krytykiem filmowym, który poprowadził część spotkań online z gośćmi 17. EFF Integracja Ty i Ja, a wcześniej Filmową Akademię Integracji, również w wersji online

Tegoroczny festiwal był, można powiedzieć, historyczny, ale nie w sensie, o jakim byśmy marzyli.

– Zgadza się. Wszystkie nasze przyzwyczajenia polegające również na tym, że przyjeżdżamy na festiwale filmowe, żeby się spotkać, uściśnąć sobie dłonie, oglądać filmy i dyskutować o nich, zostało wywrócone do góry nogami. Jest w festiwalach, które nie są online coś – choć może to za duże słowo – heroicznego. Koszalin jest zupełnie niezwykły, bo w ostatnim dniu zostały zamknięte placówki kultury, także kina, a my w piątek mieliśmy galę zamykającą, więc los nad nami czuwał. To prawdopodobnie ostatni festiwal „na żywo” w 2020 roku.

Jest pan wyjątkowo zajęтым człowiekiem. Jak w tym ogromie obowiązków znajduje pan czas, żeby już od trzech lat przyjeżdżać do Koszalina?

– No, to jest moje życie. Kiedy kończyłem studia, krytyk filmowy był osobą piszącą recenzje, ale rzeczywistość szybko się zmieniła. I ja też stosunkowo szybko, bo już na studiach, zrozumiałem, że żeby być w tym elitarnym gronie, które chce i może z tego żyć, trzeba robić bardzo różne rzeczy, a wśród nich jest prowadzenie spotkań czy festiwali. Sądziłem, że pierwsza fala pandemii, od marca do czerwca, sprawi, że ten rok już sobie skreślę, myślałem że będę trochę wolniej funkcjonował. Nic z tego. Miałem szalenie intensywny czas. A Koszalin to jest święto. Pokochałem miasto, i pokochałem Integrację Ty i Ja.



Za co?

– Po pierwsze robią ten festiwal wspaniali ludzie, cudowna Basia (Jaroszyk – dop. red) i cały zespół. Po drugie czuje się, że to festiwal w ważnej sprawie, który naprawdę ma sens. Dzięki programowi wymyślonemu przez dyrektora Dariusza Pawlikowskiego, filmom, ale też dzięki temu wszystkiemu, co dzieje się dookoła: spotkaniom, rozmowom, debatom odkryłem, że jest możliwa impreza, podczas której nie ma żadnych ograniczeń. Tutaj naprawdę wszyscy jesteśmy razem, naprawdę się szanujemy, nie litujemy nad sobą, tylko chcemy wysłuchać nawzajem swoich historii. Cieszę się, że ta nasza przyjaźń jest kontynuowana, że mogę mieć w koszalińskim festiwalu swój mały udział.

Pani Jadwiga Jankowska-Cieślak przypominała mi, że o Integracji mówiłem jej w 2019 roku. Pamiętam jej reakcję: „Łukasz, no to ja chcę tam przyjechać!”. Mija rok i pani Jadwiga jest z nami, nawet w tych trudnych czasach.

Wydaje się, że tematyka niepełnosprawności jest teraz dość mocno obecna w filmach i fabularnych, i dokumentalnych.

– Jest obecna. W filmie światowym trwa przełamywanie ostatnich tabu. W polskim dokumencie i fabule ta tematyka w ogóle nie była do lat 90. poruszana. Wyjątkiem były filmy dokumentalistek Krystyny Gryczelowskiej i Ireny Kamieńskiej. Potem był Jacek Bławut i *Nienormalni*. Pojawił się Maciej Pieprzyca. No, ale mówimy o zaniedbaniu. Osoby z niepełnosprawnościami, których zawsze było wiele, nie miały ekwiwalentu w fabułach, a nawet w kinie dokumentalnym, co jest absolutnie szokujące. To jest zawsze bogaty materiał, wzruszające historie, w fabułach ciekawe role. W dokumencie – najprościej mówiąc: mamy zdrową, piękną dziewczynę, która szuka chłopaka i mamy osobę ze stwardnieniem rozsianym,

której bardzo chce się żyć, ale jej plotą losy się dramatycznie. O kim wolimy obejrzeć film? No, ewidentnie o tej osobie, która ma jakąś historię dramatyczną. Dlatego to tak ciekawe filmy i jest ich tak dużo. Myślę, że to dobrze. Oby to były ciekawe historie, nie cyniczne.

Czy z punktu widzenia krytyka filmowego to są dobrze opowiedziane historie?

– Nie ma, niestety, jednej odpowiedzi. W 2018 roku byłem na koszalińskim festiwalu jurorem, więc obejrzałem wszystkie filmy. Paradoksalnie zapamiętałem, poza filmami nagrodzonymi, te mniej udane w sensie artystycznym. Były tak poruszające, przerażające, czasem zasmucające, że utrwaliły się w mojej pamięci. Pamięta się bohaterów, bo pamięta się historię.

Werdykt – Motyle 2020

Motyl 2020 w kategorii filmu fabularnego:

Sukienka, reż. Tadeusz Łysiak

Wyróżnienia w kategorii filmu fabularnego:

dla aktorki Anny Dzieduszyckiej za rolę w filmie *Sukienka*;

dla aktora Tommy'ego Jessopa za rolę w filmie *Niewinność*,
reż. Ben Reid

Motyl 2020 w kategorii filmu amatorskiego:

Zadanie, reż. Dariusz Janiczak

Wyróżnienia w kategorii filmu amatorskiego:

Chorzowskie bery i bojki, reż. Sylwia Pradelok-Świerc
i Paweł Mikołajczyk

Monolog stereo, reż. Mariusz Wieliczko

Motyl 2020 w kategorii filmu dokumentalnego:

Uścisków twoich mi potrzeba, reż. Andrej Kuciło

Wyróżnienia w kategorii filmu dokumentalnego:

Co zdarzy się jutro, reż. Anastasia Shtandke

Przeprowadzka, reż. Omer Ben David

Maricarmen, reż. Sergio Morkin

Nagroda Specjalna Rektora Politechniki Koszalińskiej:

Życie nr 2, reż. Krzysztof Włostowski

Nagroda publiczności:

Na górze Tyrryry, reż. Renata Kijowska



Fot. Materiały prasowe/Wojciech Szwej (4)

Włączeni w kulturę! – to hasło 17. edycji EFF Integracja Ty i Ja. Festiwal odbył się wyjątkowo w listopadzie, a nie we wrześniu.

Seanse konkursowe i specjalne widowiska obejrżeli w sali kina Alternatywa, w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej. Spotkania z gośćmi, jurorami, a także z cyklu *Włączeni w kulturę*, przeniosły się w przestrzeń wirtualną. Realizacja wydarzeń online, w tym transmisja gali zamknięcia, była możliwa dzięki współpracy ze Studiem HD Politechniki Koszalińskiej. Uczelnia po raz pierwszy ufundowała Nagrodę Specjalną Rektora Politechniki Koszalińskiej w konkursie filmowym.

W spotkaniach online wzięli udział jurorzy – Jadwiga Jankowska-Cieślak – aktorka oraz Kuba Czekaj – reżyser (w jury zasiadli także Eugeniusz Gordziejuk – producent i Mariusz Trzeciakiewicz – prezes fundacji Katarynka), Małgorzata Foremniak – aktorka, Anna Dzieduszycka – odtwórczyni głównej roli w konkursowym filmie *Sukienka*, Wojciech Retz, jeden z bohaterów filmu *Na górze Tyrryry*, Petro Aleksowski – operator i reżyser, również konkursowego *Papcia Chmiela*, Weronika Wojciechowska – fotografka oraz Krzysztof Głombowicz, dziennikarz i komentator sportowy.

W konkursie filmowym o Motyle 2020 zmierzyły się 33 produkcje z całego świata, z ponad dwudziestu krajów: Izraela, Iranu, Hiszpanii, Węgier, Chorwacji, Niemiec, Francji, Danii, Polski, Białorusi i Rosji, w tym 15 dokumentów, 12 fabuł i 6 produkcji amatorskich. Poza konkursem pokazane zostały znakomite, utytułowane filmy: *Ikar*. *Legenda Mietka Kosza* w reż. Macieja Pieprzycy, *Babyteeth* w reż. Shannon Murphy, *Nadzwyczajni* w reż. Tylera Nilsona i Mike'a Schwartza, *Nadzieja* w reż. Marie Sødahl, *Nadzwyczajni* w reż. Érica Toledano i Oliviera Nakache.

Festiwalowi towarzyszyła wystawa *Matka Boska w wódslonach* Marcina Mariaka, artyści z niepełnosprawnością pochodzącego z Białogardu, na którą złożyło się siedemnaście obrazów, oraz wystawa podsumowująca projekt Fotokonfrontacje, realizowany w ramach EFF Integracja Ty i Ja w latach 2015–2019.

Organizatorzy Małych Festiwali Ty i Ja w wielu miejscowościach Polski, przygotowali własne wydarzenia, zajęcia i projekcje filmowe. Kina studyjne w dużych miastach pokazały wybrane festiwalowe filmy (4 i 5 listopada).

(red)





Sztuka lockdownu w dokumencie filmowym

Artyści w czasie pandemii to projekt, który CK 105 zorganizował z lokalnymi twórcami. Pierwszą jego częścią była wystawa w Bałtyckiej Galerii Sztuki (sierpień 2020), drugą jest dokument filmowy.

– W czasach zamknięcia i izolacji inaczej się tworzy – podkreśla Izabela Madajczyk z Centrum Kultury 105 (CK 105). – Dla jednych artystów to ograniczenie, dla innych moment zatrzymania i złapania oddechu. Ten czas jest na swój sposób wyjątkowy, prace w nim tworzone także. Postanowiliśmy je pokazać i stworzyć coś na kształt kroniki dla kolejnych pokoleń.

Prace powstawały w czasie lockdownu, kiedy artystom często towarzyszyły często skrajne emocje jak strach, smutek, ale i spokój. Wojciech Szwej, fotografik: – Moje fotografie powstały, gdy po powrocie z zagranicy musiałem odbyć dwutygodniową kwarantannę. Robiłem zdjęcia wszystkiemu, co wtedy znajdowało się wokół mnie: pustym pudełkom po jedzeniu na wynos, cieniom słońca wpadającego przez okno, gołębiom za oknem. Ten ostatni widok dał mi do zrozumienia, z jakim paradoksem muszę się zmierzyć. Ptaki symbolizujące wolność, które mogę oglądać tylko za szybą. Zatęskniłem za normalnością. To, co wtedy mi towarzyszyło to pustka – pokazałem ją na swoich zdjęciach.

W wystawie wzięli udział także Greta Grabowska, Ewa Miśkiewicz-Żebrowska, Dorota Popowicz-Majewska, Beata Orlikowska, Waldemar Jarosz, Tomasz Majewski, Krzysztof Rećko-Rapsa oraz Krzysztof Urbanowicz, którzy pokazali zarówno prace malarskie, jak i fotograficzne.

Druga część projektu to film dokumentalny. Ma on przedstawiać nie tylko efekt pracy artystów, ale także ich świat od kuchni: domy, pracownie, warsztaty. To, jak koszańscy artyści tworzą w czasie pandemii. – Pierwsze zdjęcia kręciliśmy w CK 105 – tutaj zostało stworzone specjalne studio – później weszliśmy z kamerą w bardziej intymną



Fot. Materiały prasowe CK 105

część pracy naszych bohaterów – mówi Izabela Madajczyk. Widzowie będą mogli zobaczyć, jak rodzi się pomysł, w jakim otoczeniu i jak wygląda jego realizacja. Na co zwracają uwagę, czym się kierują. To pozwoli nie tylko lepiej poznać naszych lokalnych twórców, ale i lepiej zrozumieć, co pokazują przez sztukę. Uważamy ten projekt za ważny dla mieszkańców naszego miasta.

Praca nad filmem, w szczególności zdjęcia, uzależnione są od sytuacji epidemiologicznej w kraju. Premiera filmu została zaplanowana na 2021 rok.

Filmowe historie przypomniane

Powstawały niemal jednocześnie. Zdjęcia do jednego filmu przeplatały się montażem drugiego, a czas przerwy w obostrzeniach sanitarnych i wytnienia od lockdownu upłynął ekipie pod znakiem wytężonej pracy. Pasjonaci historii z Grupy Rekonstrukcyjnej „Gryf” i koszalińscy filmowcy ze Studia Jart w grudniu 2020 roku, w ramach projektu *Koszalin. Historie zapomniane*, pokazali premierowo dwa obrazy: *Kryptonim BOA* oraz *Dziewczyny z powstania w Koszalinie*.

„Kiedy robisz film, to przestaje być tylko film, lecz staje się częścią twojego życia” – mawiał brytyjski aktor, reżyser i scenarzysta, Alan Rickman. Jego słowa doskonale opisują pracę nad filmem historycznym. W przypadku *Kryptonimu BOA* kwerenda trwała niemal pół roku. – To była mozolna, wręcz mrówcza praca, jak choćby zapoznanie się z ponad trzema tysiącami stron akt Urzędu Bezpieczeństwa. Niektóre zapisane są odręcznie – mówi Marcin Maślanka z GRH „Gryf”.

Kryptonim BOA to film o podporuczniku Stefanie Pabisiu ps. Stefan, dowódcy Bojowego Oddziału Armii AK i AKO. – Nie był bohaterem z pierwszych stron gazet – wskazuje Marcin Maślanka. – Robił wielkie rzeczy, był ważnym dowódcą, walczył z okupantem niemieckim, później z wrogiem sowieckim, ale żył w cieniu. Jego historia jest niesamowita. Brał udział w akcji „Burza”, pięciokrotnie w spektakularny sposób wymknął się z rąk NKWD i UB. Odsiedział wiele lat w więzieniu i do połowy lat 80. był inwigilowany.

W chwili wybuchu II wojny światowej Pabiś miał 31 lat. W kampanii wrześniowej bronił Lwowa. Trafił do niewoli, do obozu jenieckiego w Równem. Po kilkunastu dniach zbiegł, rozpoczynając istny serial ucieczek. „Ja byłem taka nieujarzmiona dusza” – tłumaczył po latach.

Film pokazuje działalność Stefana Pabisia na Kresach Wschodnich,



Fot. Magdalena Pater / Studio Jart

w okolicy Grodna i Wołkowyska. W 1945 roku „Stefan” objął stanowisko dowódcy nowego oddziału partyzanckiego, który działał pod kryptonimem BOA (Bojowy Oddział Armii). Żołnierze z Wołkowyska dotarli na Pomorze. Do 1948 roku działali na terenie powiatu szczecińskiego i koszalińskiego. Szybko zasłynęli z brawurowych akcji. Przykrywką dla ich konspiracyjnej i dywersyjnej działalności była Spółdzielnia Pracy „Robotnik” przy ulicy Spichrzowej 2 w Bobolicach.

Podporucznik Stefan Pabiś został skazany na dwukrotną karę śmierci. Wyrok został później zamieniony na dożywocie. W więzieniu spędził osiem lat – do 1955 roku. – To jest naprawdę piękny życiorys – podkreśla Arkadiusz Pater ze Studia Jart. – Pabiś uciekał z sytuacji bez wyjścia. Wyskoczył z pędzącego pociągu. Dziś możemy powiedzieć, że miał coś z Jamesa Bonda. Dzięki odwadze i pomysłowości mocno zaznaczył swoją obecność na Pomorzu.



Dziewczyny z powstania





Kryptonim BOA

Film trwa godzinę. – Dziesięć minut to komentarz historyczny doktora Tomasza Łabuszewskiego z Instytutu Pamięci Narodowej oraz doktora Zenona Kachnicza – dodaje Arkadiusz Pater. – Nieocenioną wartość mają fragmenty wywiadu z Zygmuntem Pabisem, synem podporucznika, który sam uczestniczył w niektórych akcjach ojca i potwierdził ważne dla historycznego tła wątki

Cześć fabularyzowana trwa 50 minut. W rolę Stefana Pabisia wcielił się Miłosz Krzemiński. W kilkudziesięcioosobowej ekipie filmowej byli aktorzy Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, ale też aktorzy z Warszawy i Gdyni. Zdjęcia kręcone były między innymi w Ostrołęce i w górach, gdzie w scenach zimowych „zagrał” pierwszy śnieg. – Musieliśmy szukać nowych miejsc, bo w dotychczasowych filmach wykorzystaliśmy wiele planów z regionu – tłumaczy Arkadiusz Pater. Niezmiennie kamery gościły we wnętrzach Bursztynowego Pałacu w Strzekęcinie i Cichego Dworu w Policku.

Kryptonim BOA miał swoją premierę na YouTube w grudniu 2020 roku. Podobnie druga produkcja: edukacyjna z elementami rekonstrukcji historycznej *Dziewczyny z powstania warszawskiego w Koszalinie*. To historyczna perełka, która przybliży widzom mało znany wątek z najnowszych dziejów miasta. – W tym przypadku bardzo trudno było nam znaleźć kolejne fakty – wspomina Marcin Maślanka. – Mieliliśmy mikroskopijne fragmenty historii, pojedyncze poszlaki, dosłownie nitki, z których powoli tkaliśmy sieć. To chyba nasze najtrudniejsze historyczne śledztwo.

Opowieść o wojnie toczy się z perspektywy uczestniczek powstania warszawskiego, które były więzione w Koszalinie. – W katedrze w 1985 roku zawieszona została tablica upamiętniająca Polki, które zesłano do niemieckiego Koszalina. Mieliliśmy zatem informację



Dziewczyny z powstania

z tablicy, ale nic więcej – akcentuje Marcin Maślanka. – Udało nam się dotrzeć do relacji przymusowych robotników i z nich wiemy, że do Koszalina w kilku transportach przywieziono około 200 kobiet. Niektóre z nich przyjechały tu z dziećmi. Trafiły do obozu, który zlokalizowany był w pobliżu dzisiejszej ulicy Jana z Kolna. Od jesieni 1944 roku do maja 1945 roku były przetrzymywane i wykorzystywane przez Niemców do niewolniczej pracy.

Film pokazuje, jaką rolę kobiety odegrały w powstańczym zrywie, i jaką cenę za to zapłaciły. Co ciekawe, około 20-30 pań zostało w Koszalinie. Były jednymi z pionierek miasta. Współtworzyły m.in. miejską służbę zdrowia, pracując jako pielęgniarki. – Mówimy, że to film w stylu „koszaliński Wołoszański” – mówi Arkadiusz Pater. – Narrację historyczną lektora wzbogaciliśmy scenami fabularnymi z okresu przed powstaniem warszawskim, z samych walk oraz przyjazdu kobiet na dworzec Köslin. Pokazujemy ich pracę i życie w niewoli.

Pater i Maślanka stworzyli scenariusze do obu produkcji. Obie wspólnie wyreżyserowali. Dotąd zrealizowali filmy m.in. o Jerzym Leonowiczu, koszalinianinie i powstańcu warszawskim; Piotrze Karpowiczu, żołnierzu AK i późniejszym wykładowcy Politechniki Koszalińskiej; Zdzisławie Badosze, czyli słynnym „Żelaznym” oraz o kilkumiesięcznym pobycie w naszym mieście kilkudziesięciu żołnierzy z Westerplatte. Wszystkie obrazy są udostępnione w internecie, na płytach DVD autorzy przekazali je też do szkół.

Dziewczyny z powstania warszawskiego w Koszalinie to dziewiąta wspólna produkcja historyczno-filmowego teamu. To oznacza, że rok 2021 przyniesie obraz jubileuszowy. Czekamy z niecierpliwością. Historia jest pasjonującą powieścią, która się zdarzyła naprawdę, a w wydaniu Jart & Gryf jest... pasjonującym filmem.

Skazana na aktorstwo

Elżbieta Okupska to aktorka urodzona w Koszalinie, gdzie również debiutowała. Znana w całej Polsce, zarówno ze spektakli teatralnych, jak i z dużego ekranu. W 2020 roku mogliśmy ją oglądać w filmie *25 niewinności. Sprawa Tomka Komendy* w reżyserii Jana Holoubka. Osoba niezwykle charakterystyczna, o przepięknym, niskim głosie, którym potrafi wywołać dreszcze.

Słynie z błyskotliwych anegdot i z poczucia humoru. Gdy śpiewa, emanuje ekspresją. Wśród przyjaciół słynie również z pysznej polskiej kuchni. Kiedy ją odwiedzamy, w kuchni unosi się wiele aromatów. Czujemy się jak w domu.

Aktorka od urodzenia

Najpierw chciała być weterynarzem. Przynosiła do domu zwierzęta: psy, koty, świnki morskie, a nawet szczygła. Obecnie mieszka z sunią, która wabi się Ika – adoptowała ją ze schroniska. Elżbieta Okupska przez cały rok intensywnie pracuje, żeby w wakacje odpocząć na jednej z... koszalińskich działek. Tam ładuje akumulatory i spotyka się z przyjaciółmi.

Jak sama mówi, na aktorstwo została skazana. Mimo że nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Peszyły ją występy publiczne, ale od najmłodszych lat osiągała wiele sukcesów. Już podczas swojego chrztu tak się wydzierała, że nikt nie mógł wytrzymać. Dopiero później okazało się, że dziecko nie było niezdolne, miało po prostu chore ucho. W ten sposób – twierdzi – wyrobiła sobie przepoń, podobno jak mężczyzna. Już w przedszkolu lubiła śpiewać. Jej ogromnym marzeniem było występować na scenie, ale wstydziła się. Tej niepewności pomogła wyzbyć się jej Henryka Rodkiewicz, założycielka Teatru Propozycji „Dialog”. Najpierw były konkursy recytatorskie: – Jadzia Ślipińska wyciągnęła mnie z Zakładu Maszyn



Fot. Izabela Rogowska

i Urzędzeń Technologicznych Unitra-Unima, gdzie pracowałam jako tokarz-ślusarz – opowiada Elżbieta Okupska. – Zabrała mnie na scenę, kazała recytować wiersze. Podobno okazało się, że jestem dobra, bo wygrywałam konkursy.

Następnym wyzwaniem była poezja śpiewana, a dopiero później monodram. Udało się go zrobić właśnie z Henryką Rodkiewicz: – Czas spędzony w Teatrze Propozycji „Dialog” był dla mnie szkołą aktorską, bo ja wtedy nic w tym kierunku nie kończyłam – wspomina po latach.

Pracę w teatrze zaczęła na etacie suflerki i inspicjentki. Po pięciu latach zdawała aktorskie egzaminy eksternistyczne: – Gdybym wtedy wiedziała, kto będzie w składzie komisji egzaminacyjnej, to w ogóle pewnie bym nie stanęła na tej scenie – opowiada. – Przewodniczącym był Aleksander Bardini, a oprócz niego jeszcze Śląska, Englert, Mrozowska, Młynarski i Strzelecki. Zdałam z wynikiem bardzo dobrym, a potem miałam pięć propozycji do warszawskich teatrów, ale wcześniej nikt mi o tym nie powiedział i już zdążyłam podpisać kontrakt z Rysiem Majorem w Szczecinie. Nie żałuję tego, bo spotkałam wielu wspaniałych ludzi, m.in. Danutę Stenkę, i to było cudowne – dodaje.

Chorzów `86

Jeszcze jako adeptka zajęła drugie miejsce na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Najpierw było wyróżnienie, potem drugie miejsce, a następnie trzecia nagroda i nagroda prywatna Krystyny Jandy. Usłyszał ją dyrektor Teatru Rozrywki z Chorzowa. Była w trasie ze spektaklem *Muppety jadą do Pacanowa* w Stargardzie Szczecińskim, kiedy dostała telefon od Dariusza Miłkowskiego, dyrektora chorzowskiego teatru: – Zaprosił mnie do współpracy – wspomina. – Mówił, że widzi mnie u siebie w zespole, więc niewiele myśląc, zgodziłam się i to była najlepsza decyzja w moim życiu.

Na pewno zaważył na tym jeszcze jeden fakt, a mianowicie nie pasował Elżbiecie Okupskiej dyrektor Teatru Współczesnego w Szczecinie: – Zaczęły się przepychanki i było nieprzyjemnie. Ja nie lubię pracować w takiej atmosferze. Ludzie w teatrze byli wspaniali, natomiast pan dyrektor już nie – tłumaczy.

Ślązaczka znad morza

Wszyscy w Chorzowie zapominają, że Ela nie jest Ślązatką. Ciągłe dostaje propozycje, żeby grać takie postacie. Jedną z anegdot *a propos* jest propozycja od reżysera Lecha Majewskiego. – Rzucił

mi tekst i powiedział: „Miałem zrobić z tego film z tobą, ale nie dali mi pieniędzy, to będzie monodram” – wspomina. – Patrę, a tam jest wszystko po śląsku. Zszokował mnie tą propozycją, odpowiedziałam mu niecenzuralnie, a on odparł, że dam radę

Lech Majewski dał aktorce rok na przyswojenie tekstu. Przez cały ten czas Elżbieta Okupska czytała i uczyła się. Korepetycji udzielała jej koleżanka Iza Malik, która jest Ślązatką, pomagał też inspicjent, chorzowianin. Dobrnęła do premiery. – Największą satysfakcją miałam z tego, że moja sąsiadka, niestety, już nieżyjąca Jadzia, która miała 96 lat, powiedziała, że „godom po śląsku jak nikt”. I ja po prostu odpadłam – mówi.

Spektakl nie do zdarcia,

czyli *Klimakterium*. Od wielu lat obsada jeździ do różnych miejsc i sale są przepełnione, a sztuka wystawiana nawet trzy razy dziennie. – To jest „ewement”, jak mówi moja koleżanka – śmieje się Elżbieta Okupska. – Myślę, że fenomen tego spektaklu wynika z tego, że kobiety się starzeją i mają menopauzę, a Ela Jodłowska tak zabawnie napisała o tych wszystkich przypadłościach, że bawią się przy tym zarówno panie, jak i panowie. Oni też to rozumieją. Ja uwielbiam dowcip Eli i jak zobaczyłam po raz pierwszy ten spektakl, to z bólem serca musiałam odmówić grania, ponieważ byłam związana kontraktem z Teatrem Rozrywki w Chorzowie. Kiedy jednak przeszłam na wcześniejszą emeryturę, dostałam ponownie propozycję – mówi.

Tak Ela znalazła się w drugiej obsadzie, bo pierwsza nie dawała już rady z liczbą spektakli.

– Zdarzyło mi się raz zagrać trzy spektakle i ogarniała mnie głupawka – śmieje się. – Miałymy premierę w Krakowie, cudowny miesiąc tam spędziliśmy. Miasto było nasze i później, kiedy jedna aktorka nie mogła zagrać, to druga wskakiwała na jej miejsce. Wspominam chociażby bardzo dobrą współpracę z Krysią Sienkiewicz, która nie wszystkie z nas lubiła, ale mnie jakoś tak. Jeszcze spotkałam się z Basią Wrzesińską, ponieważ też w pewnym momencie znalazła się w obsadzie. Okazało się, że jest zapotrzebowanie na trzecią obsadę. Były też prośby od widzów, żeby powstała druga część i tak powstało *Klimakterium 2*.

Z miłości do Edith Piaf i Ewy Demarczyk

O koncercie Ewy Demarczyk aktorka mówi, że był ogromnym przeżyciem. Kiedy wracała pociągami ze swoim przyjacielem, nie



odzywali się do siebie. Tak wpłynął na nich recital jednego z najpotężniejszych głosów w Polsce. Wspomina, że artystka śpiewając *Pejzaż*, unosiła się nad sceną.

Tak też było z publiką, która słuchała Elżbiety Okupskiej w 2017 roku w repertuarze Edith Piaf. To kolejna muzyczna miłość aktorki, zwłaszcza że także ukochane dźwięki jej mamy. W spektaklu *Byłam wróbelkiem – sekrety Edith Piaf* w reżyserii Waldemara Patlewicza zaśpiewała *La vie en rose*, *Milord*, *La Foule*, *Hymne à l'amour* czy *Non, je ne regrette rien*. Artystka poruszyła nie tylko fanów muzyki francuskiej. – Bałam się tego repertuaru, ale powiedziałam sobie jasno, że

nie jestem Edith Piaf, zaśpiewam te utwory jak Okupska – tłumaczy.

Spektakl dramatyczno-muzyczny odbył się z okazji setnej rocznicy urodzin Edith Piaf. Ci, którzy słyszeli Elżbietę Okupską, mówili, że jej głos jest rozpoznawalny od pierwszych dźwięków, a do tego niezwykła ekspresja na scenie przenosiła widzów w klimat z dawnych lat. Za spektakl otrzymała Złotą Maskę; kolejną. Mówiąc o sukcesach aktorki, trzeba także wspomnieć o tym, że w 1995 roku po raz pierwszy zaprezentowała swój recital *Uczciwe życie* złożony z piosenek Bertolda Brechta, który później trafił na płytę *Okupska śpiewa Brechta*.



Fot. Marcin Czajkowski

Aktorka na wolnym

Pierwszy lockdown w 2020 roku aktorce dobrze zrobił, co prawda nie finansowo, patrząc na rozpisany wiosenny program, ale Elżbieta Okupska uświadomiła sobie, że żyje w ciągłym pędzie. – Kiedy straciłam możliwość kontaktu z ludźmi ze sceny, przeszłam do obowiązków domowych i robiłam porządki w szafach, w swoim księgozbiorze, w dokumentach – podkreśla. – W pewnym momencie powiedziałam „dość tego” i pod koniec kwietnia przyjechałam do mojej przyjaciółki do Biesiekierza. Zostałam do czerwca. Później zamieszkałam na mojej ukochanej działce w Koszalinie. We wrześniu

aktorka wróciła do Chorzowa. Wtedy jeszcze przez jakiś czas można było grać dla 25 proc. publiczności.

Na planie filmowym

W 2020 roku Elżbieta Okupska pojawiła się w filmie Jana Holoubka *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*. Grała babcię skazanego mężczyzny. – Rok temu byliśmy na planie filmowym we Wrocławiu, kiedy kręciliśmy, przysłała cała rodzina Tomka Komendy – opowiada. – Myśmiliśmy się wszyscy popłakali. Podeszła do mnie mama Tomka, dała mi różę, wręczając mówiła „To dla mamy”. Zawsze kiedy o tym mówię, to mnie przytyka, było to bardzo wzruszające spotkanie – podkreśla.

Dwa lata temu była na planie filmowym *Brigitte Bardot Cudowna* w reżyserii Lecha Majewskiego, jednak ten projekt nie miał jeszcze swojej premiery. – Nie wiem, kiedy film pojawi się w kinie, ponieważ Lechu długo dopracowuje swoje filmy – mówi. – Myślę, że ten będzie ciekawy. Zdjęcia były kręcone w przepięknych okolicznościach przyrody, również nad takim pięknym jeziorem, robili wtedy zdjęcia z drona. Może być przepięknie...

Dosmaczac

Każdy, kto dobrze zna Elżbietę Okupską, wie, że z jej domu głodny nie wyjdzie. Gotowała jej babcia, i mama. Naturalną koleją rzeczy było, że również ona zarazi się tą pasją. Preferuje kuchnię polską, a gotowanie nazywa hobby. – To mnie odstresowuje – podkreśla.

– Kiedy byłam małą, kursowałam pomiędzy babcią a mamą i przyglądałam się, co one robią. Podobno pierwszym zdaniem, które wypowiedziałam, było: „Daj kabanosia” i tak już zostało. Zaczęłam gotować już w trzeciej klasie szkoły podstawowej, ponieważ bardzo kochałam swoją mamę i jak wracała z pracy, wyręczałam ją w obieraniu ziemniaków. W szóstej klasie gotowałam już całe obiady, włącznie z tym, że był jadłospis na cały tydzień.

Warto wspomnieć, że podczas jednej aukcji charytatywnej jej słóik bigosu został sprzedany za 180 złotych. – Bardzo się cieszyłam, była to wtedy zbiórka dla śp. Darii Trafankowskiej. Ja lubię gotować, jak ktoś lubi jeść. Powinnam być tzw. dosmaczacem, bo mam dobry smak i wszyscy, którzy u mnie jedzą, nie muszą niczego doprawiać. Nie znoszę jak ktoś zaczyna jedzenie od maggi i soli. Lubię gotować i lubię mieć gości. Właśnie gotuję rosół...

Fotografia jak życie – życie jak fotografia

„W moich fotografiach jest jakaś magia, są tak prawdziwe, że aż niezauważalne w obrazach, które widzimy każdego dnia. Przypominam nimi, że należy patrzeć na świat zawsze z takim samym zachwytem, jak gdybyśmy widzieli go po raz pierwszy.”

[Marek Józków o swojej twórczości]

Kiedy w latach 50. na Mazurach Marek uczęszczał do liceum ogólnokształcącego, nikt nie spodziewał się, jak będzie wyglądało jego życie i gdzie osiadzie. Tamże talent młodego człowieka odkrył nauczyciel zajęć techniczno-praktycznych, w ramach których odbywały się także lekcje malarstwa. Profesor zaprosił górala, który miał być modelem do rysowania z natury. Młody Marek z biegu wykonał rysunek, który zachwycił nauczyciela – tak został odkryty talent plastyczny przyszłego fotografa i fotoreportera.

Po dyskusjach i uzgodnieniach z rodzicami wybór padł na Państwowe Liceum Technik Plastycznych w Gdyni. Tam okazało się, że można dołączyć do klasy fotograficznej. Dzięki mądrymu i czujnemu nauczycielowi, który zdołał dostrzec talent młodego adepta sztuki, rozpoczęła się przygoda Marka z fotografią.

W 1965 roku w Koszalinie poszukiwano technika fotografii w Wojewódzkim Zarządzie Kin – tak oto świeżo upieczony absolwent dotarł na Pomorze Zachodnie, gdzie w rezultacie zamieszkał na dobre. Zmieniał pracę jeszcze kilka razy – szlifując swój warsztat i odkrywając nowe pasje i tematy do realizowania. Czysto techniczne – bardzo precyzyjne – fotografie do wydruku map wykonywał dla Okręgowego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego. Nieoceniona okazała się jego wiedza techniczna i cierpliwość. Długo pracował także dla Koszalińskiego Zjednoczenia Budownictwa. W 1989 roku dostał propozycję pracy jako fotoreporter w „Gońcu Pomorskim” (gazecie codziennej) – to nowe wyzwanie, inna specyfika pracy,



Fot. Archiwum M. Józkowa/ Małgorzata Pietras

rytm ulicy, dynamika wydarzeń. Jednak to zajęcie otworzyło nowe drogi, poszerzyło horyzonty fotograficzne, pozwoliło odkryć nową pasję. Praca okazała się strzałem w dziesiątkę i do dziś Marek wspomina ten okres jako bardzo udany zawodowo. Akcja, tłum, ludzie, centrum wydarzeń – to lubił.

W pracy artystycznej Marka Józkowa można zauważyć fascynację różnymi tematami i technikami fotograficznymi. Na początku portret – człowiek zawsze go interesował, do dziś eksploruje ten niewyczerpany temat. Później wielka miłość do fotografii pejzażowej, której pozostaje wierny. Eksploruje też bardzo ciekawy temat fotografii w podczerwieni, by zobaczyć to, co niewidzialne i niedostępne dla oka ludzkiego. Ten rodzaj fotografii daje nam wstęp do świata niezwykłego, do zupełnie innego rozkładu barw i kontrastów, dzięki rejestrowaniu spektrum światła, zieleni staje się jasna: drzewa wyglądają, jakby pokrywał je śnieg, jasne niebo staje się niemal czarne, a wszystkie inne kolory nabierają nowych zafarbów. Wstęp umożliwia nieodwracalna modyfikacja aparatu – polegająca na usunięciu filtra ograniczającego widzenie promieniowania pod-



czerwonego – oraz zastosowanie specjalnego filtra nakręcanego na obiektyw aparatu.

W fotografii Marka widać doskonałe umiejętności komponowania kadrów. To zasługa doświadczenia, ale też wiedzy zdobytej w czasie edukacji w Gdyni. Z tamtego okresu wspomina szczególnie dwie postacie, które miały znaczący wpływ na jego rozwój oraz sposób widzenia i pokazywania świata. To Edmund Zdanowski, polski artysta fotografik, członek Fotoklubu Polskiego, założyciel i członek honorowy Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego, członek honorowy Związku Polskich Artystów Fotografików oraz Jerzy Dygasiewicz, wybitny pedagog i artysta fotografik, który w 1965 roku wprowadził do programu nauczania fotografię barwną.

Wpływ edukacji w Liceum Sztuk Plastycznych jest widoczny na fotografiach Marka do dziś – wiedza o kompozycji, mocnych punktach obrazu, podstawy historii sztuki, wrażliwość, umiejętność „czarowania” widokami, magia wydobyta z najbardziej trywialnych scen – to z pewnością cudowny bagaż otrzymany w młodości, którym dziś może dysponować i zachwycać widzów.

W jego fotografiach możemy zauważyć cierpliwość i doskonałe ułożenie kadrów. To nie przypadkowe „strzały”, każdy element jest przemyślany i odpowiednio wkomponowany – tak, aby tworzyć harmonijną całość. Szczegółne są fotografie morza – czasem niepokojące i dynamiczne, czasem bardzo spokojne, rozmyte, powodujące uczucie spokoju i ukazujące ogrom żywiołu. Marek Józków podkreśla, że lubi Koszalin – to jego miejsce na ziemi, związała go z nim rodzina, którą tu założył, ale też od początku fascynowała go większa wolność artystyczna, którą tu odkrył, dobry klimat twórczy, towarzystwo artystów. Wspomina Ryszarda Siennickiego, wybitnego grafika, projektanta, malarza kolorystę, pierwszego prezesa ZPAP w Koszalinie i Ryszarda Lecha – wybitnego malarza, piewce architektury i krajobrazu Ziemi Słupskiej i Koszalińskiej.

Do szczególnie ważnej formy działalności Marka Józkowa z pewnością należy praca pedagogiczna. Był nauczycielem fotografii w Państwowym Ognisku Kultury Plastycznej w Koszalinie oraz sekcji fotografii Spółdzielni Mieszkaniowej „Na skarpie”. Od 1996 roku pomysłodawcą, współtwórcą i kuratorem cyklicznych Przeglądów Fotografii Złota Muszla w Koszalinie – we współpracy z Bałtyckim Towarzystwem Fotograficznym (wcześniej Koszalińskie Towarzystwo Fotograficzne, którego był prezesem). Od 2000 roku przegląd miał charakter międzynarodowy. Materiały dotyczące przeglądów można znaleźć w koszalińskim Archiwum.



Został uhonorowany między innymi: odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, Srebrnym Medalem „Zasłużony dla Fotografii Polskiej”, Złotym Krzyżem Zasługi, kilkakrotnie nagrodą Prezydenta Miasta. W latach 2005–2007 pełnił funkcję członka Rady Kultury przy Prezydencie Miasta Koszalina.

Jego praca pedagoga i propagatora fotografii w Koszalinie i okolicach do dziś odbija się echem wspomnień. Ziemowit Kalkowski, który przez wiele lat uczęszczał na zajęcia do pracowni fotograficznej POKP i KSM „Na Skarpie”, a także towarzyszył Markowi przy wielu wydarzeniach fotograficznych, tak mówi o swoim mistrzu: – Marek to ikona koszalińskiego świata fotograficznego. Przez bardzo długie lata był inspiracją dla wielu pokoleń. Doskonały pedagog, który w nienachalny sposób potrafił zainteresować, a także przekazać to, co jest istotą fotografii. Doskonały, niestrudzony organizator, otwarty na nowe propozycje i zawsze gotowy do działania. Marek to fotograf o czujnym i wrażliwym spojrzeniu. Dziś tak popularną fotografię streetową uprawiał już w latach 80., a jego fotografie krajobrazów zdobywały uznanie na wielu konkursach i wystawach międzynarodowych. Myślę, że możliwość zajrzenia do jego bogatego archiwum byłoby to nie lada przeżyciem, od wielu lat do tego Marka namawiam.

Marek Józków to człowiek niezwykle ciekawy – znany mieszkańcom Koszalina – tak ze swoich fotografii często prezentowanych na przeróżnych wystawach, jak i z pogodnego usposobienia i obecności na wszystkich właściwie wydarzeniach artystycznych i kulturalnych w naszym mieście. Dzięki niemu Koszalin zyskuje kolejną znaczącą postać w świecie fotografii i sztuki.

Z aparatem i kamerą wśród bloków

Tancerz, fotograf, filmowiec, a przede wszystkim człowiek pasji oddany hip-hopowej kulturze. Jacek Tomczak – koszalinianin, związany obecnie z Warszawą, to przykład jak ciężką pracą, ale też zbiegów okoliczności można spełniać własne marzenia.

Od najmłodszych lat zafascynowany był kulturą hip-hopową. Z czterech elementów, które składają się na ten nurt, wybrał taniec. Mimo że miał epizody fascynacji graffiti, pisanie tekstów rapowych czy deskorolką, to właśnie b-boying stał się jego prawdziwą pasją. Jako młody chłopak zasilił szeregi grupy breakdance NASA i tańczył między innymi na mieleńskiej promenadzie.

– Tam przyjeżdżała cała Polska – wspomina Jacek Tomczak. – Na schodach zbierało się mnóstwo osób. Widzieliśmy, jak porywamy ich serca. To było kolejne stadium fascynacji hip-hopem – dodaje.

Przygoda z tańcem trwała jeszcze kilka lat. Najstarsi trenerzy NASA poświęcili się życiowym obowiązkom, a Jacek wyjechał na studia do Poznania, w którym kontynuował taneczną pasję. Mimo wielu zajęć w nowym mieście, znajdował czas na udział w zawodach. Z sukcesami.

Dojrzewanie do filmowania

Jeszcze w Koszalinie, za pieniądze z „osiemnastki”, kupił aparat cyfrowy. Pojawiły się wówczas pierwsze telefony komórkowe z funkcją aparatu. – Byłem tym zafascynowany – wspomina Jacek. – Mam te zdjęcia do dziś. Fotografowałem wszystko, samochody albo chmury. Jednak prawdziwa pasja i świadoma praca z obrazem przyszła dopiero w czasach „warszawskich”. To właśnie po przeprowadzce do stolicy Jacek stwierdził, że proza życia, czyli praca i studia, uniemożliwiają w pełni angażowanie się w taniec.

– Szukałem przestrzeni do artystycznego spełniania się, w mieście tańca – mówi. – Okazała się nią fotografia, a później video.



Fot. Archiwum J. Tomczaka (3)



Wcześniej zajmowałem się tym nieświadomie, a w wieku dwudziestu kilku lat zaczęło się to przeradzać w coś konkretnego.

Mimo że od lat związany był z kulturą hip-hopową, po przeprowadzce do Warszawy nie wszedł w struktury środowiska. To częsty problem osób przyjeżdżających z mniejszych miast. Z pomocą przyszedł mu inny koszalinianin, Łukasz Wasilewski, który współpracował w tym czasie z wieloma znaczącymi raperami warszawskiej sceny hip-hopowej. Wprowadził Jacka w środowisko i polecił go jako twórcę wideo. Pierwszym raperem, z którym nasz bohater

podjął współpracę był Kuba Knap z ekipy WCK, charakterystyczny raper, z szorstkim głosem, nieco leniwym flow, który swego czasu przeszedł przemianę duchową, co słychać w tekstach. To właśnie Knapowi Jacek nakręcił swój pierwszy teledysk. Kolejny etapem był Ślask, w którym urzęduje ekipa Grubo Krojone z Djem HWR na czele. Kuba Knap szepnął słówko kolegom z południa o Jacku i tak zrodziły się kolejne trzy klipy.

– Pierwsze teledyski były robione bardzo intuicyjnie – wspomina Jacek. – Byłem zaszczyczony, że w ogóle mogłem je zrobić. Na

pierwszych trzech wiele się nauczyłem. Głównie organizacji – jakich błędów nie popełniać i jak pójść na skróty, ale nie tracić na jakości.

Kolejne miesiące to wysyp rapowych klipów. Jacek Tomczak zobrazował m.in. kolejny utwór Kuby Knapa a także całej ekipy WCK. Pracy było coraz więcej. I co najważniejsze, to ona zaczęła Jacka szukać. Jak sam przyznaje, każdy kolejny klip to progres i szukanie własnego stylu.

Znakiem rozpoznawczym w teledyskach Jacka Tomczaka jest tkanka miejska – kultura hip-hopowa jest ściśle związana z miastami, blokami, skwerami, boiskami i ławkami. To wszystko stara się przekazać, ale w indywidualny sposób. Do szukania wyjątkowych miejsc w Warszawie Jacek Tomczak ma niewątpliwy dar. – Jak się nie ma wielkiego budżetu, trzeba kombinować – śmieje się. – Liczy się pomysł i to, co oferuje miasto. Ja obserwuję architekturę, podwórka, światło na przykład neonów.

Stały rozwój

Jacek Tomczak nie ucieka od swoich tanecznych korzeni. Widać to m.in. w klipie raperki i tancerki Ryfy Ri do numeru *Elo Bieda*, gdzie element taneczny w połączeniu z czarno-białymi kadrami i elementami architektury przywołuje na myśl klimat złotej ery nowojorskiego rapu z połowy lat 90. – Wykorzystałem patent znany z klipów Kendricka Lamara, tzw. robot arm – wspomina Jacek. – Z tym, że robiłem to z ręki, a nie przy pomocy robota za 100 tysięcy dolarów – śmieje się. – Ryfa, jako tancerka, zrozumiała tę koncepcję od razu. Śledziła zatem ruchami swojego ciała dynamicznie przesuwając się kamerę.

Obecnie, kiedy Jacek Tomczak ma coraz bardziej ugruntowaną pozycję na rynku rapowych teledysków, nie może narzekać na brak pracy, choć jak sam przyznaje, rok 2020 z powodu wirusa, nie był łatwy. Telefon dzwoni jednak na tyle często, że twórca nie może narzekać na nudę. Kilkoma realizacjami można się pochwalić – ksywki biorące w nich udział robią wrażenie, szczególnie w świecie hip-hopowym. To między innymi zrealizowany niedawno klip rapera Nemy, a przede wszystkim Włodi – prawdziwa legenda polskiej muzyki rap, członek zespołu Molesta Ewenement, który wystąpił

w klipie *Przerwa na... // Dżoint* Pryksa Fiska. Do tego utworu Włodi dograł swoją zwrotkę. Drugim pierwszoligowym raperem, z którym twórca pracował, to donGuralEsko, który zobaczył klip Jacka do utworu zespołu Lua Preta. W tym przypadku Gural sam odezwał się do Jacka.

Kolejna historia warta wspomnienia dotyczy rapera Błaszczu, reprezentanta Górnego Śląska. Jacek Tomczak zrealizował kilka jego klipów. Podczas jednego z nich, padł pomysł aby wykorzystać kabriolet. Oczywiście, w przypadku tak niskobudżetowych realizacji, wypożyczenie auta jest niemożliwe. Ale od czego jest internet! Jacek znalazł na grupie posiadaczy takich aut właściciela czarnego BMW, który bezkosztowo pojawił się na planie klipu.

Innym pomysłem Błaszczu była realizacja klipów za granicą. Panowie w przeciągu pięciu dni przemierzali Europę – od Paryża do Stambułu. W stolicy Francji nakręcili jeden klip, w Turcji kolejne dwa. Tempo było zawrotne. Każda godzina pracy musiała być szczegółowo zaplanowana.

– Z samolotu w Paryżu wysiedliśmy o godzinie 10, do dzielnicy biznesowej, gdzie kręciliśmy klip, jechaliśmy dwie godziny, a transport z powrotem na lotnisko mieliśmy o 15:40 – wspomina Jacek. – Wszystkie miejsca wcześniej znalazłem w internecie i graliśmy od razu takie ujęcia, jakie zaplanowałem. To było szalone, ale udało się. W Stambule panowie wynajęli przewodnika, który zaprowadził ich w niedostępne zazwyczaj dla turystów dzielnice. Dzięki temu uzyskane zdjęcia są unikatowe.

Wolność artystyczna

Jacek Tomczak jest freelancerem. Sam jest sobie szefem i sam decyduje o czasie pracy. W wielkim mieście odnalazł się i wypracował obecną pozycję. Nie poszedł, jak wielu, w kierunku pracy w korporacji, choć uważa, że mógłby sobie w niej poradzić. – Niektórzy potrzebują codziennej rutyny i chodzenia na określoną godzinę do pracy – tłumaczy. – Ja czuję, że w obecnej sytuacji, kiedy sam decyduję o moim czasie, jest mi dobrze. Mam prawdziwe poczucie wolności w tworzeniu. To dla mnie bardzo ważne i na razie nie planuję tego zmieniać.

Co się wydało w 2020 roku?

Plany wydawnicze, podobnie jak i inne plany instytucji kultury w roku 2020, nie zawsze dało się zrealizować. Po pierwsze – pandemia i zamknięte placówki, po drugie – brak środków, które musiały być przeznaczone na walkę z wirusem. Mimo wszystko, nie był to rok wydawniczo pusty.

Najwięcej publikacji ukazało się w Archiwum Państwowym w Koszalinie (AP). Wszystkie są dostępne w formie cyfrowej na stronie internetowej wydawcy.

Pierwsza z nich to *Archiwa Pomorza Środkowego w stulecie archiwów państwowych. Wybór źródeł* pod redakcją Katarzyny Królczyk. Na dwustu stronach prezentuje najcenniejsze archiwalia z okazji 100-lecia podpisania dekretu o organizacji archiwów państwowych. W zespole redakcyjnym pracowali: Robert Borucki, ks. dr Tadeusz Ceynowa, Dorota Cywińska, Monika Głuszak, Katarzyna Lisiecka, Artur Sikorski, Krzysztof Skrzypiec, Małgorzata Wieczorkowska i Anna Zbroszczyk. W publikacji wykorzystano materiały z zasobów Archiwum Państwowego w Koszalinie, oddziałów w Słupsku oraz Szczecinku i Archiwum Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej.

We wstępie czytamy: „Pamięć jest jednym z najszlachetniejszych hołdów, jaki możemy złożyć tym, którym winniśmy wdzięczność za to, kim jesteśmy dziś. Nasza tożsamość, ta indywidualna i ta zbiorowa, samoświadomość, poczucie odrębności wspólnoty rodziły się i zmieniały pod wpływem marzeń, słów i czynów kolejnych pokoleń. Pamięć jednak, której zwykliśmy słusznie przypisywać ulotność, potrzebuje nieustannego wsparcia konkretnego, rusztowania materii, pozwalających z jednej strony pozostawać w sferze mitów, a z drugiej – faktów.”

Te fakty możemy poznać na podstawie dokumentów, map, szkiców, fotografii zamieszczonych w książce. Wyboru dokonano

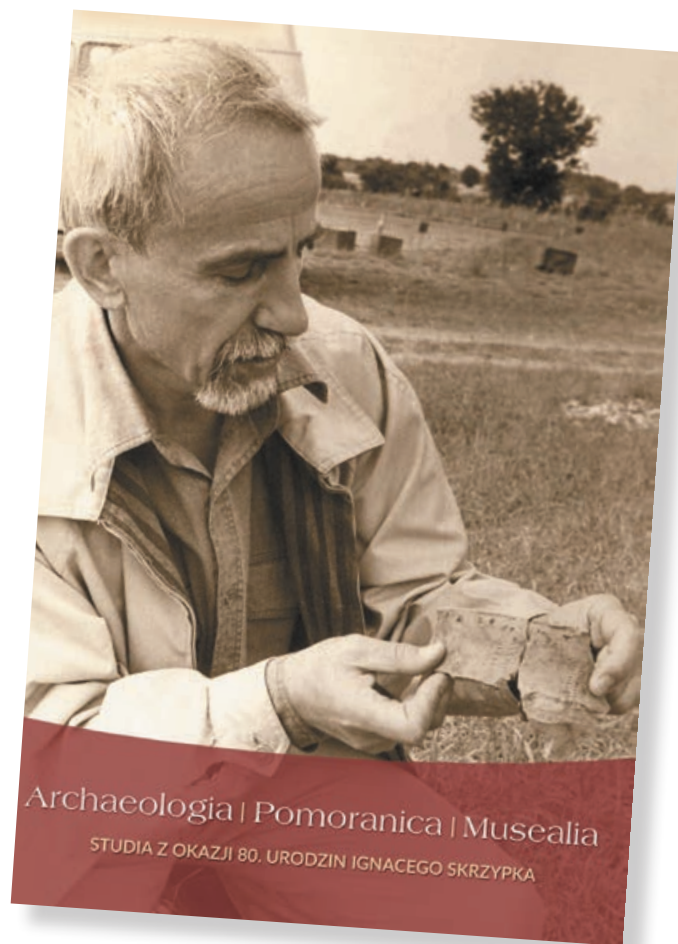
na podstawie czterech kryteriów. Czasu (dokumenty uporządkowano chronologicznie); zawartości informacyjnej materiałów; różnorodności rodzajów i form, stąd oprócz materiałów papierowych są pocztówki, a nawet muzealia. Ostatnim kryterium było zainteresowanie użytkowników i gości Archiwum, opinie na temat zawartości wystaw i liczba wyświetleń na stronie internetowej. Wydawnictwo podzielono na dwie części – tę pokazującą zasób Archiwum Państwowego oraz drugą – diecezjalnego.

Książkę otwiera dokument z 1513 roku i jest to skrypt dłużny wystawiony w Trzebielinie koło Miastka, dotyczący pożyczki w wysokości 50 grzywien sundzkich, zaciągniętej przez Paula Puttkamera z kasy kościoła Mariackiego w Słupsku. Wśród archiwaliów mamy takie ciekawostki, jak: mandat wydany w 1634 roku przez Władysława IV Wazę dla Izraela Jaschi; plan sytuacyjny portu w Darłównu z 1738 roku; cennik usług katowskich zatwierdzony na posiedzeniu Rady Miejskiej Koszalina 26 lutego 1743 roku; odręczny szkic z 1810 roku przedstawiający dawną zabudowę okolicy Bramy Młyńskiej w Koszalinie z naniesionymi budynkami farbiarni oraz rzeźni; wykaz zmarłych żołnierzy wojsk napoleońskich narodowości francuskiej i włoskiej w lazarecie w Koszalinie w sierpniu 1813 roku; plan sytuacyjny gruntów zakupionych przez Seminarium Nauczycielskie w Koszalinie z obrysem basenu pływackiego z 1843 roku; wykaz osób prowadzących działalność gospodarczą w Koszalinie i miejscowościach należących do miasta z 1847 roku; plan sytuacyjny z 1905 roku z zaznaczonym obrysem budynku łożni masońskiej przy dzisiejszej ulicy Grodzkiej; porcelanowa połączana filiżanka ze spodkiem z napisem „Köslin” i herbem Koszalina z przełomu XIX/XX wieku; rysunek przedwojennej synagogi w Koszalinie lata 20. XX wieku; pierwsza i ósma strona książeczki pracy (Arbeitsbuch für Ausländer) Jana Ćwika, polskiego robotnika przymusowego w niemieckim Koszalinie z 1944 roku; pierwszy protokół władz polskiej administracji miejskiej i powiatowej w Szczecinku z 31 marca 1945 roku; pierwszy numer gazety „Wiadomości Koszalińskie” wydany



i wydrukowany 2 września 1945 roku; ogłoszenie strajku ostrzegawczego 3 października 1980 roku przez Komitet Zakładowy NSZZ „Solidarność” przy Polmózbywie w Koszalinie; protokół zabezpieczenia majątku NSZZ „Solidarność” Komisji Zakładowej przy Lekarskiej Spółdzielni Pracy w Koszalinie z 16 grudnia 1981 roku.

Tę część kończy uchwała Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Koszalinie z 25 kwietnia 1989 roku w sprawie stanowiska Komisji Politycznej KO i Lecha Wałęsy dotyczącego listy kandydatów z województwa koszalińskiego do Senatu i Sejmu w wyborach 4 czerwca 1989 roku. Łącznie to 195 archiwaliów.



Część drugą (30 pozycji) otwiera ugoda zawarta pomiędzy proboszczem a radą miasta Czarne z 1645 roku. Poznamy tu także m.in. najstarszą księgę metrykalną pochodząca z parafii rzymskokatolickiej w Skrzatuszu i księgę chrztów z 1658 roku, taką samą z parafii koszalińskiej, ale z roku 1853; wykaz miejscowości powiatu koszalińskiego należących do parafii rzymskokatolickiej pw. św. Józefa w Koszalinie w 1910 roku. Ostatni dokument to dekret erygujący parafię pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Koszalinie z 1951 roku.

Publikacja zawiera też indeks nazw administracyjnych i geograficznych.

Drugie wydawnictwo AP to *75 lat administracji Polskiej na Pomorzu Zachodnim*. Autorem wyboru materiałów i opracowania jest Kacper Pencarski. Jak pisze we wstępie Katarzyna Królczyk: „W 2020 r. mija szczególny jubileusz otwarcia nowej karty w dziejach Polski i Pomorza Zachodniego. W 1945 r. powstało wszystko to, co polskie jako pierwsze – pierwsi osadnicy, którzy stali się mocą sprawczą wszystkiego, co łączyło się z życiem politycznym, społecznym i gospodarczym, sami tworzyli i współtworzyli na nowo wszystko to, co było polskie na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski. Był to szczególny czas, w jakim i administracja polska tworzyła się z niczego.”

Publikacja na podstawie archiwaliów – dokumentów, map, fotografii, wycinków prasowych – pokazuje, jak przebiegały te pierwsze lata. W rozdziałach: *Organizacja administracji państwowej i samorządowej na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-1946*, *Życie codzienne*, *Ludność niemiecka*, *Administracja państwowa i samorządowa*, *Komendantury wojenne i administracja sowiecka*, *Szczecin jest polski* – przedstawiono mechanizmy tworzenia „z niczego” zrębów tego, co dziś wydaje się naturalne. Jak pisze Katarzyna Królczyk: „Przemiana ta nie była prosta (...). W ciągu 1945 i 1946 r. Pomorze Zachodnie, podobnie jak pozostałe ziemie zachodnie i północne Polski było miejscem, na którym zmieniała się władza – z niemieckiej i sowieckiej na polską.”

Po tych trudnych latach i wydarzeniach oprowadzają fragmenty dziennika pierwszego prezydenta polskiego Szczecina, Piotra Zaremby. Publikacja liczy 58 stron, zamykają ją pierwsze opracowanie statystyczne obejmujące najważniejsze dziedziny gospodarki, odnoszące się do Okręgu Pomorze Zachodnie z 15 maja i 1 lipca 1945 roku oraz obwieszczenie Piotra Zaremby dotyczące objęcia Szczecina przez Rzeczpospolitą Polską.

Katalog do wystawy Niepodległa. Historie z rodzinnych archiwów to „tylko” katalog, ale zawartość domowych archiwów jest także cennym materiałem badań historycznych i źródłem czasem zaskakujących informacji. Broszura liczy 47 stron i zawiera fragmenty archiwów rodzinnych Hanny Śniegockiej, Małgorzaty Czabańskiej, Bronisława Strzoka, Andrzeja Żebrowskiego, Ireny Kwaśniewskiej-Meister, Piotra i Stefanii Paneckich, Stanisława Cieślaka, Kazimierza Szajdeka, Anny Rossa-Mucha, Stanisława Ossowskiego, Beaty Mech i Antoniego Pawłowicza. Wszystkie zostały przekazane do AP przez członków rodzin. Są to fotografie i dokumenty.





Rok Archiwum Państwowe zakończyło wydaniem książki autorstwa Izabeli Nowak *Koszalińska tradycja. 50 lat z rozśpiewaną Polonią*, będącej podsumowaniem jednego z najstarszych i najbardziej znanych festiwali koszalińskich – Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych. Autorka, dziennikarka, opowiada historię organizacji wydarzenia od jego skromnych początków m.in. poprzez rozmowy z twórcami i uczestnikami inicjatyw polonijnych. Tekst bogato ilustrują zdjęcia (m.in. Krzysztofa Sokołowa), afisze, dokumenty itp., a większość pochodzi z zasobów koszalińskiego Archiwum.

Publikacja powstała w ramach miejskiego stypendium w zakresie twórczości artystycznej, upowszechniania kultury i ochrony zabytków.

Dwie kolejne instytucje zmagaly się z problemami wynikającymi z obostrzeń pandemii. Muzeum w Koszalinie przygotowało w końcu roku 2020 tylko jedno wydawnictwo: *Archaeologia-pomeranica-musealia. Studia z okazji 80. urodzin Ignacego Skrzypka*. Publikację redagował zespół: Andrzej Kasprzak, Marcin Krzepakowski i Andrzej Kuczkowski. Zawiera – na 700 stronach! – ponad 40 artykułów osób, które złożyły teksty, by uhonorować w ten sposób Ignacego Skrzypka, archeologa, badacza epoki brązu, autora ok. 200. publikacji naukowych i popularno-naukowych, pracownika Muzeum w Koszalinie w latach 1965-2005. A napisali o nim i jego pracach historycy regionu, Pomorza, językoznawcy, archeolodzy.

Koszalińska Biblioteka Publiczna poza „Rocznikiem Koszalińskim 47/2020”, zawierającym artykuły dotyczące wydarzeń z roku 2019, wydała w 2020 roku wspomnienia Zenona Kasprzaka zebrane w książce *Koszalin – moja mała Ojczyzna*, przygotowane z okazji obchodzonego w 2019 roku 25-lecia Stowarzyszenia Przyjaciół Koszalina (SPK).

Autor publikacji – polonista, nauczyciel, dziennikarz, a przez wiele lat wiceprezes SPK – podsumowuje wieloletnią działalność Stowarzyszenia i wszelkie przejawy jego działalności – Klub Pioniera Miasta Koszalina, Klub Historii Miasta, Krajowe Bractwo Literackie, a także sylwetki osób, tworzących organizację. Na stronach książki znalazła się też bogata dokumentacja: zdjęcia, wycinki prasowe, pisma.

Całe życie pracował na własny pomnik

Zygmunt Wujek – artysta nietypowy to najobszerniejsza jak do tej pory publikacja poświęcona największemu powojennemu koszalińskiemu rzeźbiarzowi. Wydawcą jest koszalińskie Archiwum Państwowe. Promocja albumu miała miejsce 6 lutego 2020 roku, w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej.

Pomysł na album o Zygmuncie Wujku powstał w 2016 roku. – Prowadziłam dokumentację, gromadziłam materiały – wspomina autorka dr Anna Gut-Czerwonka. – Zbiór się rozrastał, w którymś momencie złapałam się za głowę, że tego jest tak dużo.

Artysta wiedział o planowanej książce. Była dobra okazja, by ją wydać: we wrześniu 2018 roku obchodził 80. urodziny. Planował wystawę w Civitas Christiana, jak się okazało – ostatnią za jego życia. Na album nie było jednak pieniędzy.

Sprawa, na szczęście, nie została zaprzepaszczone. Joanna Chojcka, ówczesna dyrektorka Archiwum Państwowego w Koszalinie, a od maja 2019 Zastępczyni Naczelnego Dyrektora Archiwów Państwowych, za punkt honoru przyjęła sobie znalezienie funduszy na przygotowanie publikacji. Prezydent miasta też udzielił wsparcia.

Artysta zwrócony ku przeszłości, ...

Anna Gut-Czerwonka poznała Zygmunta Wujka, kiedy pod koniec studiów na uniwersytecie toruńskim wybierała temat pracy magisterskiej. Z czasem rzeźbiarz stał się dla niej nie tylko ważną (być może najważniejszą w Koszalinie) postacią życia artystycznego; jego osoba wrosła w jej świat. Był obecny podczas obrony pracy dyplomowej i na ślubie, poznał syna autorki. Jako powiernicze dzieł swojego życia, przekazywał jej swoje pamiątki. – Od początku 2018 roku regularnie zasypywał mnie mnóstwem różnych rzeczy



– zwoził dokumenty, zdjęcia, drobniejsze prace. Jakby wiedział, że musi się spieszyć – wspomina. – Spuścizna jest tak bogata, że tego wystarczy na kilka książek.

Oboje, szczególnie pod koniec życia Wujka, przegadali wiele godzin – o sztuce, źródłach natchnienia i braku weny, o krytyce i o koszalińskim środowisku artystycznym. Zapis tych rozmów stanowi część książki. Pozwala wejść w świat artysty: zakamuflowany, oddzielny, intymny. Jest wierną rejestracją wypowiedzianych słów. I jest przy tym hermetyczny: pełen skrótów myślowych, niedopowiedzeń, dygresji i aluzji do wydarzeń i faktów. Osoby, które znały Zygmunta Wujka z pewnością bez trudu odnajdą tu jego sposób myślenia: artystyczny niepokój, a zarazem dystans do siebie i świata, ciągłą gonitwę za realizacją pomysłów, a przy tym nabożny stosunek do przeszłości.





Fot. Magdalena Pater



W wywiadzie, tak jak w swoich pracach, nawiązywał do przeszłości. Wspominał kiedyś, że w dzieciństwie pod koniec wojny widział z oddali Drezno płonące po nalotach dywanowych. Prawie 30 lat swojego życia poświęcił potem upamiętnieniu lotników alianckich (głównie amerykańskich), którzy więzieni byli w obozie jenieckim pod Tychowem. Zbudował pomnik i rok przed śmiercią był w USA z honorami goszczony przez rodziny byłych jeńców. I czasem mówił, że być może niektórzy z tych lotników zrzucali bomby na Drezno, którego zgliszcza widział jako dziecko. Tak też historię puentował w swoich pomnikach.

...twórczy...

Album, a właściwie opasłe tomisko, prowadzi nas przez życie Zygmunta Wujka i różne etapy jego twórczości, aż do zdobywanych pod koniec życia tytułów naukowych i pożegnania na koszalińskim cmentarzu komunalnym, na którym mnóstwo nagrobków to przecież jego prace. Jest dzieciństwo, czas studium nauczycielskiego i okres studiów artystycznych w Poznaniu, pierwsze prace twórcze, plenery w Tuchomiu i Osiekach. Są pomniki upamiętniające wydarzenia historyczne, tablice pamiątkowe, epitafia, nagrobki, rzeźby plenerowe, medale i medaliony, i wreszcie – katalogi wystaw Zygmunta Wujka i wycinki prasowe.

W albumie znajdziemy zdjęcia pamiątek ze zbiorów Anny Gut-Czerwonki i wykonane przez nią zdjęcia pomników Wujka stojących w różnych miejscach Pomorza. Są reprodukcje prac należących do rodziny artysty (udostępnione przez syna, Wiktora). Jest też dużo pamiątek ze zbiorów Archiwum Państwowego w Koszalinie, m.in. zdjęcia z podróży rzeźbiarza do Korei i rysunki. Są reprodukcje zdjęć rodzinnych i dokumentów prywatnych (fotografie rodziców, dyplomy sportowe, świadectwa szkolne i dyplomy uczelniane).

– Już w trakcie prac nad książką syn przyjaciela artysty przekazał nam zbiór medali – podkreśla Katarzyna Królczyk, dyrektor Archiwum Państwowego w Koszalinie. – To piękny gest promujący działalność archiwów. Bo pamiątki mogłyby spoczywać w domowej szafie. Będą jednak na wieczność zachowane w publicznych zbiorach.

Szkice *Poznański Czerwiec 56*, których reprodukcje także znalazły się w publikacji (Wujek był świadkiem pamiętnych wydarzeń w Poznaniu) również pochodzą ze zbiorów Archiwum Państwowego.

Fotografiami rzeźb plenerowych wsparł autorkę Paweł Bułto –

miłośnik historii, twórca strony internetowej poświęconej koszalińskim pomnikom. Drobne prace rzeźbiarskie, które wyszły spod ręki Zygmunta Wujka, na potrzeby albumu fotografował Mariusz Król, który jest również autorem oprawy graficznej.

Wojciech Szwej uwiecznił dom artysty na Rokosowie (dziś posesja jest już własnością innej osoby). Osobliwe miejsce, sprawiało wrażenie jaskini zagraconej rupieciami, a równocześnie magicznej – pełnej niedokończonych rzeźb, kamieni, które miały symbolikę znaną tylko właścicielowi.

...wszechstronny...

Dlaczego artysta nietypowy? Bo zajmował się tak ogromną ilością dziedzin sztuki. Ci, którzy nie znali Zygmunta Wujka, mogą to sobie uświadomić, oglądając album. Ukończył medalierstwo i chętnie tworzył medale i medaliony. Ale próbował też robić odlew – był współautorem dzwonu, który zawisł na poznańskiej Cyta-deli, uczył się u ludwisarza z Poznania Saturnina Skubiszyńskiego. Pokochał kamień i prac w kamieniu wykonał najwięcej. Często były to prace wyjątkowe. Pomnik powstańców listopadowych, który stoi na Górze Chełmskiej, waży pięć ton. Ustawienie takiego monumentu – choćby z logistycznego punktu widzenia – było niezwykle trudnym wyzwaniem.

Rzeźbił też w drewnie. Tworzył płyty nagrobne, tablice pamiątkowe i instalacje, którym nadawał sakralny charakter. W dorobku miał też mnóstwo małych form rzeźbiarskich. Można je było zobaczyć na pamiętnej wystawie *Dokąd idziesz* w koszalińskim muzeum. Wyjątkowy w tym rzędzie wydaje się pełen symboli cykl *Czterej jeźdźcy Apokalipsy*, który artysta wykonał pod koniec życia. Był ponadto rysownikiem i trochę malował. Z każdej dalszej podróży przywoził teczkę rysunków albo akwareli. Tak było ze wspomnianym już wyjazdem do Korei Południowej, a wcześniej także z podróżą do Włoch i na Bliski Wschód.

Był bardzo twórczy, no i miał warsztat. – Dziś tak wszechstronnych artystów w Koszalinie chyba już nie ma – ocenia autorka albumu.

Przed wszystkim Zygmunt Wujek miał mnóstwo pomysłów i – co ważniejsze – większość z nich realizował. Żył w ciągłym pośpiechu i pracował do końca. Jeszcze w piątek, 21 grudnia 2018 roku, wieczorem, czyścił Pomnik Martyrologii Narodu Polskiego na cmentarzu w Koszalinie. Mówił, że jak on się za to nie weźmie, to nie zrobi tego nikt. Następnego dnia nie było go już wśród nas.

Magda w krainie ludzi

Mówi o sobie, że ma szczęście do ludzi, ale wielu jej znajomych twierdzi, że ma fart do historii. Bo miłego człowieka spotkać, nawet w dzisiejszych czasach, nie jest tak trudno, ale trafić na ludzi z opowieścią – to już coś. Magdalena Omilianowicz lubi słuchać i chyba to rozmówcy cenią sobie najbardziej. Ma też rzadki dar rozmawiania o tematach tabu w taki sposób, jakby mówiła o sprawach najzwyczajnych. I tym oswaja.

Naprawdę nie ma na imię Magda, ale o tym nie wiedzą nawet wierni czytelnicy jej książek. W dokumentach widnieje Alicja, ale Alą nigdy – jak mówi – się nie czuła. A że czuć się sobą lubi ponad wszystko, wybrała sobie właściwe imię. Wybrała także rudego kota, który może wszystko, a za pisarza od serca – Ernesta Hemingwaya. Również zawód; postanowiła, że będzie słuchać ludzi. – Hemingway pojawił się dzięki rodzicom, którzy byli nim zafascynowani – opowiada. – W czasach ich młodości dużym nietaktem było nieznanie twórczości pisarza. Pierwszą książką, po którą sięgnęłam jako nastolatka, było *Słońce też wschodzi*. Przepadłam. Urzekł mnie styl pisarza, jego sposób opowiadania o świecie i tak pozostało do dzisiaj. Z anegdot: na ścianie w moim mieszkaniu wisi portret Hemingwaya. Kiedyś odwiedził mnie ktoś ze znajomych, spojrzał na zdjęcie i zapytał: – A to twój dziadek?

Wysłuchane – opowiedziane

Od wielu lat działa na własną rękę. Dziennikarskie arkana zgłębiała w lokalnej gazecie, ale nie zagrzała w niej miejsca. Zawsze gnało ją życie, a że z uczeniem się obcych języków nigdy nie miała problemu, miała otwartą drogę na świat. I z niej skorzystała. Jeżdżąc po świecie, przede wszystkim poznawała ludzi. – Długo mogłabym wymienić ludzi niebanalnych, których miałam szczę-



Fot. Izabela Rogowska

ście spotkać prywatnie i zawodowo – wspomina z sentymentem. – Przez wiele lat spędzałam wakacje w Kazimierzu Dolnym, który był mekką artystów. W sierpniu przyjeżdżały tam takie tuzy jak: Andrzej Czeczot, Tadeusz Konwicki, Daniel Olbrychski, Franciszek Starowieyski i wielu innych. Będąc nastolatką, miałam okazję uczestniczyć – wtedy przede wszystkim jako słuchaczka – w stolikowych rozmowach malarzy, pisarzy, dziennikarzy, krytyków. Nabierając wiedzy i doświadczenia, coraz częściej włączałam się do tych dysput. To były świetne czasy, z których pozostały fantastyczne wspomnienia. Niestety, wielu z tych ludzi już odeszło. Kazimierz zmienił się w mekkę typowo turystyczną, ale tamtego czasu nikt mi nie odbierze.

Niezwykłą postacią w życiu autorki był też awanturnik, podróżnik i pisarz Cizia Zyke. – Udało mi się dwukrotnie zaprosić go do Polski, a jego książkę *Tuan* wydać na polskim rynku, nie mając wówczas żadnego wydawniczego doświadczenia – mówi Magda Omilianowicz. – To była bardzo ryzykowna i kosztowna przygoda dla laika, ale dzięki temu nabrałam doświadczenia, nauczyłam się, jak funkcjonuje rynek wydawniczy, na czym to wszystko polega. I to był impuls, żeby zacząć pisać książki.

A podróż? – Udało mi się zobaczyć kawałek świata, choć wciąż mam niedosyt, że za mało – mówi. – Do wielu miejsc chciałabym wrócić, do wielu jeszcze nieodkrytych chciałabym pojechać, a nie wiem, czy będzie to możliwe. Niespełnieniem wciąż pozostaje Birma.

Finałem podróży i życia na Wyspach Kanaryjskich był przewodnik, który do dziś cieszy się zainteresowaniem. Pisała też do tzw. kolorowych wydawnictw, także prestiżowych, ale zawsze jako wolny strzelec. Wydaje się, że po prostu postanowiła sobie, że z pisania da się żyć. Karkołomne było to postanowienie, ale nie niemożliwe.

Opowiada, że nie wyszukuje historii, one jej się po prostu przytrafiają. – Jadę pociągami, ktoś jedzie obok, ktoś wsiada po drodze i od słowa do słowa robi się rozmowa – opowiada ze śmiechem. – A potem okazuje się, że ta przemila starsza pani, która tak dobrotliwie się uśmiecha, osiągnęła w swoim życiu takie wyżyny, że tylko gratulować. Trochę dopytam, pośmiejemy się i opowieść gotowa.

Z takich przypadkowych spotkań powstają jej książki. Opowiada w nich o ludziach, którzy żyją wokół nas. To w na pozór zwykłym człowiekowi odkrywa gotową historię. Ale byli też źli ludzie i historie, które zostają w głowie na zawsze...

Ciekawość silniejsza niż strach

Była bardzo młodą dziennikarką, kiedy po raz pierwszy znalazła się za kratkami. Mury więzienia przekraczała z torbą foliową w rękę. W niej były sprawunki, kupione na specjalne zamówienie człowieka, z którym chciała porozmawiać. Leszek Pękalski przyznał się do 67. strasznych morderstw. Za kratami powinien siedzieć rosły mężczyzna, a siedział biedny, bity przez najbliższych latami i znieważany chłopczyk w kluchowatym ciele mężczyzny. Nie jest łatwo patrzeć w oczy mordercy, dziś Magda mówi, że pewnie tego wywiadu by nie powtórzyła. – Ale wtedy ciekawość była dużo silniejsza od strachu – wspomina po ponad 25. latach.

Na rozmowie się nie skończyło, autorka szczegółowo zapoznała się z ponad 70. tomami akt sprawy, była też w rodzinnej wsi przestępcy. Po latach powstała książka o bestii, ukazująca studium zła, publikacja, którą czyta się z niepokojem, która budzi emocje. Różne.

Historia Pękalskiego wróciła do mediów po latach, kiedy osadzonemu kończył się wyrok. Wtedy na powrót dziennikarze zainteresowali się losami bestii. Magda zapraszana była do radia, do telewizji, przypomniano tę historię sprzed lat. I tak jak dawniej, mówiła o tym, że tak naprawdę państwo jest wobec potworów w ludzkiej skórze właściwie bezradne, że system resocjalizacji nie działa, że nie ma dobrego sposobu, żeby ich wyeliminować. Niełatwo zmierzyć się z takim tematem.

Siła (i słabość) kobiet

Magda Omilianowicz jest silną kobietą, która wie, czego chce od życia, i wiele takich kobiet spotkała. Także zawodowo.

– Jestem wielką fanką Teresy Olszewskiej-Bancewicz, która zaczęła podróżować po świecie autostopem, mając 62 lata i przez ponad 20 lat zjechała kawał świata – mówi. – Twórczą kreatywnością imponuje mi artystka Marta Frej i pisarka Sylwia Chutnik, wielką życiową mądrością patolog, doktor Maria Rydzewska-Dudek. Poznałam wiele mądrych, silnych, interesujących kobiet i sądzę, że teraz nadeszła nasza era. Mężczyźni nie bardzo sprawdzili się jako „władcy planety”, politycy stanowiący prawo. Może kobietom uda się urządzić nasz świat lepiej i uratować planetę przed ostateczną zagładą, o której coraz częściej mówią naukowcy.

Takim kobietom właśnie poświęciła dwie ze swoich książek *Przekraczające granice*, ale też potrafiła pokazać kobietę w całkowicie innym świetle. Taką, której świat się wali i która nie bardzo wie, jak sobie pomóc.

Książka *Mistrzynie kamuflażu. Jak piją Polki* (marzec 2020; wyd. Mova) odsłania to, co w naszym społeczeństwie szczególnie zasłonięte jest płaszczykiem milczenia, cichej zgody albo wyparcia. O alkoholizmie od lat mówi się w kontekście męskiego picia, ale żeby o kobietach... Przecież po pierwsze nie wypada, bo jak to wygląda: pijana kobieta, a po drugie: kto by chciał opowiadać. A jednak chciały. Dramatyczne historie przeplotła wywiadem-rzeką z psycholożką, która od lat pracuje z alkoholikami. Powstała książka, którą trudno się czytać jednym haustem, bo po prostu boli...

– Kiedy wydawnictwo zaproponowało mi ten temat, nie zastanawiałam się długo – przynajmniej. – Znam wiele osób, które borykały i borykają się z nadużywaniem alkoholu. Znam takie, którym udało się wygrać, i przegranych, którzy skończyli przez flaszkę na cmentarzu. Nie miałam problemu z namówieniem kobiet na zwierzenia, bo rozmawiałam z tymi, które znam. Wiedziały, że nie zrobię im tą publikacją krzywdy, że jeśli chcą wystąpić anonimowo, to tak zmienię ich historię, że nikt ich nie rozpozna. To były trudne, ale bardzo szczere i bolesne rozmowy. Dla mnie najtrudniejsze były opowieści psycholożki Ireny Śliwińskiej o dzieciach alkoholików, o tym, jak picie matki wpływa na dalsze życie dziecka. Nie miałam świadomości, że to aż tak traumatyczne doświadczenie.

Więzienie na wesoło

Zupełnie inna jest ostatnia książka Magdy Omilianowicz *Przepis na fałszerza* (maj 2020; wyd. Reporter). Choć też siedziała przez nią w więzieniu. – Tym razem odwiedzałam niesławne więzienie na Montelupich w Krakowie – opowiada. – Tam umówiłam się na długi wywiad z... fałszerzem. I znów zamiast cwaniakowatego osobnika spotkała starszego, przemiłego człowieka, który chętnie opowiadał o swoim jakże barwnym, choć wypełnionym niewolą, życiu przestępcy. Okazał się człowiekiem o gołęmbim sercu, który po prostu potrafił... malować pieniądze. – Myślę, że trudno porównać fałszerza pieniędzy, człowieka sympatycznego i elokwentnego, do seryjnego mordercy – opowiada. – *Przepis na fałszerza* to opowieść o niezwykle barwnym życiu „Matejki”, czyli Zdzisława N., człowieka, który potrafił sfałszować wszystko i który jest nazywany przez fachowców królem polskich fałszerzy. Cieszę się, że pan Zdzisław jest już na wolności, a ma za sobą 40 lat spędzonych w różnych zakładach karnych, że pracuje teraz na swoje utrzymanie, malując nie pieniądze.

Historia „króla fałszerzy” czaruje czytelnika atmosferą rodzinnego domu bohatera opowieści, zimnem sierociego życia, zabiera go w końcu w magiczno-alkoholowy świat krakowskich opryszków i artystów. *Przepis na fałszerza* to opowieść o życiu w pewnym sensie straconym, ale czy do końca? Na to pytanie odpowiedzieć mógłby sam Zdzisław N. i kto wie czy kiedyś nie odpowie, bo Magda Omilianowicz z wieloma swoimi rozmówcami nie rozstaje się na zawsze.

Czytelnik na wyciągnięcie ręki

Magda oswaja nie tylko bohaterów swoich książek, z powodzeniem także czytelników. Ma znajomych dosłownie wszędzie i wszędzie, gdzie jedzie, witana jest serdecznie przez grono wielbicieli jej pisarstwa. Na spotkaniach autorskich mowa jest o książkach, ale że z każdej wystaje kawał prawdziwego życia, rozmów o życiu także się nie uniknie. Zapraszają ją biblioteki z najmniejszych nawet miejscowości i autorka nie odmawia, doskonale wiedząc już po latach, że jest dla tych, którzy ją czytają, po prostu ważna. Na tyle, że witają ją jak starego przyjaciela. Z domowym ciastem, z herbatą, z babciną nalewką.

– Bez czytelników pisarz nie istnieje, więc jeśli biblioteka, w której już byłam, zaprasza mnie po raz kolejny, to znaczy, że nie nudziłam, że czytelnicy chcą mnie gościć ponownie, a to jest największy komplement – tak opisuje swoje kontakty z czytelnikami.

– W tym roku, w związku z pandemią, liczba spotkań była bardzo ograniczona i bardzo już tęsknię, podobnie jak moi koledzy i koleżanki po piórze, żeby wróciła normalność – mówi Magda. – Te spotkania nie ograniczają się tylko do opowieści o najnowszych książkach, to są też często rozmowy o sprawach bardzo trudnych, intymnych. Zdarzają się też opowieści inspirujące, budujące. Bardzo je lubię.

Czym jeszcze koszalińska autorka zaskoczy czytelników? To się z pewnością okaże. – Kończę pracę nad dwoma projektami, ale niestety, związana wydawniczymi umowami bez zgody wydawców nie mogę na razie zdradzić, nad jakimi – tajemniczo zapowiada kolejne książkowe plany. – W 2021 roku na pewno będą dwie premiery, w dwóch dużych wydawnictwach, jedna wiosną, druga jesienią. Tyle na razie mogę powiedzieć. W głowie mam już kolejny pomysł na książkę, więc myślę, że jeszcze kilka niespodzianek przed moimi czytelnikami – obiecuje.

I można jej wierzyć, bo jeszcze nigdy czytelników nie zawiodła.

Czytamy, bo świat nas nie goni

Odebrana od czytelnika książka ląduje w wózku, z niego zostaje przełożona do kartonu. W tym kartonie przeleży parę dni, zanim z powrotem trafi do wózka i odjedzie na półkę. I poczeka na kolejnego czytelnika. Poczeka niedługo, bo w tym trudnym czasie czytamy więcej. Pandemia zatrzymała nas w domach. Czytanie to duży plus podczas walki z koronawirusem.

– Przez pandemię mamy więcej chodzenia – śmieje się Wanda Budnik, kierowniczka filii nr 6 Koszalińskiej Biblioteki Publicznej (KBP). – Jedna rzecz to kwarantanna książek, jest z tym trochę zachodu, a druga: same musimy wybierać czytelnikom książki.

Od połowy marca 2020 roku nikt spoza pracowników nie miał wstępu między biblioteczne regały. To duża niedogodność, bo rytuał wyszukiwania tych pozycji, które chcemy zabrać do domu, przez wiele lat był istotnym elementem bibliotecznej przyjemności. Kto nie lubi przechadzać się między półkami, uważnym wzrokiem śledząc tytuły i powtarzając w duchu: czytałam, czytałam, czytałam... I trafić na coś, co chce się zabrać ze sobą do domu, a potem, kiedy już chaos dnia się przetoczy, zostać sam na sam z innym światem. – Teraz to nasza rola – mówi bibliotekarka. – Musimy umieć trafić w czytelniczy gust wypożyczających. Wie pani, jaka to radość, kiedy się słyszy przy zwrocie książki: „Ale mi fajnie pani wybrała!”. Cieszy, no i zobowiązuje, bo zawsze by się chciało, żeby było „fajnie”.

Od czytań do klasyki

Wiadomość o wirusie, który w krótkim czasie rozpanoszył się dosłownie wszędzie, wprowadziła wielu z nas w stan, jakiego chyba nikt sobie nie życzy. Z dnia na dzień pojawił się lęk o przyszłość, o najbliższych, o pracę... Codziennosc zaczęła być trudna do udźwignięcia. Dlatego pewnie ci, którzy czytają, w książce szukają



wytchnienia. – 80 procent czytelników chce czytać literaturę lekką i przyjemną – mówi pani Wanda. – Nic dziwnego, przecież to, co się dzieje na świecie, nie nastraja optymistycznie. Po książki sięga więcej kobiet niż mężczyzn – to się od lat nie zmieniło, ewoluują gusty. Panowie kiedyś chętniej sięgali po historię, dziś to szczerkawo zainteresowanie. Lubią fantastykę, sensację i kryminały. Panie lubią czytać – wylicza bibliotekarka. – W modzie są polscy autorzy, to cieszy – opowiada pani Wanda i wymienia: – Mróz, Bonda, Ćwirlej, Majewska, Fabisińska, Gryciuk. Ze współczesnych autorek na uwagę czytelników z pewnością zasługuje hiszpańska pisarka Carla Montero.

Lubimy czytać, ale bibliotekę odwiedzają też czytelnicy, którzy nareszcie mają czas, żeby odświeżyć klasyków. Z nich do czytelników rąk najczęściej trafiają książki Fiodora Dostojewskiego. Powo-



dzeniem cieszą się też biografie. Wypożyczający mówią, że nareszcie mogą sobie poczytać, bo świat ich nie goni.

A co z tzw. literaturą wysoką? Mamy przecież kolejną noblistkę. Okazuje się, że tuż po ogłoszeniu Olgi Tokarczuk laureatką tej zaszczytnej nagrody wielu czytelników chciało się przekonać, za co ten Nobel. – Każdy chciał przeczytać, były bardzo różne opinie po lekturze – mówi Wanda Budnik. – Oczywiście, nie każdemu się podobało, ale szanuję to, że czytelnicy chcą poznawać coś nowego. Piękne jest właśnie to, że uruchomiła się w ludziach chęć poznania...

Z książek chcemy też czerpać konkretną wiedzę. Biblioteki mają sporo przeróżnych poradników. W pandemicznym czasie czytelnicy, chcą wiedzieć jak radzić sobie w stresie, gotują w domu, wracają także do robótek ręcznych i na ich temat też chcą poczytać.

Tradycja i nowoczesność

Jeszcze niedawno czytający książki dzielili się na tych, którzy wolą zapach przykurzonych stron i szelest przewracanych karetek oraz na tych, którzy z radością przywitani literaturę w nowoczesnej odsłonie i postawili na czytanie za pomocą elektronicznych nośników. Punkt widzenia zmienia się jednak wraz ze zmianą wiadomości czego i w czasie, kiedy papierowa książka może być nośnikiem cząsteczek wirusa poza informacjami, ci pierwsi również coraz chętniej przerzucają się na czytanie elektroniczne. Widać to w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej, która dysponuje liczącą ponad aplikacją Legimi. Usługa jest bezpłatna, biblioteka ma do dyspozycji 230 kodów do aplikacji. Za pomocą jednego kodu można czytać e-booki na dwóch urządzeniach jednocześnie. – I często tak się zdarza – potwierdza zainteresowanie książką elektroniczną Barbara Wysmyk, kierowniczka Działu Promocji KBP. – Pandemia zmieniła znacząco czytelnicze gusty, kiedyś kody do Legimi były dostępne nawet

w połowie miesiąca, teraz rozchodzą się dosłownie w kilka godzin.

Pandemia i ostrożność przy dotykaniu obcych przedmiotów to, oczywiście, jeden z powodów większej popularności takiej formy czytania książek, kolejny to wygoda. Czytnik – czy to smartfon, czy tablet, czy w końcu Pocket Book (urządzenie przeznaczone właśnie do czytania e-booków) – można zabrać ze sobą wszędzie i łatwo z niego korzystać. Kod dostępu do e-książek dostajemy na miesiąc, w tym czasie możemy czytać, ile dusza zapagnie. Możliwość wypożyczenia mają, oczywiście, tylko zapisani do biblioteki czytelnicy, ale to nie dotyczy tylko koszalinian. To też posiadacze kart bibliotecznych Koszalińskiej Biblioteki Publicznej oraz bibliotek w Będzinie, w Biesiekierzu, w Bobolicach, w Manowie, w Mielnie, w Polanowie, w Sianowie i Świeszynie. Co ważne, po pobraniu książki nie trzeba mieć dostępu do internetu, żeby móc ją przeczytać.

Nową usługą w KBP jest wypożyczanie do domu prasy na trzy dni.

Dla każdego coś...

W 2020 roku do KBP trafiło około 8 tysięcy książek. To przede wszystkim nowości. – Chciałoby się, żeby było więcej, żeby w każdej filii było po kilka egzemplarzy nowych książek, ale ograniczają nas pieniądze – mówi Bogusława Kałużna, kierowniczka Działu Opracowania KBP. – Na książki w tym roku mamy przeznaczonych 210 tysięcy złotych. Na tę sumę składa się ponad 70 tysięcy z budżetu miasta i około 40 tysięcy z Biblioteki Narodowej. Kupujemy do filii literaturę piękną dla dzieci, ale też dla dorosłych. Do budynku głównego także literaturę piękną i biografie. Staramy się kupować takie książki, po które sięgnie ten bardziej i mniej wymagający czytelnik.

Pandemia nie wpłynęła na zakupy w bibliotece. – W tym roku kupiliśmy mniej książek, bo mniejsza jest dotacja z Ministerstwa Kultury. A ta z kolei zależy od tego, jakiej wielkości jest wkład własny placówki – dodaje Bogusława Kałużna.

Podróże z pisarzami

Rok 2020 zapowiadał się w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej (KBP) bardzo dobrze, wręcz, że fantastycznie... Planów związanych z realizacją spotkań autorskich dla czytelników było mnóstwo, ale większość trzeba było zweryfikować. Choć skromniej niż zwykle, było równie interesująco.

Zaczął się od tematyki podróżniczej, bardzo przez czytelników KBP lubianej. Z wielkim entuzjazmem została przyjęta Stasia Budzisz ze swoim reportażem *Pokazucho. Na gruzińskich zasadach*. Autorka opowiedziała uczestnikom spotkania o kraju, w którym ustawa o molestowaniu seksualnym została wprowadzona dopiero w 2019 roku, a kara za przemoc domową obowiązuje od 2012 roku. Opisała świat, zwłaszcza prowincji, gdzie kobiecie nie wypada palić papierosów w miejscu publicznym, a pijące piwo posądza się o rozwiązłość. Rozwódka nie powinna farbować włosów, gwałt należy trzymać w tajemnicy, a osoby z niepełnosprawnością ukrywa się przed światem. Nie zabrakło, na szczęście, opisów jasnej strony Gruzji.

Entuzjazm wzbudziło również spotkanie z podróżnikiem i reportażystą Robbem Maciągiem, który swoimi spostrzeżeniami i pasją, a uwielbia fotografować ludzi, podzielił się z publicznością. Opowiadał o Syrii, o tym jak wyglądał ten kraj przed wybuchem wojny. Zgodnie z głoszoną przez siebie ideą, że świat jest pełen dobrych ludzi, opisywał niezwykłą gościnność Syryjczyków, w sytuacji kiedy jego i ich różniła bariera językowa.

Niestety, potem nastąpił nagły zwrot akcji, koronawirus wkradł się niepostrzeżenie w sam środek naszego życia, biblioteki zostały zamknięte dla czytelników... i wiele z zaplanowanych spotkań autorskich nie mogło się odbyć.

W czasie krótkiej odwilży, gdy instytucje kultury (w tym biblioteki) zostały otwarte, Koszalińska Biblioteka Publiczna zorganizowała



Robb Maciąg

Fot. Archiwum KBP

spotkanie autorskie (niestety bez udziału publiczności) z Magdą Omilianowicz, promującą książkę *Mistrzynię kamuflażu. Jak piją Polki*. W spotkaniu uczestniczyła jedna z jej rozmówczyń – psychołożka kliniczna Irena Śliwińska, która leczy uzależnienia u kobiet. W rozmowie padło wiele ważnych pytań i odpowiedzi: dlaczego coraz więcej kobiet sięga po alkohol, dlaczego tak trudno alkoholizm zgłosić na terapię i jak alkoholizm matki wpływa na życie dziecka.



Magda Omilianowicz, Irena Śliwińska



Dominika Słowik



Cezary Harasimowicz

Koszalińską Bibliotekę Publiczną w wakacje odwiedziła Dominika Słowik, uznana za jedną z najciekawszych pisarek młodego pokolenia. Przybliżyła czytelnikom swoją nagradzaną *Zimowlę*, pełną zagadek opowieść o rodzinie, historii i Polsce. Było to także pierwsze ze spotkań z udziałem czytelników, w trakcie którego stosowaliśmy obowiązujący reżim sanitarny (dystans, dezynfekcja, maseczki) – nasza nowa rzeczywistość.

Refleksją o wartościach ponadczasowych, takich jak wolność czy miłość, podzielił się z nami Cezary Harasimowicz – pisarz, scenarzysta, aktor i dramaturg. Powieść *Była sobie miłość* – jak mówi – jest opowieścią o świecie i stawia odwieczne pytania: Skąd przyszliśmy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy? Nienawiść jest łatwa. Miłość wymaga wysiłku, a jednak jest ona wszystkim, co istnieje. Opowiedział o świecie, w którym mamy jednak wpływ na własny los.

Dzięki współpracy Koszalińskiej Biblioteki Publicznej z Good Vibe Festiwalem gościliśmy u siebie Bartłomieja Skubisza, znanego jako Eskauhei. Artysta przedstawił swój interdyscyplinarny projekt *Muzyczny Tyrmand*. Jako wielki entuzjasta twórczości Tyrmanda stworzył swoje dzieło w oparciu o cztery powieści pisarza: *Siedem dalekich rejsów*, *Zły*, *Filip* oraz *Dziennik 1954*.



Stasia Budzisz



Eskauhei, prow. Mateusz Prus



Albena Grabowska, prow. Piotr Pawłowski



Adela Kuik-Kalinowska

Kolejnym gościem KBP była pisarka, ale także neurołożka z drugim stopniem specjalizacji i doktoratem, Albena Grabowska. Autorka bestsellerowych powieści, sag i książek dla dzieci opowiadała m.in. o tym, jak zaczęła swoją przygodę z pisaniem oraz jaka była jej pierwsza powieść. Podzieliła się także opowieściami na temat swojej pracy na planie serialu *Stulecie Winnych*. Przyznała, że w młodości bardzo chciała zostać aktorką. Spróbowała także odpowiedzieć na pytanie: Co sprawia, że tak fenomenalny narząd jak mózg ludzki zawodzi?

Naszą podróż z autorami w dobie pandemii zakończyliśmy spotkaniem z poezją kaszubską Adeli Kuik-Kalinowskiej, które było doskonałą okazją do rozmowy o tożsamości poetki, jej latach dziecięcych w rodzinnej wiosce kaszubskiej – Rekowie, otoczonej wspianymi lasami i sześcioma jeziorami. Autorka opisała swoje ówczesne realia życia, gdzie tradycje polskie i niemieckie łączyły się ze sobą.

Wirus zaprzępaścił spotkania Mają Lidią Kossakowską, Jarosławem Grzędowiczem, Jakubem Szamałkiem, Katarzyną Bereniką Miszczuk oraz Hanką Grupińską i Piotrem Pytlakowskim. No cóż, jak powiadał Demokryt z Abdery „Nawet to, co najbardziej przypadkowe, jest w ostatecznym rachunku koniecznością”. Miejmy nadzieję, że przyszłość okaże się łaskawsza.

Rok z legendami

Gracjan Bojar-Fijałkowski, historyk, badacz przeszłości ziem pomorskich, autor książek dla dzieci i dorosłych od 1987 roku jest patronem filii nr 3 Koszalińskiej Biblioteki Koszalińskiej przy ulicy Młyńskiej. W sierpniu 2020 roku na elewacji pojawiła się tablica pamiątkowa, a w ciągu roku KBP zorganizowała także inne akcje związane z twórczością pisarza.

To oczywiście nie pierwsze inicjatywy biblioteki prezentujące dorobek artysty. Pierwsze podjęła w dwa lata po jego śmierci. W 1986 roku gmachu głównym otwarty został gabinet Gracjana Bojara-Fijałkowskiego, prezentujący meble, sprzęty i drobne przedmioty, które towarzyszyły mu na co dzień. W 2012 roku, w 100-lecie urodzin pisarza, KBP wydała drukiem zbiór pomorskich legend, z ilustracjami dzieci, które brały udział w cyklicznym konkursie plastycznym, organizowanym od 1987 roku (odbywał się przez 25 lat!). Zbiór *O książniczkach, zbójcach, karzelkach i...* w wersji elektronicznej można wciąż przeczytać lub pobrać ze strony internetowej biblioteki.



W 2020 roku miało miejsce kilka wydarzeń związanych z postacią pisarza. Pierwsze to majowe Legendarne Dni Koszalina (online). Bibliotekarze m.in. czytali legendy Gracjana Bojara-Fijałkowskiego, pokazywali archiwalia z czytelnicy regionalnej, instruowali, jak wykonać karzelki rodem z legend, Koło Gospodyń Wiejskich „Ino Będzino” uczyło wypiekania chleba, Andrzej Kuczkowski, archeolog, gawędził o historii, a wszystkiemu towarzyszyła wystawa w oknach gmachu głównego KBP oraz filiiach.

Projekt *Wytropić zbójców z Gracjanem* realizowany był w sierpniu i wrześniu. Otrzymał dofinansowanie z Narodowego Centrum Kultury, w ramach programu *Kultura Interwencje*. Postacie zbójców pojawiły się w gmachu głównym, filiiach KBP i bibliotekach powiatu. Do udziału w zabawie wystarczył smartfon. Przy sylwetkach zbójców, poza informacjami na temat legend i ich autora, umieszczone zostały kody QR, które po sczytaniu telefonem przekierowywały do specjalnie przygotowanych zagadek.

– Postać Gracjana Bojara-Fijałkowskiego była i jest nam bardzo bliska – podkreśla Barbara Wysmyk z Działu Promocji KBP. – Rodzina pisarza przekazała nam cenne archiwalia, które są dostępne w zasobach czytelnicy regionalnej. Czujemy się przyjemnie zobowiązani do propagowania wiedzy o pisarzu i jego twórczości. Tym razem postawiliśmy na bardziej nowoczesną formę – grę miejską, przeznaczoną zarówno dla mieszkańców Koszalina, jak i turystów, chcących dowiedzieć się czegoś ciekawego o naszym mieście.

We wrześniu biblioteka zaprosiła na trzy tematyczne rajdy piesze śladem miejsc opisywanych przez Gracjana Bojara-Fijałkowskiego w legendach. Poprowadził je Andrzej Kuczkowski.

Odsłonięcie tablicy w filii nr 3 miało miejsce 24 sierpnia 2020 roku, w obecności prezydenta Piotra Jedlińskiego. Anna Bojar-Fijałkowska, córka, nie ukrywała wzruszenia i zaznaczyła, że to kolejny krok do przypomnienia postaci ojca, mimo popularności jego legend, publikacji, a nawet nadania jednej z ulic w Koszalinie imienia pisarza, wciąż za mało znanego w mieście.



Gracjan Bojar Fijałkowski urodził się w roku 1912 w Bobrownikach koło Lipca, zmarł w 1984 roku. Oficer Wojska Polskiego, partyzant Armii Krajowej, więzień obozu w Auschwitz Birkenau. Wojenna zawierucha zaprowadziła go do Armii Francuskiej. Do Polski wrócił w roku 1947. W Koszalinie rozpoczął dziennikarską pracę w „Słowie Powszechnym”. Był działaczem wielu stowarzyszeń i organizacji. Udzielał się w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich, był radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej, pracownikiem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Badał kulturę i przeszłość słowiańską Pomorza. Na drugim biegunie była działalność naukowa związana z historią tych ziem podczas II wojny światowej. Zainteresowania przeszłością Pomorza przeniósł na karty książek poświęconych wierzeniom, obrzędom, zwyczajom ludowym na tym terenie oraz dawnym mieszkańcom – ich zajęciom codziennym, pracy i rozrywkom, życiu rodzinnemu, historycznie udokumentowanym faktom z dziejów pomorskich miast i ciekawostkom, o których wspomina także w swych legendach.

Fot. Archiwum KBP



Inny, ale intensywny rok Filharmonii

Niewiele koncertów odbyło się w Filharmonii Koszalińskiej (FK) w 2020 roku, ale za to mocno zapadły one w pamięć. W nowych, trudnych, warunkach udało się też zrealizować kilka ciekawych projektów fonograficznych.

Styczeń rozpoczął się koncertem noworocznym. Orkiestra pod batutą pierwszego dyrygenta orkiestry Jakuba Chrenowicza wykonała tradycyjnie program straussowski.

Podczas kolejnego gościliśmy znakomitego saksofonistę jazzowego Henryka Miśkiewicza, który z orkiestrą Filharmonii pod dyktando Sławomira Chrzanowskiego wykonał koncert saksofonowy *Altis-simonica* Jana Ptaszyna Wróblewskiego, w obecności kompozytora. Został on napisany dla Henryka Miśkiewicza i jemu dedykowany, bo jak mówił kompozytor: „nikt go tak dobrze nie zagra jak Misio”. Utwór składa się z czterech części, z których każda poprzedzona jest improwizowanym interludium, a partytura łączy dwa muzyczne światy. Improwizacja solisty jest tu kluczowa, orkiestra i jej akompaniament pozostają w swoim symfonicznym świecie. Premiera dzieła odbyła się 20 lat temu, zatem cieszymy się, że udało się usłyszeć ten koncert – zresztą doskonale poprowadzony przez Sławomira Chrzanowskiego – w naszej filharmonii.

8 cud świata to koncert, podczas którego po raz kolejny w Koszalinie podziwialiśmy talent Katarzyny Dondalskiej. Śpiewaczka wraz ze Stefanem Johannesem Walterem za pulpitem dyrygenckim wykonała dużą część programu z płyty *Me and My World* nagranej z koszalińskimi filharmonikami. Na estradzie pojawił się także debiutant, młody śpiewak z Koszalina Michał Słobodzian, laureat wielu konkursów wokalnych, dla którego występ przed koszalińskimi melomanami, z dużą orkiestrą za plecami i światowej sławy śpiewaczką obok, na pewno był dużym przeżyciem. Taki debiut się pa-

mięta. Publiczność usłyszała m.in. muzykę Henry'ego Mancini'ego, Arthur'a Sullivan'a, kompozycje Stefana Johanna Waltera, napisane dla Katarzyny Dondalskiej. Repertuar – połączenie muzyki filmowej, jazzowej i klasycznej – to „muzyczny świat” sopranistki.

Niezwykle wzruszający był koncert z okazji 92. urodzin Andrzeja Cwojdzńskiego, Honorowego Obywatela Miasta Koszalina, przygotowany przez absolwentów pana profesora, nauczycieli oraz uczniów Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. G. Bacewicz w Koszalinie (o koncercie piszemy szerzej na str. 106 – dop. red.) W ramach koncertów karnawałowych gościliśmy także znanych i lubianych artystów, np. Krzesimira Dębskiego, który jak zwykle z humorem poprowadził koncerty z muzyką własną, nie tylko filmową. Solistą tego wieczoru był Kamil Radzimowski, instrumentalista grający na duduku, instrumencie dętym drewnianym z Armenii, który wykonał własne utwory z towarzyszeniem koszalińskich filharmoników.

Odwagą wykazała się dyrekcja filharmonii, zapraszając na koncerty Dodę, czyli Dorotę Rabczewską. Z towarzyszeniem orkiestry, artystka zaprezentowała się bardzo dobrze, wykonując piosenki mistrzów: Włodzimierza Korcza, Seweryna Krajewskiego, Jerzego Wasowskiego, Wojciecha Młynarskiego i Katarzyny Gertner.

Koncerty symfoniczne, przed zamknięciem instytucji kultury z uwagi na pandemię, zamknął występ Macieja Strzeleckiego, skrzypka wywodzącego się z Koszalina, który wykonał II koncert skrzypcowy op. 61 Karola Szymanowskiego. Maciej Strzelecki to laureat wielu konkursów krajowych i międzynarodowych, uczestnik konkursu im. H. Wieniawskiego w Poznaniu w roku 2011. Obecnie mieszka i pracuje w Niemczech. Występ Macieja zawsze wzbudza wielkie emocje. Nie inaczej było podczas tego wieczoru, a dodatkowych wrażeń dostarczył znakomity dyrygent Radosław Szulc, który doskonale poprowadził orkiestrę w dziełach Mendelssohna i Czajkowskiego.

W pierwszych tygodniach 2020 roku muzycy filharmonii zaprosili melomanów na koncerty z cyklu *Kameralne piątki*. Zdążyli zapre-





Fot. Materiały prasowe FK (6)



zentować się Adam Vogelsinger – skrzypce i Piotr Grelowski – fortepian. Tuż przed zamknięciem sali koncertowej w koncercie kameralnym wystąpili jeszcze w duecie Katarzyna Baj-Gustaw – skrzypce i Paweł Bortnowski – fortepian. Program był bardzo wymagający – zabrzmiała sonata Cezara Franca i Karola Szymanowskiego.

Potem długie tygodnie filharmonia pracowała online, by z wielką radością zaprosić spragnionych żywej muzyki koszańian na koncerty plenerowe na Rynku Staromiejskim. Czasami aura przeszkadzała, koncerty były przekładane, ale i muzycy, i publiczność, mieli wiele radości i satysfakcji z obcowania z piękną muzyką Straussa czy Moniuszki.

Nowy sezon artystyczny Filharmonii Koszańskiej, 65. – jubileuszowy, we wrześniu 2020 roku rozpoczął koncert pamięci zmarłego w marcu prof. Krzysztofa Pendereckiego. Solistą wieczoru był Andrzej Wojciechowski, klarnecista, absolwent koszańskiej szkoły muzycznej, który wykonał koncert na klarnet mistrza. Znakomite dzieło, pełne pułapek technicznych i oddechowych, powstało wiele lat temu. W pierwszej wersji napisane było na altówkę, ale wydaje się, że wersja klarnetowa jest jeszcze trudniejsza. Andrzej Wojciechowski nie raz pokazywał nam swoją wirtuozerię, tym razem także grał jak natchniony, wspaniale. Znakomicie orkiestrę poprowadził Jakub Chrenowicz. W programie zabrzmiała także *Orawa* Wojciecha Kilara i I symfonia C-dur Ludwiga van Beethovena z okazji 250. rocznicy urodzin kompozytora.

Następny koncert symfoniczny sezonu to *Zaczarowany świat oper Mozarta*, w którym wystąpili solo i w duecie: Maria Jaskulska-Chrenowicz – sopran i Szymon Mechliński – baryton. Artyści dopiero budują swoją karierę, biorąc udział w bardzo ciekawych projektach, koncertach i przedstawieniach operowych. W ich wykonaniu usłyszeliśmy arie: *Wesele Figara*, *Uprowadzenie z Seraju*,

Don Giovanni, *Łaskawość Tytusa* i *Czarodziejski Flet*. Artyści dysponują pięknymi głosami o ciepłej barwie. Życzymy im wspaniałej kariery.

Nieczęsto się zdarza usłyszeć w koncercie solowym fagot, a grającą na nim kobietę jeszcze rzadziej. Był to przedostatni wieczór, który jeszcze się odbył w FK. Joanna Zdybel-Nam, solistka i bohaterka koncertu, jest niedużej postury, ale doskonale sobie radzi z dość dużym fagotem, zaprzeczając stereotypom, że to męski instrument. Jej biegłość, wirtuozeria, a przede wszystkim piękny dźwięk pokazują fagot z zupełnie innej strony, jako pełnoprawny instrument solowy, nie tylko orkiestrowy.

Ostatni koncert, który się odbył z udziałem publiczności w roku 2020 został przygotowany wspólnie z Archiwum Państwowym w Koszańinie. W programie wieczoru *75-lecie polskiego Pomorza Zachodniego* zabrzmiała muzyka koszańskich kompozytorów: Kazimierza Rozbickiego, Andrzeja Cwojdzńskiego, Jacka Piotra Kujawskiego i Grażyny Bacewicz, która przez całe życie związana była z Łodzią, ale jak wiadomo jest patronką ZPSM, naszej kuźni talentów muzycznych.

Solistką wieczoru była Joanna Krempeć-Kaczor, kontrabasistka, uznana profesorka Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Artystka wykonała koncert kontrabasowy Jacka Piotra Kujawskiego, kontrabasisty orkiestry koszańskiej i kompozytora, który już kilka lat temu napisał ten utwór i wykonał go z towarzyszeniem fortepianu, a teraz go zorkiestrował, zmienił kilka fragmentów, więc właściwie jest to nowy koncert dedykowany pani Joannie, u której kompozytor zgłębiał tajniki kontrabasu.

W ten sposób zakończył się ten trudny rok w filharmonii, a nam melomanom pozostaje czekać na lepszy zdrowszy czas i kolejne wielkie emocje, które towarzyszą koncertom na żywo.

Rozmowa z Robertem Wasilewskim,

dyrektorem Filharmonii Koszalińskiej

Co Pan pomyślał, gdy ogłoszono lockdown i zamknięto placówki kulturalne?

– To nie było aż takie zaskoczenie, ponieważ widzieliśmy, co się dzieje na świecie. Z tyłu głowy była nadzieja, że tak się nie stanie, ale w marcu, według zaleceń organów sanitarnych, wstrzymaliśmy próby i koncerty. Rozpoczęliśmy pracę zdalną, co nie było łatwe, ponieważ taka sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy w historii instytucji, w życiu muzyków i moim jako dyrektora. Przez pierwsze dni musieliśmy się długo zastanawiać, jak się odnaleźć w tej nowej rzeczywistości. Mieliliśmy różne scenariusze, pomysły na działalność, koncepcje, które albo się sprawdzały, albo je modyfikowaliśmy. Po tych wielu miesiącach możemy mieć satysfakcję, że pomimo wielkich trudności, uczciwie przepracowaliśmy ten czas jako instytucja, orkiestra i myślę, że mamy całkiem spory dorobek artystyczny.

Trudno orkiestrze grać razem, gdy każdy z muzyków musi przebywać we własnym domu, jednak udało się nagrać utwór Jacka Piotra Kujawskiego, kompozytora i kontrabasisty FK, napisany do słów Iwony Wyszyńskiej *W zacczarowanym ogrodzie ciotki Nutki*. To pierwsze chyba takie wielkie przedsięwzięcie tego roku.

– To był bardzo skomplikowany i duży projekt artystyczny, techniczny, organizacyjny, nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wielki. Muzycy przez kilka tygodni w domach nagrywali swoje partie utworu, przesyłali je potem za pośrednictwem internetu do filharmonii, następnie głosy były przekazywane do Polskiego Radia Koszalin, które było partnerem projektu. Co dwa tygodnie prezentowaliśmy fragmenty kompozycji, aby w październiku zakończyć już publikację w odcinkach i scalić wszystko w jedną wielką bajkę muzyczną. Ilustracje do niej stworzyła Maja Ignasiak. Wiele dziedzin sztuki tutaj się spotkało i wiele osób z wiedzą artystyczną, ale też techniczną miało swój udział w tym projekcie. Myślę, że na tle wielu publikacji



muzycznych, internetowych, różnych orkiestr w naszym kraju, ta się bardzo wyróżnia.

Jak muzycy podeszli do tego projektu?

– Byłem zaskoczony, bo właściwie wszyscy wzięli udział w projekcie, każdy się starał, jak mógł. Była jednak masa problemów. Na początku okazało się, że każdy z nas ma inny telefon i umiejętności posługiwania się nim w celu nagrania; w każdym domu jest inna akustyka. Granie okazało się najłatwiejsze, w końcu to muzycy zawodowi. Zmontować całość było wyzwaniem. Zebraliśmy masę doświadczeń.

Trudno było planować co dalej, ale trzeba było przygotować orkiestrę na kolejny sezon, a po drodze jeszcze zorganizować festiwal organowy.

– Dokładnie. Przypomnę że do połowy czerwca muzycy nie mogli się spotykać na próbach, ten czas właśnie wykorzystaliśmy na nagranie bajki. Po zmianie decyzji sanepidu, mogliśmy rozpocząć próby w sali filharmonii, ale wiadomo było, że koncert kończący sezon artystyczny też musiał zostać odwołany. Nie zdążyliśmy go przygotować. Pozostał miesiąc do festiwalu organowego, plany festiwalowe, które zostały ustalone w listopadzie poprzedniego roku, musiały całkowicie ulec zmianie (o 54. MFO piszemy na str. 94). Zagraliśmy ok. 20 koncertów w ramach festiwalu organowego, pięć na Rynku Staromiejskim. To był bardzo pracowity okres i wydaje się, że „okienko sanitarne” dobrze wykorzystaliśmy. Statystycznie pierwszy plan niewiele się różni od wykonanego, to wielka satysfakcja.

Początek nowego, jubileuszowego, sezonu artystycznego, dał nadzieję na regularną pracę. Niestety, znów się nie udało.

– Już w końcówce sierpnia pojawiło się zagrożenie, że Koszalin trafi do żółtej strefy, co miało skutkować ograniczeniem ilości melomanów w sali koncertowej do 50 proc. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia to bardzo niekorzystne ograniczenie. Z psycholo-

gicznego również, bo jeśli sala nie jest zapełniona, obawiamy się o atmosferę koncertu, o reakcje między muzykami a melomanami. Zmierzyliśmy się jednak z tym wyzwaniem, zaczęliśmy sezon we wrześniu, zagraлиśmy jeden koncert w październiku, jeden w listopadzie, kiedy ograniczenia stały się jeszcze bardziej dokuczliwe, bo na sali mogło być tylko 25 proc. publiczności,

A koncerty online?

– Niektóre instytucje testowały te rozwiązania. Z mojego punktu widzenia są one niesatysfakcjonujące. Generują dodatkowe koszty, gdy nie ma wpływu z biletów. Do tego nie jesteśmy przekonani, że taki przekaz internetowy jest optymalny z punktu widzenia i profilu naszej publiczności. Osoby, które przychodzą na nasze koncerty, niekoniecznie korzystają z internetu i komputerów. Trzeba wziąć też pod uwagę stronę techniczną. W listopadzie do końca roku odwołaliśmy wszystkie koncerty, wybraliśmy inne formy aktywności.

Jakie to projekty?

– Jeden związany z naszą działalnością edukacyjną: *Sześć piose-*

nek dziecinnych Witolda Lutosławskiego. To cykl miniatur wokalnych, który pierwotnie kompozytor napisał na głos z fortepianem, następnie sam przerobił go na orkiestrę i chór dziecięcy, w naszej wersji wykonuje go orkiestra i Wojciech Rogowski – znakomity aktor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego.

To ukłon w stronę publiczności Familijnego Parku Sztuki?

– Można tak powiedzieć. Chcemy, żeby nasze materiały i płyty trafiły do przedszkoli woj. zachodniopomorskiego, czyli ponad 500. placówek. Druga płyta to wspólne nagranie ze znakomitą śpiewaczką Katarzyną Dondalską, dysponującą sopranem koloraturowym. W programie znajdzie się wiele znanych utworów, m.in. arie Haendla, ale i kompozycje napisane przez męża pani Katarzyny, Stefana Johannes Waltera. Na płycie zagra też brat sopranistki, Natan Dondalski, skrzypek i koncertmistrz filharmoników oraz jego uczeń, 17-letni skrzypek, Wiktor Dziedzic. Trzeci projekt jest bardzo wzruszający – muzyka żałobna, hołd złożony tym wszystkim, którzy odeszli z powodu pandemii. Będą tam kompozycje Bacha, fragmenty *Requiem* Mozarta, G. Faure, w sumie 70 minut wyjątkowej muzyki.



Nie zawiedliśmy słuchaczy

Rozmowa z Bogdanem Narlochem, organistą i dyrektorem artystycznym 54. Międzynarodowego Festiwalu Organowego

W marcu 2020 roku okazało się, że festiwal może nie dojść do skutku.

– Wiele rzeczy się zawaliło. Okazało się, że artyści z zagranicy nie przyjadą, nie wiedzieliśmy, co się zdarzy, i jak mają wyglądać letnie imprezy muzyczne. Jestem też dyrektorem Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w Słupsku. Tam organizator, Słupskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, podjęło decyzję, że festiwal się nie odbędzie. Koncerty w Koszalinie odbyły się w zaplanowanym wymiarze, „na żywo”, choć byliśmy zmuszeni do zmiany wykonawców i, co za tym idzie, programu.

No i się udało, bo od lat zna Pan środowisko organistów, jest Pan jednym z nich, ma pan też umiejętności organizatorskie, a polscy artyści również nie mogli wyjeżdżać za granicę...

– Nie ukrywam, że miało do nas przyjechać wielu fantastycznych wykonawców, m.in. chór z Manili. Bardzo chcieliśmy usłyszeć Jennifer Pascal, organistkę katedry św. Patryka w Nowym Jorku. Przez obostrzenia nie mogliśmy również z naszymi, polskimi, artystami, zrealizować wszystkiego, co planowaliśmy. Musieliśmy wypełnić przede wszystkim drugie części koncertów organowych i tu na szczęście Filharmonia Koszalińska wyszła z inicjatywą, aby wzięli w nich udział muzycy orkiestry. Jak się okazało, miało to duże znaczenie dla festiwalu. Jego poziom nie obniżył się, a wręcz przeciwnie. W mniejszych miejscowościach regionu słuchacze nieraz po raz pierwszy usłyszeli koszalińską orkiestrę. Oczywiście w mniejszych składach, bo trzeba było przestrzegać obostrzeń sanitarnych. Został też wybrany doskonały program. Jeden z koncertów odbył się z udziałem Katarzyny Dondalskiej, sopranistki, która wykonała muzykę sakralną Haendla i Bacha, grał kwintet smyczkowy. Był też program przygotowany przez grupę dętą filharmonii – suita *Planety* Gustava Holsta. Mimo że ta muzyka nie ma wiele wspólnego



z sacrum, została znakomicie przyjęta i świetnie wybrzmiała w świątyniach nadmorskich miejscowości.

Festiwal został zrealizowany w takiej ilości koncertów, jak zaplanowaliśmy, czyli 31.

A co z publicznością? Na koncertach w kościołach obowiązywały limity.

– Było trochę mniej słuchaczy, ale nie pamiętam, kiedy otrzymaliśmy takie brawa. To bardzo ważne i cieszy, bo znaczy, że jesteśmy potrzebni, publiczność na nas czeka. Nie wyobrażałem sobie, że festiwal może się nie odbyć. Jest wielu turystów, którzy co roku tak planują wyjazd, by przyjść na nasze koncerty. Nie chciałem też, żeby mieszkańcy Koszalina i okolic nagle nie mieli możliwości spotkania ze sztuką, z muzyką. Nie chcieliśmy ich zawieść.

Są koncerty festiwalowe, które szczególnie się wyróżniają, zostają w pamięci. Były takie tym razem?

– Wyróżniłbym wszystkie z udziałem orkiestry. Słuchacze czasami po raz pierwszy widzieli żywą orkiestrę, dyrygenta, cały zespół, który musi ze sobą współpracować; od strony edukacyjnej miało to duże znaczenie. Jeżeli chodzi o poszczególne koncerty, to jak co roku mieliśmy debiutujących czy też bardzo młodych wykonawców. Do tych, którzy reprezentują bardzo wysoki poziom, należy Patryk Podwojski, absolwent Akademii Muzycznej w Gdańsku, w klasie prof. Romana Peruckiego, który teraz studiuje w Berlinie u Wolfganga Seifena. Wolfgang Seifen to znakomity organista, wielokrotnie występował na naszym festiwalu, jest również improwizatorem i pedagogiem. Patryk Podwojski był dla mnie wielkim odkryciem. Grał na mniejszych instrumentach w Darłowie i Sarbinowie – to jednomanualowe organy, mające ograniczoną ilość głosów, a zaprezentował na nich kunszt niebываły. Na tym samym koncercie, w jego drugiej części, wystąpili w duecie młodzi instrumentalisci z Akademii Muzycznej w Katowicach. Jakub Kotowicz grał na wibrafonie, Marcin Jabłoński na akordeonie. Wibrafon i akordeon to raczej egzotyczne instrumen-

ty, jeśli chodzi o nasz festiwal organowy, ale panowie zaprezentowali niezwykle wirtuozostwo i świetny repertuar, solo i w duecie.

Jakieś zaskoczenia?

– Koncertem, który nas zaskoczył, pozytywnie oczywiście, był duet Bogusław Grabowski i Agnieszka Tomaszewska. Pierwotnie prof. Grabowski miał wystąpić ze znanym saksofonistą jazzowym z Gdańska, Maciejem Sikałą. Niestety, z powodu problemów ze zdrowiem nie mógł przyjechać do Koszalina. Boję się, gdy mamy na chórze, zwłaszcza w koszalińskiej katedrze, dwóch muzyków. Koncentracja słuchaczy wtedy nieco słabnie, my też trochę „słuchamy oczami”, mówiąc kolokwialnie. Znałem Agnieszkę Tomaszewską, występowałem z nią. To artystka, która nie ma zbyt silnego głosu, świetnie brzmi raczej w kameralnych przestrzeniach, ale gdy zaśpiewała kompozycję maryjną napisaną przez Bogusława Grabowskiego, w akustyce katedry jej głos stał się eteryczny, piękny, delikatny.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o koncercie, w którym sam wystąpiłem. Może nieładnie się chwalić, ale to dlatego, że grałem z prof. Romanem Gryniem, trębaczem. Znamy się od lat i często razem wступujemy. W tym koncercie grał również zespół dęty blaszany Summer Brass. Zaprezentowaliśmy dużą część naszej pyty, którą nagraliśmy w 2019 roku na Wolinie, na organach, które sam zaprojektowałem. W programie albumu znalazło się pięć utworów specjalnie napisanych dla nas. Jednym z nich była kompozycja *Morira* Marka Czerniewicza, twórcy młodego pokolenia, który już napisał dla nas kilka utworów, a ten oparty jest na ludowej piosence z folkloru podlaskiego. Marek Czerniewicz napisał niezwykle trudny utwór, ale był na koncercie i miał łzy w oczach, więc chyba się udało. Niestety, na płytę wciąż czekamy. W związku z pandemią i innymi komplikacjami jej wydanie zostało odłożone na inny czas.

Jak się sprawdzają organy koszalińskie, które zostały wyremontowane, a nad którymi pan pracował?

– Po remoncie i naprawach dodatkowych grają dobrze, jesteśmy z nich zadowoleni. Cieszy przede wszystkim stół gry, który jest wyposażony w komputer i łatwiej realizuje się zmiany barwy dźwięków – odbywa się to teraz przy pomocy pamięci elektronicznej. Kiedyś przy dużych utworach organowych potrzeba było nawet dwóch registratorów, teraz zmienia się barwę naciśnięciem jednego guzika. Registrator w dalszym ciągu jest potrzebny, ale jego praca jest bardzo ułatwiona.



Dobre wibracje nie odpuszczają

8. Good Vibe Festival; sierpień/wrzesień 2020

Rok temu byłem w Trójmieście na festiwalu Solidarity of Arts, którego ówczesnym przewodnim tematem była #odwaga. Miała ona polegać na doborze artystów kontrowersyjnych, łączących różne dziedziny sztuki i wymykających się szufladkom. W 2020 roku #odwaga należałoby przypisać wszystkim organizatorom, którzy nie opuścili gardy i mimo przeciwności losu, pchali dalej swój wózek, choć był wypełniony zaledwie do połowy (albo i gorzej) i przyszło go toczyć nie w profesjonalnych salach koncertowych, ale pod gołym niebem. Organizowanie koncertów w pandemicznym 2020 to sztuka dla sztuki, maraton logistyczny i wojna na otwartym polu z najtrudniejszym przeciwnikiem. Good Vibe Festival stoczył cztery bitwy.

Bitwa 1: Tropical Soldiers in Paradise (22 sierpnia)

Kampus Politechniki Koszalińskiej otworzył się na kulturę. Przestrzeń między wydziałami i rektoratem od zawsze prosiła się o artystyczny event. Dzięki przychylności rektor PK, prof. Danuty Zawadzkiej i projektowi *Politechnika wspiera kulturę*, muzyka tropikalnych żołnierzy pięknie rezonowała między uczelnianymi budynkami.

Atmosfera początkowo była daleka od typowo festiwalowej. Cytując klasyka, było to „pierwsze wyjście z mroku”. W powietrzu wyczuwalny był dystans i wcale nie chodzi o ten społeczny – w oczach widzów widziałem radość, ale i pewną obawę, czy sytuacja w kraju i na świecie legitymuje do beztrudnej zabawy. Napięcie złagodził

zespół, który rozbroił uroczą konferansjerką, zagrał pierwsze takt i poczułem, jak przyjemne uderzenie radości rozlewa mi się po ciele. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo za letnim graniem sam się stęskniłem. Radość objęła nie tylko nas, publiczność, ale sam zespół: – Mieliliśmy obawy, czy przez pandemię w ogóle do koncertu dojdzie, ale organizatorzy zrobili kozacką robotę – mówią Tropical Soldiers in Paradise, łączący oldschoolowy hip hop z jazzem, dubem, calypso i latynoafrykańską rytmiką. – Potężna scena i soundsystem, a przed nami publiczność na leżaczkach totalnie wpasowują się w klimat muzy, którą gramy.

Bitwa 2: Hubert Tas (29 sierpnia)

Ten człowiek jest już chyba na stałe wpisany w ideę i line-up festiwalu Good Vibe. Tym razem zawitał do Koszalina z niezwykłym projektem skupionym wokół tzw. J-Groove. Z czym to zjeść? Ano z kuchnią dalekowschodnią. Muzyk zafascynowany japońskim jazz/fusion/soul/funkiem złożył set koncertowy oparty wyłącznie na winylach. W tę podróż pasażerowie wyruszyli z placu Polonii, czyli sprzed siedziby Koszalińskiej Biblioteki Publicznej. – Materiał przygotowałem na kilka godzin, bardzo zależało mi na tym, żeby przybliżyć słuchaczom japońskie brzmienia w pełnej krasie – przyznaje Hubert. Na pytanie, co sprawia, że nie pierwszy, nie drugi, a nawet nie trzeci raz zdecydował się wrócić do Koszalina, odpowiada: – Zdecydowanie ludzie. W Koszalinie bywałem gdy funkcjonowała jeszcze Plastelina, zawsze czułem niezwykłą otwartość ze strony odbiorców. Ten rodzinny klimat utrzymuje się do dziś. Ekipa Good Vibe’a wykazuje się dużą odwagą, bo nie proponują oczywistych i najbardziej popularnych nazw i nazwisk. Zapraszają na przykład takiego Huberta Tasa, którego niewiele osób może kojarzyć. Taki kredyt zaufania ze strony organizatorów to dla mnie wielki zaszczyt, ale i dodatkowy, mocny kopniak do jeszcze cięższej pracy.

Puenta wyczerpana, kłaniamy się i jedziemy dalej.



Tropical Soldiers



Fot. Materiały prasowe Politechniki (2)



Hubert Tas



Hatti Vatti



Immortal Onion

Fot. Izabela Rogowska

Bitwa 3: Immortal Onion (5 września)

Spoko koncert obok Spoko Miejsca. Parking dawnego Kawalka Podłogi posłużył za miejsce do rozstawienia sceny, a widok z niej mógł przyprawiać o dreszcz: parasole i leżaki między drzewami, na których leniwie świeciły porozwieszane lampki. Bajkowo. Nie podejrzewałem tej przestrzeni o takie walory. Ale o to też chodziło w tegorocznej edycji GVF – żeby odkrywać potencjał kosza-lińskich miejscówek. – Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że mogliśmy zostać częścią tegorocznej edycji festiwalu – przyznaje Immortal Onion, specjalizujący się w łączeniu często bardzo odmiennych gatunków, takich jak jazz, minimal, fusion czy nawet progresywny

metal. – Wielkie brawa dla wszystkich zaangażowanych w organizację wydarzenia. Zostaliśmy bardzo ciepło ugośczeni, a koszalińska publiczność pokazała klasę.

Zabawny moment: podczas koncertu, w budynku obok odbywał się kurs tańca, a tańczącym przygrywał na żywo saksofonista. I w tych cichych koncertowych momentach było go wśród publiczności słyszeć. Podchwycił to zespół, który kilka improwizacyjnych melodii oparł o bieżącą linię saksofonu. Saksofonista chyba się zorientował, bo popędził do okna pomachać wszystkim radośnie. Koniec koncertu wcale nie oznaczał końca imprezy. Z okazji 10-lecia wytwórni U Know Me Records z dj setem wystąpił ojciec założyciel –



Groh, a po nim władanie dźwiękiem przejął niezawodny jak zawsze, nasz koszaliński Das Komplex.

Bitwa 4: Hatti Vatti (12 września)

Wśród niektórych środowisk temat mocno kontrowersyjny: muzyka elektroniczna w katedrze? Tak się nie godzi! Okazuje się, że więcej luzu od niektórych wiernych miał proboszcz z biskupem, którzy dali zielone światło na to, by Hatti Vatti wbił do świątyni z ambientowym setem. Gospodarz przybytku, ks. proboszcz Henryk Romanik, w swoim krótkim przywitaniu przypomniał, że to nie pierwszy raz, gdy koszalińska katedra otwiera się na świeckie

dźwięki, gdyż kilkadziesiąt lat temu wspaniały koncert w tych murach zagrał Józef Skrzek z legendarnego SBB.

Co zaprezentował Hatti Vatti? Bynajmniej nie roztańczoną parą. Repertuar dostosowany został do miejsca, złożył katedrze niejako dźwiękowy hołd. Kompozycje były mocno awangardowe i około ambientowe. – To była bardzo miła okoliczność: pierwszy koncert po ponad półrocznej przerwie – podkreślił muzyk. – W dodatku zagrany z premierowym materiałem, w wyjątkowym miejscu. Czuć było wyjątkowość wydarzenia, miejsca. Dla mnie wydarzenie 2020 roku i jeden z ciekawszych koncertów w mojej karierze.

Cztery wyjątkowe miejsca, cztery fantastyczne koncerty, reanimacja kultury w mieście, powrót do wytęsknionej normalności. Ale festiwal to nie tylko koncerty. To także niezawodny Hirek Wrona, dobry duch i patron imprezy, obecny na koncercie otwarcia, oraz *Alternatywny spacer po mieście*, którego przewodnikiem został Piotr Polechoński, i dzięki któremu można było spojrzeć na Koszalin z nieco innej strony. Przede wszystkim to ludzie i instytucje, bez których impreza w tym arcytrudnym roku po prostu nie mogłaby się odbyć. – Udało się zorganizować festiwal w strasznych czasach dla kultury – mówią organizatorzy: Mateusz Prus i Fundacja Nauka dla Środowiska. – Dołożyliśmy wszelkich starań, aby najpierw wymyślić formułę w tym przedziwnym czasie, a potem ją z powodzeniem zrealizować. W dobie tęsknoty za wydarzeniami kulturalnymi chcieliśmy przede wszystkim zaoferować słuchaczom wolny wstęp.

Zwróćcie uwagę na ostatnie zdanie, bo to niezwykle istotny element tegorocznego festiwalu. Wstęp na wszystkie koncerty był darmowy, a limit uczestników wynosił za każdym razem 150 osób. Ekipa Good Vibe'a kontynuuje: – Już myślimy o edycji 2021. Jak będzie? Sami jesteśmy ciekawi. Może znów będziemy musieli przemodelować nasz pomysł. Na pewno trwamy i trwać będziemy, jako niezależni pasjonaci miasta i kultury w Koszalinie. Dziękujemy publiczności, dzięki której mamy motywację, aby dalej to robić, zupełnie non profit. Miłe słowa są najlepszą zapłatą.

Tyle od twórców całego zamieszania: konkretnie i skromnie.

Ostatnio dowiedziałem się, że legendarne słowa Churchilla o kulturze to – podobno – fejk. Premier Wielkiej Brytanii na sugestię ograniczenia wydatków poprzez cięcia w kulturze, miał powiedzieć: „To o co jest ta cała wojna, jeśli nie o kulturę?”. Ale zgodzicie się, że sentencja sama w sobie mówi prawdę? Czym byłaby nasza pandemiczna rzeczywistość bez sztuki? Czym byłby Koszalin bez dobrych wibracji?

Muzyka z Koszalina: rap, bity i jazz

Rok 2020 nie był najlepszym czasem na wydawanie premier fonograficznych. Nowy materiał powinien być prezentowany przede wszystkim na scenie, a jak wiadomo, koncertowanie było mocno ograniczone. Mimo tego, kilka nowości na koszańskiej scenie muzycznej się ukazało. Oto ich przegląd.

Mariusz Rodziewicz to dziennikarz i miłośnik muzyki. Do tej pory wspierał artystów słowem pisanym, organizował giełdy muzyczne, a później wydawał składanki z koszańskimi utworami. W 2018 roku zdecydował się jednak na założenie własnego muzycznego labelu czyli małej, niezależnej wytwórni, której rozkwit przypadł na rok ubiegły. GraMuzyka Nagrania to przykład prawdziwego DIY (Do It Yourself). Tworzenie grafik, produkcja płyt, promocja – w zasadzie wszystko dźwiga na barkach jedna osoba.

Dwie płyty pod skrzydłami wytwórni wydał w 2020 roku Kuba Staniak jako Pan Kubuś (artyście poświęciliśmy osobny artykuł). Trzecią produkcją GraMuzyka Nagrania był krążek Przemka Olszewskiego *Solo*. Olszewski to weteran koszańskiej sceny muzycznej. Brał udział w wielu projektach, jednak dzięki Mariuszowi Rodziewiczowi mógł wydać swój materiał na płycie cd, a także na winylu! Album to coś dla fanów brzmienia gitary akustycznej. Znajdziemy tu dziewięć autorskich kompozycji oraz cover Boba Marleya *Redemption Song*. W jednym z utworów gościnnie udziela się Remigiusz Błaszczków, z którym Przemek Olszewski od lat współpracuje. Klimat płyty to jazz, flamenco, a nawet folk. Nie może to dziwić, gdyż Olszewski przed laty zakładał zespół Rzepczyno Folk Band. Po dwudziestu latach grania kariera Przemka weszła w kolejną fazę.

Rapowe podwórko

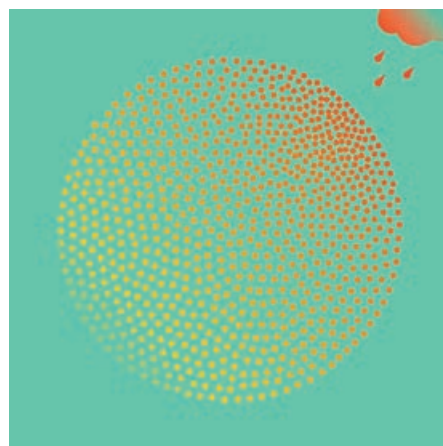
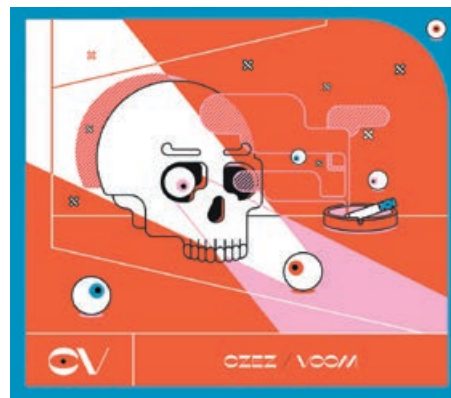
Koszalin od lat mocno stoi hip-hopem. W 2020 roku nastąpiło zmniejszenie aktywności wydawniczej, ale choć „wyszło” mało,

to porządne propozycje, w tym chyba najgłośniejsza premiera ostatnich lat z naszego miasta, o zasięgu ogólnopolskim. Mowa o albumie *Tokio Hotel* Szymi Szymasa. Na łamach „Almanachu Kultury Koszańskiej 2019” przewidywaliśmy szybki rozwój młodego rapera. Dzisiaj nikt nie ma wątpliwości, że na polskiej scenie to postać znacząca. Dość powiedzieć, że wspomnianą płytę wydała jedna z najmocniejszych marek w tzw. rap biznesie, czyli należąca do Quebonafide oficyna QueQuality. Album zadebiutował na sklepowych półkach pod koniec czerwca i jako nowość znalazł się na drugim (!) miejscu w oficjalnym, ogólnopolskim rankingu sprzedaży albumów muzycznych OLIS. To niezwykle sukces artysty, mieszkającego na co dzień w Koszalinie. Poza standardową edycją sklepową do sprzedaży tylko internetowej trafiła edycja limitowana. W jej skład wchodził mixtape *Hotel Indahouse*, plakat z autografem, naklejki, a także nocna opaska na oczy, co miało nawiązywać do tytułu albumu. W przypadku Szymi Szymasa mamy do czynienia z artystą niezwykle młodym, więc wydaje się, że kolejne sukcesy wydawnicze przed nim

Reprezentantami starszego pokolenia hip-hopowców są Voom i Czez, którzy w marcu wydali album *CV*. Starsi zawodnicy wciąż mają w sobie dużo ikry i pokazują, jak tworzyć rap na wysokim poziomie. Osobiste teksty, nieco leniwe flow i bardzo dobre, klimatyczne bity powodują, że to jedna z najciekawszych artystycznie płyt z koszańskiego podwórka w ostatnich latach. Album ukazał się nakładem labelu GiG, który jest prowadzony przez samego Vooma na co dzień mieszkającego w Wielkiej Brytanii. Płytą zainteresowanych było dzięki temu szerokie grono odbiorców.

Elektroniczne bity

To, że koszańska muzyka jest znana i doceniana poza granicami miasta, nie jest niczym nowym. Kolejnym tego przykładem jest *Das Komplex*, czyli Marcin Łukaszewicz. O nim też pisaliśmy w poprzednich wydaniach „Almanachu”. W Koszalinie artysta występuje rzad-



ko, ale świat związany z muzyką house nam go zazdrości. Rok 2020 to kolejne wydawnictwa Das Komplexa, którego muzyka ukazuje się w wersjach fizycznych jedynie na winylu. Pierwszy był singiel *Reverse Hallucination* w nowym labelu King Of Kong. Na czarnym krążku znajdziemy cztery utwory utrzymane w elektronicznym, deep housowym, charakterystycznym dla Das Komplexa, klimacie. Kink of Kong to brytyjski label, ale także polskie wydawały w ubiegłym roku muzykę Łukaszewicza. Nakładem trójmiejskiej Polena Recordings ukazała się epka *Weż mnie ze sobą*. W tym przypadku cztery klimatyczne, wakacyjne utwory, wyszły jedynie w formie cyfrowej. Jedynie w cyfrze ukazała się też – nakładem wytwórni Step – epka *Miął*. Znajdziemy na niej pięć utworów, muzycznie pomiędzy house a disco. Das Komplex ponadto pojawił się na winylowej płycie wyprodukowanej przez austriacki label Luv Shack Records. Dwa jego utwory można znaleźć na stronie A (z dziennikarskiego obowiązku dodam, że na stronie B tego wydawnictwa znajdują się dwie kompozycje brazylijskiego DJ-a i producenta Rotciva).

Wartym odnotowania jest fakt, że utwór Das Komplexa *Narkoleptyczni trochę* znalazł się na tzw. mixtape DJ'A Harvey'a, co jest z pewnością nobilitacją i wyróżnieniem dla koszalińskiego artysty – DJ Harvey to rezydent klubów z Ibizy i jedna z najbardziej szanowanych legend muzyki house-disco.

Jazzowa siła

Z Koszalina wywodzi się wielu uznanych jazzmanów, którzy nie próżnowali w ubiegłym roku. Marcin Wasilewski wraz ze swoim trio wydał nakładem niemieckiej ECM Records płytę *Arctic Riff*. Na albumie udziela się amerykański saksofonista Joe Lovano. Wasilewski wraz ze swoimi kolegami to już od dawna marka światowa. Obecni są na największych festiwalach jazzowych wszystkich kontynentów. Płyta zdobyła świetne recenzje na łamach wielu światowych, jazzowych mediów.

Jeżeli o Wasilewskim można mówić jako o reprezentancie dojrzałego pokolenia jazzowego, to młodą falą zdecydowanie jest zespół Kwaśny Deszcz. Trio mieszka i tworzy w Poznaniu, ale dwóch muzyków pochodzi z Koszalina. To perkusista Stanisław Aleksandrowicz i basista Piotr Cienkowski. Skład uzupełnia saksofonista Kacper Krupa. W 2020 roku ukazała się debiutancka płyta zespołu zatytułowana tak samo jak nazwa grupy. Na krążku można znaleźć wiele elementów improwizacji i oryginalnych rozwiązań. Z pewnością to świeży powiew na polskiej, młodej scenie jazzowej. Kwaśny Deszcz odniósł duży sukces podczas jednego z najważniejszych konkursów jazzowych w Polsce, czyli Jazz Juniors. III nagroda została wręczona podczas ostatniej edycji przed pandemią w grudniu 2019 roku. W nagrodę muzycy nagrali koncert w studio TVP, który w ubiegłym roku był emitowany w całości w TVP Kultura. Piotr Cienkowski i Stanisław Aleksandrowicz współtworzą także większy jazzowy kolektyw o nazwie Anomalia. To siedmioosobowy skład związany z poznańskim środowiskiem muzycznym. W ubiegłym roku ukazała się ich bardzo oryginalna i eksperymentalna, debiutancka płyta. Na jej promowanie koncertami, przyjdzie czas zapewne po pandemii.

Gwiazdy

Zdecydowanie najpopularniejszym artystą na świecie pochodzącym z Koszalina jest Sikdope, czyli Dawid Kabaciński reprezentujący klubową scenę spod znaku electronic, trap i drum'n'bass. Dowodem na to są liczby, które „wykręca” artysta. W samym serwisie Spotify w roku 2020 jego utwory były odtworzone 22 miliony razy. Artysta odwiedza największe światowe festiwale. W 2020 roku zostały one odwołane, więc miał więcej czasu na domową produkcję nowych hitów.

Ze świata popu nowy album zaprezentowała Kasia Cerekwicka. Płyta *Pod skórą* ukazała się we wrześniu nakładem wydawnictwa Agora i przynosi jedenaście kompozycji utrzymanych w znanej popowej stylistyce.

Apetyt na muzykę

Gdyby Gala Koszalińskiej Kultury w 2020 roku nie została odwołana z powodu pandemii, swoją kolejną statuetkę – tym razem przyznaną mu jako Artyście Roku 2019 – odebrałby Mateusz Kowalski. 25-letni gitarzysta niemal od początku muzycznej edukacji wyróżniany za swą grę, a z czasem obsypywany coraz poważniejszymi splendorami. Mówi, że czuje się szczęśliwy, spełniony, gotów na nowe wyzwania i... dumny z bycia absolwentem Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie.

– Głównym powodem, dla którego zainteresowałem się muzyką, były gitarowe umiejętności mojego starszego brata i kuzyna. Jeden grał na gitarze akustycznej, drugi na elektrycznej. Bardzo chciałem być taki jak oni i też różne rockowe kawałki na gitarach wygrywać – tak Mateusz Kowalski wspomina czas sprzed 2002 roku, kiedy zdał egzamin wstępny do koszalińskiego „muzyka”. Nie przypomina sobie, by potem narzekał na ból palców, jak to się zwykle zdarza adeptom gry na gitarze. Może trochę... W każdym razie nie przeszkadzał mu on na tyle, by obok obowiązkowego programu nie opanowywać samodzielnie rozrywkowego repertuaru. – Praca przebiegała płynnie i nie było sytuacji, żebym grał repertuar, którym nie byłbym zainteresowany, albo który w jakiś sposób by mnie męczył – zapewnia Mateusz.

Trafił do klasy gitary, prowadzonej przez Dariusza Schmidta. Został w niej do matury – dwanaście lat. Uczył się bardzo dobrze, był uzdolnionym humanistą. Po szkole między ćwiczeniami znajdował czas na rysowanie i malowanie. Pierwszy kryzys nastąpił pod koniec podstawówki. Mateusz zapragnął nagle pójść do „normalnego” gimnazjum, rezygnując całkowicie z nauki muzyki. Ostatecznie jednak



Fot. Izabela Rogowska

został w szkole muzycznej. Nie bez udziału nauczyciela. – To właśnie pan Dariusz Schmidt postawił na moją wolność – wspomina. – Na początku gimnazjum pozwolił mi wybrać utwory. Pamiętam, że to były *Schody do nieba* Led Zeppelin i jeszcze jakiś rozrywkowy utwór... Chwilowy brak ingerencji nauczyciela sprawił, że zacząłem

bardzo namiętnie ćwiczyć – śmieje się Mateusz. Ocenia, że właśnie na przełomie pierwszej i drugiej klasy gimnazjum coś w nim „zaskoczyło”. Najmocniej rozwinął wówczas własną technikę gry. – Dzięki temu byłem w stanie lepiej grać utwory muzyki poważnej, przez co bardziej się tym światem zainteresowałem, a z czasem mocno w nim zagłębiłem. I ten świat okazał się najlepszym wyborem.

W gimnazjum zaczęły się stypendia i inne laury. Mając niespełna czternaście lat, Mateusz po raz pierwszy zagrał w dorocznym koncercie najzdolniejszych uczniów szkoły muzycznej z orkiestrą symfoniczną Filharmonii Koszalińskiej. Na jej estradę powracał wielokrotnie do dyplomu (z wyróżnieniem!) i matury w 2014 roku. Również po to, by odbierać nagrody pieniężne i statuetki dla wybitnie obiecującego młodego artysty. Mateusz do dziś czuje za nie głęboką wdzięczność. Oczywiście, jak zastrzega, pieniądze nie mogą być dla artysty celem samym w sobie, ale jeśli ich brakuje, choćby na wysokiej klasy instrument, trudno realizować się twórczo. Dziś Mateusz może sobie pozwolić na dzieła słynnych mistrzów lutnictwa, takich jak Masaki Sakurai, Karl-Heinz Roemmich i Hanson Yao.

Po stypendiach prezydenta Koszalina przyszedł czas na tego typu pomoc z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu *Młoda Polska*. – W roku 2018 dostałem nagrodę, dzięki której mogłem pojechać na konkurs do Austrii – mówi Mateusz. Udało mi się go wygrać (pierwsza nagroda i nagroda publiczności), dzięki czemu rok później zostałem zakwalifikowany do dużego konkursu w Londynie, który też udało mi się wygrać, i który otworzył mi drzwi na wielkie sceny.

Wcześniej przed Mateuszem otworzyły się drzwi Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, w klasie gitary Ryszarda Bałauszki. – Wbrew pozorom nie poczułem, by na studiach próg trudności szczególnie się podwyższył – wspomina Mateusz. – Kształcenie w naszej koszalińskiej szkole jest na tak wysokim poziomie, że na pierwszym roku pewne rzeczy wydawały się wprost za łatwe. Bardzo sobie cenię, że szkoła tak dobrze mnie przygotowała: z instrumentu, z kształcenia słuchu czy historii muzyki. W 2020 roku miałem szczęście i zaszczyt odebrać od rektora mojej uczelni medal „Magna cum Laude”. Rok wcześniej ten medal otrzymała skrzypaczka Roksana Kwaśnikowska, również absolwentka koszalińskiej szkoły muzycznej, więc o czymś to świadczy. Niedawno zdarzyła mi się zabawna sytuacja w Filharmonii Narodowej w Warszawie, w której grywałem i do dziś grywam w cyklach koncertów edukacyjnych. Każdego roku wybierani są na nie muzycy, grający na wszelkich



możliwych instrumentach. W 2020 roku potrzebnych było trzech gitarzystów i co się okazało po przesłuchaniach? Wszyscy wybrani byli po naszej koszalińskiej szkole muzycznej!

Zaraz po ukończeniu studiów, zwieńczonych naturalnie dyplomem z wyróżnieniem, macierzysta uczelnia wyraziła chęć zatrudnienia Mateusza Kowalskiego na stanowisku wykładowcy. Wcześniej Mateusz zdążył się sprawdzić jako rzutki pedagog, prowadząc lekcje mistrzowskie na festiwalach w węgierskim Szeged, austriackim Rust czy chińskim Qingdao. – Myślę, że decyzja była podyk-

towana konkursami, które wygrałem, i to jest świetne – przyznaje skromnie Mateusz. – Część zajęć prowadzę teraz z osobami, z którymi jeszcze dwa lata temu grałem na przykład w zespołach, więc jest to dość komiczna sytuacja. Nie ukrywam: na początku było to dla mnie trochę krępujące. Na szczęście wszyscy studenci okazali się na tyle w porządku i profesjonalni, że do tej pory nie miałem żadnych nieprzyjemnych sytuacji.

We wrześniu 2020 roku marszałek Województwa Zachodniopomorskiego ogłosił listę laureatów nagrody Pro Arte, przyznawanej za zasługi dla kultury Pomorza Zachodniego. Obok kompozytora Andrzeja Cwojdziańskiego, fotografa Marka Czasnojcja i plakacisty Lexa Drewińskiego znalazł się na niej gitarzysta Mateusz Kowalski „za wybitne osiągnięcia w skali międzynarodowej, rozsławiające Polskę i Pomorze Zachodnie na całym świecie” jako m.in. zwycięzca wspomnianego już konkursu 2nd EuroStrings International Competition w Londynie w 2019 roku. Częścią nagrody w tym konkursie była trasa koncertowa po Europie, Azji i Stanach Zjednoczonych. Rok wcześniej Mateusz Kowalski zagrał w wiedeńskim Musikverein i Grand Theatre w Szanghaju. W roku 2019 z Orkiestrą Filharmonii Narodowej w Warszawie wykonał słynne *Concierto de Aranjuez*. Grał recitale gitarowe w Nowym Jorku, Los Angeles, Paryżu, Budapeszcie, Londynie... Do tego doszły kursy i lekcje mistrzowskie m.in. u Ségia Assada, Oscara Ghiglii, Zorana Dukića, Alvara Pierriego, Łukasza Kuropaczewskiego i Paula O'Dette. „Classical Guitar Magazine” określił grę Mateusza Kowalskiego jako zapierającą dech w piersiach, jego samego nazywając „muzykiem spektakularnym”.

Debiutancka solowa płyta Mateusza pod bezpretensjonalnym tytułem *Mateusz Kowalski Classical Guitarist* ukazała się na rynku we wrześniu 2019 roku. Wydana przez wytwórnię CD Accord, a dystrybuowana przez NAXOS, zawierała kompozycje Jana Sebastiana Bacha, Mauro Giulianiego, Francisco Tárregi, Agustina Barrios, Astora Piazzolli, Manuela Marii Ponce’a oraz premierowo nowe opracowania utworów Sergia Assada i Franciszka Schuberta. Pandemia zastała Mateusza podczas pracy nad drugim albumem, planowanym do wydania na wrzesień 2020 roku. Zamówił ją u niego Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. – Dobór repertuaru naprawdę niespotykany – zapewnia Mateusz. – Przede wszystkim Chopinowskie Mazurki op. 6 i 7. Pierwsza w historii ich transkrypcja była właśnie na gitarę, a dokonał jej Jan Nepomucen Bobrowicz. Przypisywane Fryderykowi Chopinowi słowa „Nie ma

nic piękniejszego od gitary [...], chyba że dwie” są najprawdopodobniej najsłynniejszym cytatem o gitarze, a ja zatytułowałem nim jeden z moich recitali. Obok Mazurków Fryderyka Chopina na płycie znajdują się utwory czterech piszących na gitarę wybitnych polskich wirtuozów i kompozytorów czasów Wielkiej Emigracji. Były to naprawdę wybitne osobistości, znane w całej Europie. Wirtuozzi niespotykanej klasy i myślę, że niesłusznie zapomniani. Mam nadzieję, że ta płyta troszeczkę rozpropaguje ich na arenie międzynarodowej – dodaje Mateusz tajemniczo.

Strona internetowa Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie opisuje Mateusza Kowalskiego jako muzyka, który „za cel stawia sobie budowanie ciekawych, przekonujących i niezwykle zaskakujących kreacji muzycznych, będących dla słuchaczy interesującą, wywierającą na nich wpływ opowieścią”.

Ostatnio jego ulubionym utworem koncertowym i konkursowym jest *Invierno Porteño* Astora Piazzolli. – Dla mnie ta melodia jest pieśnią o odchodzeniu; o stracie – mówi. – I za każdym razem, gdy jest powtarzana, jest to inny sposób radzenia sobie z tą stratą. Czyli na przykład z rezygnacją, z wściekłością... lub z nadzieją. Z kolei, gdyby ktoś mnie spytał, jak brzmi tęsknota, odpowiedziałbym, że tak, jak mollowa melodia *Mazurka in C* Francisco Tárregi.

Nie ma epoki w muzycznej literaturze, którą Mateusz by omijał. Jego obecny repertuar obejmuje utwory gitarowe i transkrypcje od renesansu po współczesność. Interpretuje je zawsze zgodnie z zasadami wykonawczymi czasów, w jakich zostały skomponowane. Teraz najchętniej zgłębia obszary muzyki gitarowej XIX wieku. – Ale oczywiście nie tylko! Nie ukrywam, że mam w zanadrzu plany, aby nagrać płytę z muzyką filmową w aranżacji na gitarę i skrzypce oraz na gitarę solo – wyjawia Mateusz. – A do tego projekty, związane z wykonawstwem muzyki dawnej, czyli realizacja basso continuo. Mam bardzo dużo muzycznych pomysłów. Na razie jednak głównie: Chopin, Bobrowicz, Horecki, Szczepanowski, Sokołowski. Specjalnie te cztery ostatnie nazwiska, bo chciałbym, aby były bardziej znane.

Od początku muzycznej drogi Mateusz czuł silne wsparcie swoich rodziców. – Jestem bardzo wdzięczny im obojgu, a także starszemu bratu, a teraz jeszcze mojej żonie, że cały czas przy mnie są i cieszą się moimi sukcesami. To między innymi dzięki moim bliskim wciąż mam wielki apetyt na muzykę – mówi. – Jest tyle nieznanych utworów, kompozycji, których jeszcze nie zagrałem, tyle koncertów gitarowych, które chciałbym wykonać...

Nasz profesor, Andrzej Cwojdzinski

Koszaliński kompozytor o najszerzej sławie i największym dorobku. Dyrygent, pedagog i organizator życia społecznego. Inicjator i duchowy ojciec wydarzeń muzycznych, które do dziś z powodzeniem rozgrywają się na Pomorzu Środkowym. Laureat nagrody Pro Arte za 2019 rok, przyznawanej zasłużonym zachodniopomorskim artystom. Od 2 grudnia 2020 roku Honorowy Obywatel Koszalina.

W trudnym i ubogim w imprezy artystyczne roku 2020 Filharmonia Koszalińska dwukrotnie ufetowała profesora koncertami. Na początku roku bezpośrednio, z okazji 92. urodzin. W ostatnim koncercie, stanowiącym element koszalińskich obchodów 75. rocznicy utworzenia polskiej administracji na Pomorzu Zachodnim – symbolicznie.

Urodzony 25 stycznia 1928 roku w Jaworznie koło Chrzanowa, Andrzej Cwojdzinski w 1947 roku podjął studia na wydziale dyrygentury pod kierunkiem Artura Malawskiego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. W 1953 roku uzyskał dyplom z dyrygentury, a w 1955 roku z kompozycji. W 1948 roku rozpoczął pracę jako chórzysta, a następnie asystent dyrygenta i dyrygent chóru Filharmonii Krakowskiej. W latach 1955-1957 był asystentem dyrygenta w Filharmonii Łódzkiej, a następnie objął funkcje dyrektora, dyrygenta i kierownika artystycznego Filharmonii Lubelskiej. Pełnił je do 1963 roku. W roku 1964 wraz z żoną, pianistką i pedagogiem, Gabriellą Cwojdzinską, przeniósł się do Koszalina.

W latach 1964-1979 Andrzej Cwojdzinski pełnił funkcje dyrektora i kierownika artystycznego Filharmonii Koszalińskiej. W 1967 roku zainicjował i podjął rolę kierownika artystycznego Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku (sprawował ją nieprzerwanie aż do 1999 roku) oraz Kołobrzeskich Wieczorów Wiolonczelowych



Fot. Materiały prasowe FK (2)

(w latach 1972-1980). Był wielokrotnie kierownikiem artystycznym Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych i Międzynarodowego Festiwalu Organowego w Koszalinie.

Jako syn znanego dramatopisarza i reżysera Antoniego Cwojdzńskiego, Andrzej Cwojdzński od wczesnej młodości był blisko związany ze środowiskiem teatralnym. W latach 1951-1953, sam będąc jeszcze studentem, wykładał w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. Pracę pedagogiczną kontynuował w latach 1960-1962 na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1962 roku uzyskał tytuł docenta, a w latach 1991-1999 piastował funkcję profesora w Akademii Muzycznej w Gdańsku i w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku.

Z pomysłem ufetowania nieokragłej rocznicy urodzin profesora Andrzeja Cwojdzńskiego wystąpiła Lucyna Górską, nauczycielka w klasie śpiewu Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz i była studentka profesora. Choć stało się to w wirze koncertów karnawałowych w Filharmonii Koszalińskiej i klasyfikacji półrocznej w szkole muzycznej, szybko a spontanicznie przyłączyło się do niej spore grono muzyków związanych zarówno ze szkołą, jak i z filharmonią. Swą gotowością zagrania profesorowi uroczystego urodzinowego koncertu nauczyciele zarazili uczniów. Program imprezy dosłownie w okamgnieniu stał się bogaty i urozmaicony. A nie była to bynajmniej pierwsza tego rodzaju impreza. – W przeszłości takie koncerty dla pana profesora były organizowane wiele razy – przypomina dyrektor Filharmonii Koszalińskiej, Robert Wasilewski. – Myślę, że każde urodziny są dobrym pretekstem do tego, żeby cieszyć się takim świętem. Poza wszystkim, jest to znakomity powód, żeby przypomnieć i promować twórczość kompozytorską Andrzeja Cwojdzńskiego, w zasadzie chyba jedyne go kompozytora koszalińskiego obecnie. Dlatego repertuar koncertu został ułożony wyłącznie z jego kompozycji. Naturalnym jest również, że konferansjerem takiego koncertu nie może być nikt inny niż Andrzej Zborowski, wyśmienity znawca muzyki, a zarazem przyjaciel profesora.

Urodzinowy koncert otworzyły dzieci z najmłodszych klas szkół muzycznych. Utwory fortepianowe pisane przez Andrzeja Cwojdzńskiego z myślą o początkujących pianistach zagrali Paweł Bielak z klasy Walerii Bortnowskiej oraz dwaj uczniowie Pawła Bortnowskiego: Borys Palonek, również z koszalińskiej szkoły i Kamil Marwicz ze szkoły muzycznej w Szczecinku. – Niewiele jest utworów w muzyce współczesnej, które byłyby tak dostępne i zrozumiałe dla małych wykonawców i odbiorców, jak miniatury dla dzieci pana

Andrzeja Cwojdzńskiego – ocenia z perspektywy swego wieloletniego pedagogicznego doświadczenia Paweł Bortnowski. – Są przy tym niezwykle ciekawe i emocjonalnie bardzo bliskie dzieciom. Utworów na fortepian dla początkujących jest oczywiście bardzo dużo, ale takich naprawdę dobrych, interesujących dla maluszków zdecydowanie za mało. Tym mocniej cieszy mnie koszalińska tradycja organizowania szkolnego konkursu, obejmującego obowiązkowe wykonanie właśnie miniatur fortepianowych, skomponowanych przez Andrzeja Cwojdzńskiego.

Od delikatnych w wydźwięku miniatur *Był sobie stateczek*, *Marzenie – dla Patrycji* i Preludium pamięci Fryderyka Chopina nastąpiło przejście do skrajnie odmiennych fragmentów *Suity tańców polskich*. Wystąpił w nich kwartet akordeonowy z Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, działający pod kierunkiem Artura Zajkowskiego. – Pan profesor kiedyś się zarzekał, że prze nigdy niczego na akordeon nie napisze, bo to nie jest instrument, według niego, koncertowy – wspomina ze śmiechem Artur Zajkowski. – Kiedy wreszcie dał się zaprosić na naszą próbę, zagraliśmy mu jeden utwór. Pamiętam, że był wtedy w lekkim szoku i obiecał, że jednak coś nam napisze. Napisał nie „coś”, lecz ośmioczęściowy utwór, czyli *Suitę tańców polskich*.

Kolejna trójka uczniów koszalińskiej szkoły muzycznej zaprezentowała się w *Pięknej kolędzie* Andrzeja Cwojdzńskiego. Julia Popławska na skrzypcach, Julia Piętka na wiolonczeli i Borys Szczukutowicz na fortepianie przygotowali ją pod kierunkiem Doroty Kuryło. A po uczniowskich popisach przyszedł czas na nauczycieli...

Inicjatorka koncertu, sopranistka Lucyna Górską, pokazała swój kunszt śpiewaczy w dwóch odsłonach. W obu akompaniowała jej Magdalena Bortnowska, również związana zawodowo z koszalińską szkołą muzyczną. Na jedną odsłonę złożyły się *Bajeczki dziecięce* do wierszy Ewy Szelburg-Zarembiny, na drugą *5 pieśni na sopran z towarzyszeniem fortepianu* op. 39 – prezent od Andrzeja Cwojdzńskiego dla młodziutkiej absolwentki koszalińskiego punktu konsultacyjnego Akademii Muzycznej w Gdańsku (obecnie nieistniejącego). To w nim Lucyna Górską w klasie profesora Andrzeja Cwojdzńskiego kończyła w 1992 roku wydziały wychowania muzycznego i dyrygentury chóralnej. – Pan profesor Cwojdzński zawsze uważał, że mam piękny głos – mówi. – Namawiał mnie, żebym kontynuowała naukę i po raz kolejny zdawała na kolejne studia, oczywiście wokalne. Jako młoda dziewczyna bardzo wierzyłam panu profesorowi, że ma rację. Jednak, zanim to się stało, po pro-



Nadanie tytułów Honorowego Obywatela Miasta Gabrieli i Andrzeja Cwojdziańskim, grudzień 2020

stu poprosiłam, żeby mi zadedykował cykl swoich pieśni. No i, jak widać, zadedykował! Po dwudziestu ośmiu latach mam szczęście wykonać je znowu – mówiła wzruszona wokalistka.

Pomiędzy występami Lucyny Górskiej na estradzie Filharmonii Koszalińskiej zaprezentowały się skrzypaczka Izabella Berberian i pianistka Magdalena Bortnowska. Instrumentalistki regularnie grywają jako duet od przeszło dwudziestu lat. Z radością wzięły na warsztat 12 *miniatur na skrzypce i fortepian* op. 15 Andrzeja Cwojdziańskiego. Kolejny duet, złożony z flecistki Małgorzaty Kobylarz-Wasilewskiej i Bogdana Narlocha, akompaniującego jej na

fortepianie, zagrał cykl uroczych miniatur, zatytułowanych *Fletowe chochliki* op. 16. Profesor Andrzej Cwojdziański, cały czas obecny na estradzie, po każdym występie czule ściskany i obsypywany życzeniami przez wykonawców, na zakończenie niemal utonął w bukietach i gratulacjach, a Andrzej Zborowski odczytał list do jubilata od dyrektorki Państwowej Szkoły Muzycznej w Tomaszowie Lubelskim.

W połowie 2020 roku dyrekcja Filharmonii Koszalińskiej zamówiła u Andrzeja Cwojdziańskiego utwór na instrumenty dęte. Miał się on znaleźć w specjalnym koncercie symfonicznym muzyki polskiej, który razem z tematyczną wystawą, przygotowaną przez Archi-

wum Państwowe w Koszalinie, zorganizowany został dla uczczenia 75. rocznicy utworzenia polskiej administracji na Pomorzu Zachodnim. Odbył się 6 listopada, w ścisłym reżimie epidemicznym, nakazującym wyłączenie z użytkowania 75 procent miejsc na widowni, i tuż przed całkowitym zamknięciem wszystkich sal koncertowych w Polsce. Twórca robił, co mógł, jednak (jak w trakcie zmagania z nowym utworem wyjawiała jego córka Katarzyna) cały czas czuł niedosyt swoich ulubionych instrumentów smyczkowych... Ostatecznie do prapremiery 6 listopada nie doszło, co oczywiście nie oznacza, że nowy utwór Andrzeja Cwojdziańskiego na orkiestrę dętą nie ujrzy światła dziennego w najbliższej przyszłości, jako w pełni dopra-



cowane, gotowe dzieło. Koncert otworzyła za to *Toccata koszalińska*, którą Andrzej Cwojdziański osnuł na motywach pieśni/hymnu *O koszalińską ziemię moją*. – Jest to utwór przede wszystkim bardzo energetyczny, który w mojej ocenie spodoba się każdej publiczności – mówi Jakub Chrenowicz, pierwszy dyrygent Filharmonii Koszalińskiej, prowadzący jej orkiestrę również podczas tego koncertu. – Ciekawym zabiegiem jest też zestawienie go ze wstępem do Mszy Kazimierza Rozbickiego, który z kolei reprezentuje muzykę tonalną, bardzo osobistą, refleksyjną...

Trzecim koszalińskim utworem był Koncert na kontrabas i orkiestrę smyczkową Jacka Piotra Kujawskiego. Do wykonania partii solowych w jego prapremierowym wykonaniu kompozytor, a zarazem kontrabasista w orkiestrze Filharmonii Koszalińskiej, zaprosił swoją ulubioną wykładowczynię z bydgoskiej Akademii Muzycznej, Joannę Krempeć-Kaczor. Ostatnim utworem koncertu, a zarazem ostatnim zagranym w 2020 roku na estradzie Filharmonii Koszalińskiej przed publicznością, była *Muzyka na smyczki, trąbkę i perkusję* Grażyny Bacewicz. Nieoczekiwanym akcentem stała się owacja publiczności w połowie koncertu, spowodowana pojawieniem się profesora Andrzeja Cwojdziańskiego w asyście córki. Ucieszony tą niespodzianką Andrzej Zborowski jął przywoływać naprędce zasługi profesora. Przypomniawszy m.in. sytuację, kiedy to Joanna Jasnowska, mała laureatka ogólnopolskiego konkursu pianistycznego, zorganizowanego przez koszalińską szkołę muzyczną, grała swój (stanowiący główną nagrodę w tym konkursie) recital z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej. Proszona o kolejne bisy ośmiolatka jako trzeci z nich wybrała jedną z miniatur Andrzeja Cwojdziańskiego i wywołała nią największy zachwyt wśród publiczności...

Rok 2020 zakończył się finalizacją starań inicjatywy uchwałodawczej o nadanie Gabrieli i Andrzejowi Cwojdziańskim tytułów Honorowych Obywateli Koszalina. Przez wrzesień i październik trwało zbieranie podpisów mieszkańców we wszystkich koszalińskich parafiach oraz w siedzibach stowarzyszenia Civitas Christiana, Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych i Filharmonii Koszalińskiej. Inicjatywę poparło z całej mocy słupskie środowisko muzyczne. A muzyczna szacowna para w imponującym wieku lat dziewięćdziesięciu trzech (Andrzej Cwojdziański ukończył je w styczniu 2021 roku, Gabriela Cwojdziańska w lutym) doczekała się portretów w koszalińskim ratuszu.

Pozostaje życzyć im obojgu kolejnych lat w otoczeniu życzliwości bliskich i podziwu melomanów.

Arystokrata estrady

Koszaliński konferansjer Andrzej Zborowski od lat w świat muzyki wprowadza coraz to nowe pokolenia. W 2020 roku obchodził 85. rocznicę urodzin i 60-lecie pracy. I już zanosilo się, że jubileuszowy rok upłynie w ciszy...

60 lat pracy zawodowej, blisko 30 tysięcy koncertów, tysiące kilometrów w trasie. Aż tu nagle przyszła pandemia. – Przez cztery miesiące nie zapowiedziałem ani jednego koncertu. Takiej przerwy w swoim zawodzie jeszcze nie miałem – przyznaje Andrzej Zborowski.

Tę postać zna każdy meloman w Koszalinie. Byli i obecni uczniowie szkół w całym regionie pamiętają go jako pana od koncertów umuzykalniających. Charakterystyczny głos, piękna polszczyzna, ogromna wiedza i nienaganne maniery. Przez 46 lat pracy w Koszalinie Andrzej Zborowski stał się „muzyczną marką”.

9 marca 2020 roku w poznańskiej Auli Uniwersyteckiej poprowadził Galę Operową. Na estradzie znakomici soliści teatrów operowych z Warszawy i Łodzi. – Umawialiśmy się na kolejną galę, która miała się odbyć pod koniec marca w Gdańsku – mówi. – Miałem w planach całą trasę przedpołudniowych koncertów dla młodzieży szkolnej i sporo koncertów dla dorosłych: w Koszalinie, Bydgoszczy, Kielcach, koncerty beethovenowskie i koncert operowy *La Traviata* w Słupsku. Nastąpiła jednak całkowita blokada.

Andrzej Zborowski nie potrafi się nudzić: była okazja by poczytać, posłuchać muzyki. Brakowało jednak kontaktu z publicznością i z muzyką na żywo. W lecie przyszło ożywienie. 2 lipca zapowiadał w Słupsku nadzwyczajny – bo pierwszy po koronawirusowej przerwie – koncert orkiestry Sinfonia Baltica związany z zakończeniem renowacji zabytkowych organów w kościele mariackim (największy tego typu instrument w diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej).

W planie na następny dzień była inauguracja Międzynarodo-

wego Festiwalu Organowego w Koszalinie. – 31 koncertów, z tego dziewięć głównych w koszalińskiej katedrze, publiczność dopisała – pełnia szczęścia – wspomina prelegent.

Ale przyszła jesień, a z nią druga fala epidemii. Życie kulturalne znów zamarło.

Śpiewak, perkusista, konferansjer

Andrzej Zborowski wie, że los bywa kapryśny. Dzieciństwo spędził w majątku rodziców we wsi Łęg Tarnowski w Małopolsce. Po wojnie rodzina była zmuszona opuścić posiadłość, w tym wybudowany przez przodków neorenesansowy pałac.

Rodzice cenili wiedzę i mieli smak artystyczny. Ojciec znał łacinę i grekę, dużo czytał, interesował się historią, miał talent muzyczny i plastyczny. Matka – równie światła i oczytana – interesowała się teatrem. Po wojnie studiowała w Krakowie w szkole teatralnej u Juliusza Osterwy. – Czasy były trudne, studiów nie skończyła – mówi Andrzej Zborowski. – Kiedy jednak zamieszkaliśmy na Śląsku, prowadziła teatry amatorskie. Zabierała mnie na próby, scena była więc dla mnie naturalnym miejscem do życia – wspomina, dodając, że dwukrotnie zdawał do szkoły teatralnej, bez powodzenia. – I chyba dobrze, bo pewnie bym się męczył.

Mieszkał w pobliżu Opery Śląskiej w Bytomiu, jednej z najlepszych wówczas scen w Europie. – Zaprowadził nas tam nauczyciel polskiego – opowiada. – Byłem pod takim wrażeniem, że nie prześpałem najbliższej nocy. Nie mogłem uwierzyć, że ludzki głos ma takie możliwości. Potem słuchałem wielkich śpiewaków: Bogdana Paprockiego, Zbigniewa Platka, Sławomira Żerdzickiego, Andrzeja Hiolskiego i wielu innych. Poznałem cały repertuar bytomskiej sceny. Dzięki temu świat oper nie jest mi dzisiaj obcy: Verdi, Puccini, Mozart, Vivaldi, Czajkowski i oczywiście Moniuszko.

W Rybniku ukończył średnią szkołę muzyczną prowadzoną przez słynnych na Śląsku braci Szafranków (dziś placówka nosi ich imię). Śpiewał z orkiestrami filharmonii w Opolu, Częstochowie, Rzeszowie



i, stworzonej specjalnie z myślą o braci górniczej, filharmonii w Rybniku. – Byłem tam śpiewakiem i zmiennikiem perkusisty – wspomina. – Kiedy okazało się, że orkiestra straciła konferansjera, usłyszałem, że mam zapowiedzieć następny koncert. Za kulisami nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa, ale kiedy dyrektor kazał już mi wyjść na scenę, strach cudem ze mnie spłynął. Bywało, że zapowiadałem utwór, potem go śpiewałem, znów zapowiadałem, siadałem przy perkusji...

Po studiach na wydziale wokalnym katowickiej uczelni muzycznej dostał angaż do Zespołu Madrygalistów Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy. Sprawy rodzinne spowodowały jednak, że wrócił na Śląsk. Kolejny zwrot w 1974 roku: na jednym z koncertów Andrzej Cwojdzński, ówczesny dyrektor Filharmonii Koszalińskiej, wypatrzył go i zaproponował pracę. – Życie na Śląsku nie było miłe. Ubrania trzeba było trzymać w zamkniętych workach, bo pył z fabryk przedostawał się do mieszkań przez zamknięte okna. Zdecydowa-

łem więc, że w Koszalinie na próbę popracuję przez rok. Po roku z ogłoszenia gazетowego zamieniłem mieszkanie i jestem tu do dziś.

Zrezygnuj w porę

Wciąż śpiewał (kilką razy wystąpił m.in. podczas Międzynarodowego Festiwalu Oratoryjno-Kantatowego Vratislavia Cantans we Wrocławiu). Prowadził koncerty szkolne i coraz chętniej występował jako konferansjer. Z czasem porzucił śpiewanie i oddał się pracy prelegenta.

Od lat jest stałym konferansjerem w Filharmonii Koszalińskiej: zapowiada koncerty symfoniczne i organowe. Prowadzi koncerty okolicznościowe i plenerowe. – Wielka osobowość: wielka wiedza, ale i życzliwość, otwartość – tak Andrzeja Zborowskiego opisuje dyrektor Filharmonii, Robert Wasilewski.

Bywa prelegentem podczas Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słup-

sku. Rokrocznie jego wiedzę podziwia publiczność Międzynarodowego Festiwalu Organowego w Koszalinie. – Nie wyobrażam sobie naszych koncertów bez Andrzeja Zborowskiego – przyznaje Bogdan Narloch, dyrektor koszalińskiego festiwalu i profesor Akademii Sztuki w Szczecinie.

– Obserwuję go od wielu lat. Muzyka klasyczna, rozrywkowa, sakralna – wszędzie radzi sobie po mistrzowsku – dodaje Wojciech Bałdys, perkusista z Filharmonii Koszalińskiej, okazjonalnie także konferansjer. – To jest fenomen!

Zborowski prowadził koncerty w Filharmonii Narodowej i Sali Kongresowej w Warszawie. Stawał przed publicznością w innych prestiżowych salach koncertowych w kraju: m.in. w Poznaniu, Gdańsku, Wrocławiu, Krakowie, Bydgoszczy, Łodzi, Szczecinie czy na Śląsku. W małych miasteczkach i odległych wioskach w świat muzyki wprowadza młodzież szkolną. – Jeszcze kilka lat temu muzyków i sprzęt wioził w teren swoim autkiem – opowiada jeden ze znajomych prelegenta.

Andrzej Zborowski przypomina sytuację sprzed pięciu lat: dostał propozycję poprowadzenia gali operowej w Bydgoszczy. – Tyle że tego samego dnia miałem zaplanowane koncerty szkolne. Pierwszy o godzinie 7.30 w Bobolicach, potem cztery w innych miejscowościach. Odwiedziliśmy szkoły, po południu siadłem do samochodu.

O 18 byłem w Bydgoszczy, godzinę później już zapowiadałem galę operową. – Chciałbym w tym wieku być w takiej formie – rozmarza się Wojciech Bałdys. – On żyje muzyką! Trzygodzinną operę jest w stanie streścić, nie czytając z kartki. Ja mu tego po prostu zazdroszczę!

Koszaliński skarb

Arystokrata estrady, erudyta, wybitna osobowość, człowiek z ogromną elegancją – prof. Bogdan Narloch nie znajduje słów, by oddać cały swój podziw wobec Andrzeja Zborowskiego. – Jest elegancki zarówno w relacjach z innymi ludźmi jak i wtedy, gdy posługuje się własną wiedzą.

– Miałem kilka razy okazję zapowiadać Andrzeja Zborowskiego i powiedziałem, że jest brakującym ogniwem Kabaretu Starszych Panów – dodaje Wojciech Bałdys. – Nie umiem prościej opisać jego mistrzostwa. Ono przejawia się w kindersztubie, w ubiorze, w tym, jak Andrzej wchodzi na estradę, w mimice, w sposobie wypowiadania się, w uśmiechu. Poznaliśmy się 40 lat temu i żałuję, że tak późno.

Człowiek wysokiej kultury, do nikogo się nie uprzedza, jeśli coś obieca, dotrzymuje słowa. Cieszy się muzyką, w której może uczestniczyć – tak o Zborowskim mówią znajomi z Filharmonii Koszalińskiej.

Ma genialny słuch, pieczołowicie wymawia każdą głoskę. – Połu-



Happening urodzinowy dla Andrzeja Zborowskiego



Fot. Materiały prasowe FK(3)

guje się nienaganną polszczyzną i w tym przejawia się jego kultura, jakby mówił dużymi literami – dodaje Wojciech Bałdys.

Andrzej Zborowski tłumaczy, że nigdy nie układa wcześniej tekstu. Nauczony doświadczeniem na scenie trzyma jednak w ręku informator, na wypadek, gdyby zapomniał nazwiska, tytułu czy daty. – Samo opowiadanie wychodzi na poczekaniu – mówi. – Na tyle obcuje z muzyką, że wiem, co o niej powiedzieć.

Bywały drobne wpadki i sytuacje trudne. W latach 90. Bogusław Morka zorganizował w Bydgoszczy koncert operowy, którego atrakcją miał być udział sław: śpiewaczki Grażyny Brodzińskiej i konferansjera Lucjana Kydryńskiego. – Gwiazdy nie dojechały. Poproszono mnie, bym poprowadził koncert i jakoś wytłumaczył tę absencję.

Próbowałem rozładować sytuację dowcipem, mówiłem, że zacznę od złej wiadomości, potem przejdę do dobrej. Ale publiczność zaczęła buczeć. Kiedy zapowiedziałem pierwszą śpiewaczkę, wyklaskano ją. W przerwie zgłaszali się ludzie po zwrot pieniędzy za bilety – opowiada. – W drugiej połowie już wszystko poszło lepiej i ostatecznie koncert skończył się owacją na stojąco. Dla mnie jednak nie był to dobry wieczór.

Jestem skromnym zapowiadaczem

Mieszkanie Andrzeja Zborowskiego wypełniają sterty książek, płyty i wycinki prasowe. Na plakatach z koncertów, podczas których był konferansjerem, największe nazwiska powojennej polskiej muzyki: skrzypkowie – Wanda Wiłkomirska i Konstanty Andrzej Kulka, śpiewacy – Andrzej Hiolski i Bernard Ładysz, pianistki – Halina Czerny-Stefańska i Regina Smendzianka.

Mówi, że dobrze czuje się w Koszalinie. – Robię to samo, co na Śląsku, a mieszkam w tak przyjemnej okolicy – podkreśla. – Cieszę się, że wciąż mogę aktywnie obcować z muzyką, mam kontakt z coraz młodszyymi i lepiej wykształconymi muzykami.

Z wrodzoną skromnością swoją pracę porównuje do roli kelnera w restauracji. – Bo najważniejsze jest muzyczne dzieło. Choć, oczywiście, jakoś gościom trzeba je podać.

Jego mistrzostwo jest doceniane. W 2013 roku, przy okazji oddania do użytku nowej siedziby Filharmonii Koszalińskiej, Andrzej Zborowski został odznaczony srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Dwa lata później, w uznaniu zasług w dziedzinie upowszechniania kultury, otrzymał nagrodę marszałka województwa zachodniopomorskiego Pro Arte. W lipcu tego samego roku w koszalińskim amfiteatrze odbył się wielki koncert dedykowany Andrzejowi Zborowskiemu z okazji 80. urodzin. Specjalnie na ten wieczór zaproszono czworo artystów z opery La Scala w Mediolanie. – Był to najwspanialszy prezent – mówi.

I już wydawało się, że pogrążony w pandemii rok jubileuszowy nie przyniesie żadnych niespodzianek, gdy 28 listopada – w dniu urodzin Andrzeja Zborowskiego – grupa przyjaciół (w tym muzycy z Filharmonii i Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych) przed domem jubilata urządziła urodzinowy, dynamiczny happening.

Sygnal do startu został odegrany na ręcznej syrenie strażackiej. Potem zabrzmiało *Sto lat* i na balkon na sznurku – by nie łamać zasad reżimu sanitarnego – został wciągnięty kosz z urodzinowymi słodyczami.

Populizm i black metal na pianinie

Kuba Staniak może kojarzyć się z takimi zespołami jak Romantycy Lekkich Obyczajów czy WhoisWho. Ostatnio zdecydował się przekazać swoje emocje poprzez pianino pod szyldem Pan Kubuś. Niektórzy twierdzą, że jest to muzyka filmowa, on sam nazywa to pianistyczną polifonią. W 2020 roku ukazały się dwie płyty *Populizm na Pianinie* oraz *Black Metal na Pianinie*, a WhoisWho wraca do gry z EP – zaginionym materiałem sprzed czterech lat.

Pan Kubuś to twój autorski projekt. Już sama nazwa sugeruje, że jest w tym artyście coś z dorosłego mężczyzny, a coś z dziecka...

– Kuba Staniak brzmiało dla mnie zbyt pompatycznie. Dlatego padło na Pan, bo jestem już po 30-tce, a Kubuś trochę na przekór „poważniactwu”. Powstanie projektu nie byłoby możliwe bez mojego szwagra, Maćka Trembowieckiego, który pomógł mi opanować program do nagrywania, a to umożliwiło mi tworzenie w domu. Dzięki temu mogłem usłyszeć to, co wiło mi się w głowie przez dłuższy czas. Przy okazji liźnąłem też struktury kompozycji, bo nie miałem o tym zielonego pojęcia. W zespole zawsze ktoś mi w tym pomagał. Teraz od początku do końca odpowiadałem za wszystko sam.

Jakie kompozycje znajdziemy na płycie *Populizm na Pianinie*?

– Ani jazz, ani muzyka klasyczna, nie są to też elektroniczne brzmienia. Tylko fortepian. Określam to polifonią pianistyczną. Jeśli miałbym obrazowo opisać: coś pomiędzy muzyczką z gry The Sims, melodyjką w windzie a podkładem muzycznym instrukcji składania kredensu z Ikei na CD (śmiech). Chociaż kilku moich dobrych znajomych powiedziało, że słyszy w tym wszystkim muzykę filmową. Porównywali ją chociażby do *Ameli*. To miłe.

Materiał udało się wydać z pomocą Mariusza Rodziewicza (dziennikarz – dop. red).

– Tak, kiedyś wspomniałem mu, że nagrywam sobie w domu, podesłałem próbki i zaproponował, że można je wydać wspólnymi siłami, a ja od razu byłem na „tak”, bo jestem dużym fanem tego, co Mariusz robi dla muzyki, nie tylko lokalnej. Powiem górnolotnie, że dla mnie to wyróżnienie mieć swój materiał pod szyldem GraMuzyka. Czuję, że razem możemy więcej.

Planujesz trafić z materiałem do większej publiczności, jeśli oczywiście pandemia wygaśnie, bądź wprowadzone restrykcje pozwolą w bezpieczny sposób funkcjonować muzykom i słuchaczom?

– Nie garnę się do tego specjalnie, choć to podejście się zmienia, bo początkowo deklarowałem się jako twór wyłącznie „studyjny”. Pojawiło się jednak kilka propozycji koncertowych i jestem po prostu rozdarty. Z reguły po coś się nagrywa płyty, a rzadko żeby je schować do szuflady i się nie pokazywać. Sceny i kontaktu z publiką cholernie mi brakuje – szczególnie po doświadczeniach z Romantykami Lekkich Obyczajów. Graliśmy w fenomenalnych klubach, na fantastycznych festiwalach i zawsze z rzeszą wiernych fanów, więc po przyjacielskim rozejściu naszych dróg odciąłem sobie żyłę z koncertową adrenaliną. Nie ukrywam, że czasem planuję w głowie, jak koncert Pana Kubusia miałby wyglądać i brzmieć. Więc może pozostaniemy przy tym, że „nigdy nie mów nigdy”.

W Koszalinie na językach długo był zespół WhoisWho. Wydawało się, że po zawieszeniu waszej działalności nic się nie wydarzy, a tu podczas pandemii niespodzianka...

– To prawda, działamy dalej. Duża zasługa w tym Olka, który przyprowadził na próbę Bartka Rogalińskiego. Zagrał parę dźwięków i nikt nie miał pytań. Bez oficjalnych powitań, po prostu wzię-



liśmy się do roboty. Palimy się do występów na żywo, ale ciężko cokolwiek planować w tych czasach. Na pewno wydamy epkę, zatytułowaną po prostu *EP* (ukazała się w styczniu 2021 roku – dop. red.). To taka trochę zaginiona płyta, bo nagrywaliśmy ją jeszcze w starym składzie w 2017 roku w Woobie Doobie Studios w Sulejówku. Zarejestrowaliśmy wtedy część materiału na drugą płytę. Później sprawy potoczyły nie po naszej myśli i te numery poszły do szuflady. Przy pierwszym lockdownie przypomnieliśmy sobie o nich. Napisałem do naszego realizatora, czy cały czas je ma, odparł, że tak, więc czemu tego nie wydać? Miksem i masteringiem zajęł się ponownie Piotr Owczarzak, który produkował naszą pierwszą płytę *Czas Przestrzeni Miast*. Tym razem chcemy zadbać o to, o czym nie pomyśleliśmy przy debiucie – streamingi. Mamy opcję współpracy z netlabeliem, który umożliwi nam wejście na wszystkie portale streamingowe. W planach jest co najmniej kilka

koncertów promujących *EP*. Ruszymy w mini trasę, gdy tylko warunki pozwolą.

Wróćmy do Pana Kubusia. Nie chciałbyś do nowego projektu wprowadzić chociażby melorecytacji?

– Teraz nie, ale za tydzień mogę już myśleć coś innego (śmiech). Na pewno nie chciałbym, żeby Pan Kubuś był tylko pianistyczny. Fajnie, gdyby miał różne oblicza. Być może stworzę jakiś materiał z wokalem, może pewnego dnia wezmę się za gitarę akustyczną? Chciałbym, żeby Pan Kubuś był niedookreślony, bo myślę, że gdy ukaże się czwarta czy piąta płyta z samym pianinem, wszyscy będą ziewać. Dlatego chciałem, żeby druga płyta, *Black Metal na Pianinie* była już trochę inna. *Populizm...* był autorski, a *Black Metal...* jest poniekąd odtwórczy, ale nie jeden do jednego. To wariacje na temat moich ulubionych skandynawskich utworów

black metalowych. Zawsze chciałem zrobić coś dla środowiska, w którym grzęznę już od prawie 20 lat, więc postanowiłem, że je trochę sprofanuję. Gitarowe i basowe melodie poddałem wariacjom, pożyczylem je i wrzuciłem na inne bieguny, to była świetna zabawa. Na warsztat wziąłem pięć kawałków takich zespołów jak Satyricon, Gorgoroth, Marduk, Immortal i Darkthrone. Te kapele działały w tzw. drugiej fali black metalu, okresie największego gatunkowego radykalizmu. Na początku lat 90. black metalowcy palili kościoły, popełniali samobójstwa i tworzyli niezwykle hermetyczne towarzystwo. Z drugiej strony ten satanizm był często szkolny, zagrany w lateksowych gaciach na gitarze kupionej przez babcię. Ze skrajności w skrajność. Wybrałem te ortodoksyjne numery sprzed 30 lat, żeby wydobyć z nich piękno, drzemiące pod skorupą ciężaru i brzydoty. Niezwykle ważna jest w tych utworach duchowość, pewnie dlatego większość nagrywałem późną nocą, żeby wtłoczyć się w odpowiedni stan, a z drugiej strony mroczność chciałem za wszelką cenę przełamywać. Myślę, że mi się to udało.

Na płycie *Populizm na pianinie* znalazła się kompozycja o przewrotnej nazwie *Piano poło...*

– Przez chwilę chciałem nawet, żeby był to tytuł płyty albo nazwa rodzaju muzyki, którą wykonuję. Numer powstał jako pierwszy i po jego zarejestrowaniu wiedziałem, że chcę tę zabawę doprowadzić do całej, kompletnej płyty. Drugi powstał kawałek o nazwie *Ej, Esja!*, bo mocno dała mi do myślenia Hania Rani, zresztą *Esja* to tytuł jej płyty. Dalej już gładko poszło. Najbardziej, oprócz *Pierwszych Dwóch Lat*, lubię *Kołobrzeg, jak się bawicie?*

Patrząc na okładkę płyty, można mieć wątpliwości, jaki to gatunek muzyczny.

– Taki miałem cel. Stroną graficzną zajął się Wojtek Błaszczysz z Sedno Studio – prywatnie mój brat (śmiech). Bardzo jestem zadowolony z logo na okładce, bo nie wyobrażałem sobie na przykład zdjęcia. Żeby zobrazować fotografią zawartość dźwiękową albumu, powinny na niej widnieć galopujące konie z wodospadem w tle, a tytuł brzmieć *Kraina Łagodności* (śmiech). Logo Pana Kubusia jest więc mocno black metalowe, żeby trochę wprowadzało w błąd. Gadam już o swojej twórczości długo, aż za długo, biorąc pod uwagę, że to tylko chałupnicze dźwięki i do tego na płycie randomowy słuchacz – zapewne z ogromnym zawodem – odkryje, że jest tylko sam

fortepian i szybko się tym znudzi (śmiech). Pan Kubuś jest przede wszystkim dla mnie i moich najbliższych.

Zgodzisz się z tezą, że niezwykle rzadko nagrywa się dziś płyty na jednym instrumencie?

– To prawda, chyba, że mówimy o jazzie czy klasyce. Tu jest dużo dobra, które mnie zresztą zainspirowało do robienia swoich rzeczy. Zachwyciłem się m.in. skrzypkami Mateuszem Smoczyńskim, członkiem Atom String Quartet. Wydawałoby się, że jego instrument solo dłużej niż pięć minut jest nie do wytrzymania..., a ja mogę jego płyty *Metamorphoses* słuchać godzinami. Jeszcze inna inspiracja to Kamil Piotrowicz, którego miałem przyjemność poznać. Powiedział mi kiedyś, że bardzo ważne jest granie swoich rzeczy. Bez względu na gatunek – czy to jazz, czy elektronika, nawet bez względu na to czy to dobra, czy może zła muzyka. Najważniejsze, żeby to było „moje”. Wtedy mnie chyba oświeciło i zacząłem poważniej i konkretniej myśleć o pójsiu na solo.

Na przestrzeni roku, na YouTube ukazało się kilka teledysków Pana Kubisia... Planujecie również coś dodać od WhoisWho?

– Z Panem Kubusiem nie planowałem robić teledysku, ale Mariusz Rodziewicz, któregoś dnia wysłał mi filmik latających po osiedlu ptaków. Zapytał, czy nie chciałbym takiego obrazka dołączyć do którejś kompozycji. Pomyślałem, że pasuje do numeru *OK Internet*, więc czemu nie? Później zrodził się kolejny plan, żeby zrobić coś do kawałka *Pierwsze dwa lata*. Dla mnie to chyba najważniejszy numer na całej płycie i jest do tego drugi klip. Umieściłem w nim nagrania z pierwszych dwóch lat życia mojej córki Jagienki. Miałem to szczęście, że byłem na urlopie tacierzyńskim i mogłem jej rozwój obserwować dzień po dniu. Nagrywałem dużo fajnych momentów komórką i to po prostu kompilacja z jej dorastania. Starałem się te chwile oddać dźwiękami, bo słowami nie potrafię. Może jest to taki trochę ekshibicjonizm, ale strasznie szczerzy z mojej strony, a dla mnie to jest ważniejsze. Zawsze gdy słucham tego numeru, mam łzy w oczach, bo muzycznie przypomina mi to wiele wspólnych chwil i beztrudnie tygodnie. Z kolei do *Black Metalu na Pianinie* z Mariuszem nakręciliśmy „leśny” klip na Górze Chełmskiej. Inspiracje są oczywiste, bo norweskie (śmiech). A jeśli chodzi o wideo WhoisWho, to jak zwykle – ciężko nam się na coś zdecydować (śmiech). Jest plan wideoklipu koncertowego, rozmawiamy też o obrazie do *Pozdro Korpo!* Coś na pewno powstanie.

Sztuki plastyczne w cieniu pandemii

Pandemia i związane z nią obostrzenia chyba najmocniej uderzyły w świat kultury. Tym bardziej należy docenić, a nawet podziwiać, instytucje, stowarzyszenia i pracujące w nich osoby, które nie odpuszczały. Co działo się w tym przedziwnym roku 2020 w koszalińskich galeriach sztuki?

Trochę się działo, choć trzeba powiedzieć, że nie we wszystkich. Nie odbyła się ani jedna wystawa w Galerii na Piętrze, tylko dwie w muzealnej Antresoli. Galeria Ratusz (obchodząca 20-lecie istnienia – dop. red) zamknęła podwoje w marcu, kiedy ograniczony, a potem zamknięty, został dostęp do Urzędu Miejskiego.

Jednak do końca listopada 2020 roku otwarto około 30 wystaw. Prym wiodła Bałtycka Galeria Sztuki (BGS) w Centrum Kultury 105 (CK 105). Do wiosennego lockdownu zorganizowała trzy wystawy, w maju i sierpniu kolejne dwie, a we wrześniu zaprosiła na wernisaż i ma na koncie siedem wystaw. W minionym roku dała się zauważyć duża aktywność twórcza i organizatorska środowiska malarzy-pasjonatów, a zupełne milczenie artystów tzw. profesjonalnych, zarówno wolnych ptaków, jak i skupionych w Związku Polskich Artystów Plastyków. Sam związek firmował jedną wystawę.

Co zatem mogliśmy zobaczyć w 2020 roku, co zapamiętamy?

Styczeń

Wśród sześciu ekspozycji zapamiętamy wystawę malarstwa *Spotkanie* w Galerii Ratusz. Koszalińska grupa artystyczna Group4 zaprosiła tym razem nie jedną osobę do udziału w dorocznej wystawie, a dwie, reprezentujące grupę Plama's z Szubina. Tym samym udział wzięli – założyciel Group4 Wal Jarosz, Milena Szczepańska-Zakrzewska i Elżbieta Stankiewicz (Koszalin) oraz Hanna Zawadzka-Pleszyńska i Henryk Wojtas.

W Galerii Jednego Artysty KO „Na Skarpie” najnowsze prace zaprezentował koszalinianin, Jan Siekiera. Ulubiona technika plastyczna to rysunek ołówkiem i takie prace mogliśmy zobaczyć na wystawie zatytułowanej *Ilustracje do nieistniejących opowiadań*.

W Galerii N Klubu Nauczyciela odbyła się tradycyjna już XVIII Ogólnopolska Wystawa Marynistyczna. Udział wzięli tworzący nauczyciele z całej Polski i z Koszalina. Prace związane z morzem zaprezentowali także artyści zaprzyjaźnieni z galerią.

Luty

Na ścianach BGS zobaczyliśmy, chyba pierwszy raz w Koszalinie, prace Jana Lebensteina, artysty zmarłego w 1999 roku. Na ten wernisaż wiele osób nie mogło się doczekać. Prac było 70, pochodziły z trzech prywatnych kolekcji. CK 105 było inicjatorem wydarzenia. – Zestaw dla galerii w CK 105 okazał się tak ciekawy i atrakcyjny, że potem ruszy do jedenastu galerii w całej Polsce – dodał Jerzy Zegarliński z Agencji Zegart, współorganizator wystawy. – Zebraliśmy tu prace z lat 50-90.

Niestety, okazało się, że wiele osób nie zauważyło, że mogliśmy obejrzeć oryginalne prace jednego z czołowych przedstawicieli europejskiej sztuki nowoczesnej. Na wernisażu zabrakło „papieży” sztuki współczesnej, którzy od lat walczą o muzeum w Koszalinie, studentów architektury i wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, uczniów „Plastyka” i wreszcie członków ZPARP. Zabrakło wielu artystów koszalińskich.

W galerii klubu Bałtyk otwarto trzecią wystawę *Kobiety kobietom* z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. W wystawie zorganizowanej przez klub oraz koszaliński oddział ZPARP udział wzięło 19 pań m.in. z Koszalina, Grodziska Wlkp., Mielnia, Złocieńca, Rzeszowa.

Marzec

W BGS – wystawa malarstwa Tomasza Lubaszki z Częstochowy. Wcześniej artysta brał udział w jednej z edycji wystawy interdyscy-



Tomasz Sętowski



Group4

Fot. Tomasz Majewski (3) / FB vernisaże i inne miraż



Tomasz Lubaszka, Arytmie

scypinarnej Fala. Swoją małą formatowo pracą tak zachwycił i urzekł prowadzącą galerię Izabelę Madajczyk, że postanowiła zaprosić go na wystawę indywidualną. Autor zatytułował ją *Arytmia*, co, jak tłumaczył podczas wernisażu, można rozumieć podwójnie. Po pierwsze – wybrał prace z dwóch nurtów. Po drugie – sam cierpi na arytmie serca i ma to wpływ na jego malarstwo. Pierwszy nurt to obrazy wykonane głównie w szarościach i błękitach, na poły abstrakcje, na poły realistyczne pejzaże. Druga grupa to menhiry i formy ostre, w ciepłych beżowo-brązowych tonacjach i nawiązujące do znanych z kultury celtyckiej pionowych, ociosanych lub nie głazów, zawsze ostro zakończonych. Prace Tomasza Lubaszki zrobiły na widzach tak ogromne wrażenie, że kilka z nich pozostanie w Koszalinie, bowiem zostały zakupione bezpośrednio od artysty. Nie zdarza się to często.

W Galerii Ratusz – tradycyjna wystawa przygotowywana przez koszalińsko-słupski oddział ZPAP, czyli *Kobieta w twórczości – twórczość kobiet*. Osiemnaścioro artystów (13 pań i pięciu panów) zaprezentowało portret, pejzaże abstrakcje i wizerunki zwierząt. Największe zainteresowanie wywołała praca Katarzyny Raczkowskiej – portret kobiety z twarzą szczelnie zasłoniętą maseczką. Autorka tłumaczyła, że to także wyraz przekonania, iż kobieta powinna być chroniona i pamiętała, że jest ważnym członkiem społeczeństwa.

Maj

W Galerii MPS – 60 fotografii podróżniczych pokazał Robert Nawrocki z Koszalina. Była to wystawa głównie dla pracowników firmy, bowiem obostrzenia nie pozwalały na wpuszczanie innych osób. Na szczęście – można je było podziwiać także online. A były to przede wszystkim obrazy niezwykłych formacji skalnych, kaniony stworzone przez rzeki, krajobrazy wulkaniczne. To naprawdę – zgodnie tytułem wystawy *Ziemskie krajobrazy niezemskie*.

W Galerii N w Klubie Nauczycielskim zawiązała wystawa organizowana od lat w ramach Dni Koszalina, czyli *Koszalin i inne zakątki*. Bez wernisażu, do oglądania w godzinach pracy Klubu. W tym roku prace pokazało 22. artystów z całej Polski, także z Rosji i Ukrainy.

BGS nie zostawiła miłośników sztuki samych. Zaproponowała plakaty Rafała Olbińskiego i fotografie Wojciecha Druszcza ze swoich zasobów. Rafał Olbiński prezentował je dwa lata temu przy okazji kolejnej edycji festiwalu Młodzi i Film, ale kolekcja jest teraz większa. To plakaty zaprojektowane do sztuk teatralnych, oper i operetek. Druga wystawa to fotografie Wojciecha Druszcza *Por-*

tret intymny. W tym zestawie fotografik i fotoreporter zawarł 50 lat swojej pracy, wędrówek po kraju i świecie. Zobaczyliśmy życie codzienne PRL, okres przemian ustrojowych i gospodarczych, fotosy z planów filmowych, spotkania z ludźmi.

Czerwiec

W Galerii Antresola Muzeum w Koszalinie mogliśmy obejrzeć przeniesioną z wcześniejszych terminów 6. wystawę z cyklu *Spotkajmy się w realu*. Spotkania jednak nie było. Za to była nowość – projekcja krótkich filmów, w których artyści opowiadali o sobie i swoim widzeniu świata. Była to też po raz pierwszy edycja międzynarodowa, bowiem udział wzięli twórcy z Włoch i USA. Mimo obostrzeń, do Koszalina przyjechali Joanna Banek i Tomasz Awdziejczyk z Krakowa, biorący udział w wystawie. – Każdy żywy kontakt jest niezastąpiony – podkreślił. – Żadne zdjęcie, relacja w internecie nie odda barw, faktury obrazu, nie zastąpi rzeczywistości, a do tego możliwości rozmowy z artystami i ich obrazami. Wystawę obejrzeli w towarzystwie jej pomysłodawcy – Wala Jarosza.

Lipiec

Można odnotować tylko jedną wystawę – w filii nr 8 Koszalińskiej Biblioteki Publicznej pokazano prace Elżbiety Gajewskiej z Koszalina.

Sierpień

BGS zaprosiła kilkoro koszalińskich twórców do udziału w przedsięwzięciu *Artyści w czasie pandemii*, na co składała się wystawa prac powstałych w tym niezwykłym czasie, a także film dokumentalny z opowieściami o życiu i tworzeniu w czasie takim, jak pandemia. Nie było wernisażu, przybyli tylko autorzy prac, by symbolicznie wystawę otworzyć. Zaś pokazane prace to mniej lub bardziej dosłowny zapis wrażliwości, uczuć i zdarzeń w trudnym okresie. Udział wzięli Krzysztof Rapsa, Dorota Popowicz-Majewska, Wal Jarosz, Beata Orlikowska, Krzysztof Urbanowicz, Greta Grabowska, Wojtek Szwej, Ewa Miśkiewicz-Żebrowska i Tomasz Majewski.

Wrzesień

I znów BGS stanęła na wysokości zadania, proponując wystawę *Percepcja koła*. Był nawet, pierwszy po wielu miesiącach, wernisaż, a publiczność tym razem nie zawiodła. Zaprezentowano blisko czterdzieści dużych prac o średnicy ok. 80 cm, skomponowanych w kole. To kolejna realizacja Małgorzaty i Adama Krużyckich, ko-



Rafał Olbiński



Fot. Tomasz Majewski (2) / FB wernisaże i inne młazę

Jan Lebenstein





Kobieta w twórczości – twórczość kobiet

lekcyjników oraz mecenasów sztuki. Tondo, choć dzisiaj nieczęsto wybierane przez artystów, ma bogatą tradycję w sztuce. Jak z zadaniem poradzili sobie artyści, wśród których jest m.in. Waldemar Marszałek, Krzysztof i Michał Powalkowie? Jedni wykorzystali format dla kompozycji, inni po prostu namalowali obraz w tym formacie. Otwarcie wystawy okazało się zarazem ekspozycją otwierającą drugie dwudziestolecie Bałtyckiej Galerii Sztuki. – Pierwsza miała miejsce 20 lat temu, także we wrześniu – wyjaśniła Izabela Madajczyk, obecna szefowa.

W Galerii MPS swoje bajeczne kwiaty pokazała Wiesława Kurowska z Koszalina. Po dziewięciu miesiącach przerwy w działalności galerii spowodowanej pandemią – 18 września na otwarcie mogli przyjść przyjaciele artystki, co też uczynili w sporej liczbie. To jedyna okazja, bo dostęp do galerii pozostał nadal utrudniony.

Październik

Znów trzeba zacząć od BGS, gdzie mogliśmy obejrzeć prace Tomasza Sętowskiego z Częstochowy. Artysta należy do nielicznej grupy polskich artystów, którym udaje się utrzymywać ze swojej sztuki. Sprzedaje prace niemal na pniu do galerii oraz zbiorów prywatnych na całym świecie, nawet tak dla nas egzotycznych, jak Emiraty Arabskie. Zobaczyliśmy 13 obrazów, w większości dużych i bardzo dużych. To oleje na płótnie oraz kilka grafik.

Już same tytuły wprowadzają widza w magiczny nastrój – *Obserwator galaktycznych przemian*, *Jej wysokość Luna*, *Akademia sztuk graficznych* z postaciami ni to uczniów, ni nauczycieli z różnych ba-



Jan Siekiera

jek. Artysta zaprosił do świata wyobraźni, skojarzeń, wspomnień i marzeń, niekoniecznie sennych. Galeria CK 105 wypełniła się podczas wernisażu niemal, jak za dawnych, przed pandemicznych czasów. Przybył też sam autor.

Galeria N nie odpuściła dorocznej wystawy *Mistrz i uczeń*, choć znów nie można było zorganizować szerszego spotkania, ani, jak się okazało, finisażu. Wernisaż, nawet w najwęższym gronie, musiał być odwołany. W tym roku w wystawie wzięło udział 20. uczestników – po połowie mistrzów, czyli nauczycieli, wykładowców akademickich lub instruktorów plastyki i ich podopiecznych, a niekiedy rodziców uczących swoje dzieci. Najliczniejsza jest grupa koszalińska, ale byli też twórcy z Warszawy, Gdańska, Szczecina, Słupska,

W galerii Antresola druga w tym roku wystawa. Trwała tylko dwa tygodnie, w dodatku zaostrzający się reżim sanitarny sprawił, że niewiele osób ją mogło obejrzeć. Jej autorem był Leon Piesowoczek, mieszkający obecnie w Prowansji. Był żołnierzem armii Andersa i po wojnie już do kraju nie wrócił. Obecnie ma 95 lat, a maluje od 70. Prace mogliśmy zobaczyć dzięki staraniom Jadwigi Grobelskiej-Gauthier, koszalinianki także mieszkającej od 30 lat we Francji.

Niestety, ze względu na pandemię sam autor nie mógł przybyć do Koszalina. Wśród 23 obrazów, grafik i rysunków są głównie prace z ostatnich lat, bowiem artysta jest wciąż niezwykle aktywny twórczo.

W marcu, listopadzie i grudniu nie odnotowaliśmy wystaw.

Galeria Ratusz: dwie dekady dla sztuki

W październiku 2020 roku dwudzieste urodziny świętowała jedna z najintensywniej twórczo eksploatowanych przestrzeni wystawienniczych w Koszalinie. Galeria Ratusz w trzecią dekadę działalności wchodzi z bogatym bilansem wystaw i śmiałymi planami na przyszłość.

Wyjątkowość Galerii Ratusz polega na tym, że stanowi miejsce spotkań ze sztuką zarówno zaplanowanych, jak i przypadkowych. Takie było też zamierzenie jej pomysłodawców, którzy w 1999 roku uznali, że szerokie ratuszowe hole zamienione w pełne barw sale wystawiennicze to doskonała przestrzeń do prezentacji dla twórców profesjonalnych, ale też amatorów – zarówno uzdolnionej młodzieży, jak i dorosłych pasjonatów sztuki. – Galeria Ratusz jest miejscem otwartej dla wszystkich, interdyscyplinarnej prezentacji dokonań artystów różnorodnych, co było i pozostaje głównym założeniem jej powołania i działania – przekonuje Przemysław Krzyżanowski, wiceprezydent Koszalina odpowiedzialny za sprawę kultury.

Od początku istnienia Galeria mieści się na dwóch piętrach. Za artystyczne życie pierwszego odpowiada Zespół Pracy Twórczej Plastyki, natomiast za piętro drugie – Związek Polskich Artystów Plastyków Okręg Koszalin – Słupsk. Jego prezes, prof. Ewa Miśkiewicz-Żebrowska, była jedną z artystek zaangażowanych, przed dwiema dekadami, w powstanie Galerii Ratusz. Jak mówi, Galeria stała się miejscem wielu ważnych prezentacji. – Od wielu lat organizujemy tu wystawy cykliczne, takie jak *Kobieta w twórczości i twór-*

czość kobiet, Artyści Miastu czy wystawy poplenerowe, prezentujące każdego roku dorobek Międzynarodowego Pleneru Malarskiego w Osiekach.

Co roku jedną lub dwie wystawy proponuje także Związek Plastyków Artystów RP. – Dla nas to niezwykle ważne miejsce – podkreśla prezes koszalińskiego oddziału ZPARP, Wiesława Kurowska. – Nasza współpraca z Galerią od początku układała się bardzo dobrze i po dwóch dekadach mogę powiedzieć, że obecnie to już nie tylko współpraca, ale po prostu przyjaźń.

Zdaniem Wiesławy Kurowskiej formuła w jakiej działa Galeria to jej główny atut. – Tu nasze prace mogą zobaczyć nie tylko nasi przyjaciele i sympatycy, którzy przychodzą na wernisaże, ale też wiele innych osób, czasem przypadkowych, które mogą odkryć w sobie wrażliwość na sztukę. Galeria w takim miejscu żyje nie tylko od wernisażu do wernisażu, ale cały czas.

Artyści profesjonalni proponują widzom Galerii zarówno wystawy zbiorowe, jak i indywidualne. Co ważne, choć początkowo wystawiającymi mieli być tylko twórcy koszalińscy, to wraz ze wzrostem prestiżu Galerii Ratusz rozszerzyło się portfolio goszczących w niej artystów. Można było tu oglądać prace między innymi Erny Rosenstein, Edwarda Dwurnika, Aleksandry Jachtomy czy Józefa Wilkonina, ale także twórców z Francji, Holandii, Austrii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Hiszpanii, Skandynawii, Czech, Słowacji, Rosji, Ukrainy, Białorusi, Azerbejdżanu i Stanów Zjednoczonych. Tradycją stały się również prezentacje prac artystów z miast partnerskich Koszalina – Neubrandenburga, Neumunster, Bourges, Gladsaxe. – Dlatego dziś Galeria Ratusz to rozpoznawalna w świecie sztuki i twórców marka, która przyciąga na wernisaże artystów różnych dyscyplin. To także dowód na to, że samorząd może





z powodzeniem samodzielnie, a nie za pośrednictwem instytucji czy organizacji, prowadzić animację kulturalną – wskazuje wiceprezydent Przemysław Krzyżanowski.

Galeria współuczestniczy w ważnych wydarzeniach z życia miasta, stąd okolicznościowe prezentacje organizowane podczas Dni Koszalina, Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych czy przy okazji Międzynarodowego Pleneru Malarskiego „Czas i miejsce dla sztuki” w Osiekach.

O tym, że Galeria Ratusz to miejsce niezwykle gościnne dla sztuki świadczą liczby – w ciągu dwudziestu lat odbyło się tu 326 wystaw: 194 na piętrze pierwszym, 132. na drugim. Dzięki tworzeniu programu pracy Galerii w systemie rocznym udało się jej organizatorom uniknąć monotonii, a odbiorcy mieli możliwość obcowania z różnymi dziedzinami sztuki. Prezentowane były bowiem w Galerii Ratusz zarówno wystawy malarstwa olejnego, akryle i akwarele, ale także rysunek, grafika, fotografia, haft, gobeliny, batik czy tkanina artystyczna, a nawet malarstwo na papierusie.

Galeria Ratusz jest także, co istotne, miejscem debiutów młodych artystów, bo odbywają się tu wystawy prac dyplomowych absolwentów Wydziału Architektury i Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej czy koszalińskiego Zespołu Szkół Plastycznych. Według prof. Ewy Miśkiewicz-Żebrowskiej, która od lat uczy malarstwa w koszalińskim „Plastyku” i jest nauczycielem akademickim, edukacyjny aspekt działalności Galerii Ratusz jest nie do przecenienia. – Z perspektywy nauczyciela uważam takie miejsca za istotne w promowaniu sztuki, ale również ważne jako obszar pełniący cele w edukacji artystycznej. To przestrzeń kształtowania postaw twórczych, wyzwalania potencjału do poszukiwań nowych środków wyrazu oraz pobudzania kreatywności i wrażliwości debiutującego młodego pokolenia.

Wśród debiutantów, którzy mogli podzielić się swoimi artystycznymi dokonaniem właśnie w gościnnych progach Galerii Ratusz, byli także między innymi słuchacze Uniwersytetu III Wieku przy Politechnice Koszalińskiej, uczestnicy zajęć plastycznych w klubach osiedlowych czy Centrum Kultury 105, członkowie Koszalińskiego Klubu Nauczycieli Twórców – Plastyków, podopieczni Pałacu Młodzieży czy twórcy związani z działającymi „po sąsiedz-

ku” Galerią Na Zakręcie i Galerią Trzy Kurki z Cewlina, a nawet realizujący swoje artystyczne pasje... członkowie Okręgowej Rady Adwokackiej w Koszalinie.

Galeria wielokrotnie użyczała przestrzeni także na inicjatywy charytatywne i pomocowe, takie jak choćby wystawa zachęcająca do adopcji psów w koszalińskiego schroniska dla bezdomnych zwierząt.

Rok 2020 w życiu Galerii Ratusz był szczególnie z dwóch powodów. Po pierwsze, był jubileuszowy. Jego zwieńczeniem miał być wyjątkowy wernisaż na połączonych dwóch piętrach ratusza. Jednak, i to ten drugi szczególnie powód wyjątkowości roku, ów wernisaż, podobnie jak wiele innych galeryjnych planów, trzeba było odłożyć z powodu pandemicznych obostrzeń.

Sztuka by istnieć, potrzebuje emocji rodzących się podczas spotkania widza z artystą, jednak życie Galerii nie zamarło. Rok 2020 zaowocował nową identyfikacją wizualną i nowym logo Galerii Ratusz. – Od dłuższego czasu wiedzieliśmy, że Galeria Ratusz potrzebuje znaku, który będzie ją identyfikował i pomoże w promocji wydarzeń – informuje opiekująca się Galerią Ratusz Anna Janiel z Wydziału Kultury i Spraw Społecznych koszalińskiego ratusza. Jubileusz był doskonałą okazją, aby ten pomysł zrealizować.

Autorem logo został koszaliński grafik Łukasz Waberski, który do stworzenia unikalnego znaku własnego Galerii wykorzystał obraz Edwarda Dwurnika, na którym artysta przedstawił centrum Koszalina. W roku 2020 powstał też jubileuszowy film, podsumowujący dwie dekady działalności nietypowej, „społecznej” przestrzeni wystawienniczej, zrealizowany przez Centrum Kultury 105.

Co ważne, planów i marzeń na artystyczną działalność w trzeciej dekadzie działania Galerii Ratusz także nie brakuje. – Chcielibyśmy wznowić działalność Galerii Ratusz w pełnym zakresie, czyli bez limitów, dystansu społecznego i maseczek – mówi Anna Janiel wskazując, że choć w działalności Galerii nastąpiła kilkumiesięczna przerwa spowodowana pandemią, to żaden z artystów ujętych w planie wystawienniczym na rok 2020 nie zrezygnował ze swojego projektu. Każdy z nich czeka na wernisaż.

Te kolejne wernisaże i spotkania ze starymi i nowymi bywalcami Galerii Ratusz to jubileuszowe życzenia wszystkich, dla których to ważne i wyjątkowe miejsce.

Codziennosc niecodzienna – nowa wystawa stala w Muzeum

Rozmowa z Ewą Pliszką, kierowniczką Działu Etnografii Muzeum w Koszalinie

Pomorską Codziennosc Połowy XX wieku zaczynamy w sieni....

– To sień chałupy w zagrodzie rybackiej, która po prawie dwóch latach wróciła z nową wystawą. Jej otwarcie było tym ważniejsze, że dało nam namiastkę i poczucie powrotu do normalności po wiosnie, kiedy po raz pierwszy muzeum zostało zamknięte z powodu pandemii.

Wystawa powstała z tego, co znaleźli państwo w swoich zbiorach?

– Tak. I to dla mnie prawdziwy powód do dumy, bo udało nam się na dużej przestrzeni zaaranżować spójną całość. Zwłaszcza, że w tym szczególnym czasie nie mogliśmy posilkować się wypożyczeniami. Ta wystawa jest szczególnie ważna, ponieważ pokazujemy to, co przyjechało z osadnikami na nasze ziemie, ale też to, co osadnicy tutaj zastali. Więc z jednej strony jest to lekcja historii, z drugiej – dla wielu – nostalgiczna podróż w nieodległą jednak historię. Bo wielu gości w prezentowanych zabytkach rozpoznaje przedmioty, które przed laty stanowiły wyposażenie domów babć, cioć.

Z perspektywy etnograficznej – co stanowi dla Pani szczególną wartość tej ekspozycji, bo mówi Pani o niej jako o wystawie szczególnie ważnej...

– Nie pamiętam wystawy nieważnej. W każdą, poza wiedzą, umiejętnościami i pracą, wkładam emocje. Ta jest może bardziej szczególna, bo opowiada o historii najnowszej, wraca do tragicznych okoliczności początków polskiego Pomorza. Za każdym z eksponowanych przedmiotów kryje się człowiek z dramatyczną, rewolucyjną zmianą w życiu.



Fot. Izabela Rogowska

Wyberzmy się w podróż po wystawie. Ciekawa jest już wspomniana sień, od której zaczynamy.

– Tu zobaczyć można podstawowe sprzęty, jakie musiały się znajdować w takim pomieszczeniu. Są skrzynie, które początkowo służyły jako szafy, potem jako meble zasobowe, na przykład do przechowywania ziarna. Jest też beczka zasobowa. Ale są też łyżwy z przełomu XIX i XX wieku, które na tym terenie z całą pewnością były wykorzystywane – w końcu jesteśmy na Pomorzu, gdzie sporo było zbiorników zimą pokrytych lodem.





A jakie funkcje pełniły izby?

– Pierwsza to tradycyjna izba mieszkalna, służąca też do spania – stąd znajdują się w niej i stół, i łóżko, na które własnoręcznie przygotowała siennik. Co ciekawe, znajdujące się tu meble, polichromowane i niezwykle efektowne, stanowią oryginalny komplet, datowany na trzecią dekadę XIX wieku. Jest też piec, na którym suszy się pranie. To także ciekawostka, bo bielizna, tkana z cieniutkiego lnu i ozdobiona koronką, przyjechała tutaj kresów południowych. Kiedyś taki strój nazywano kombinezką, w tej chwili to po prostu body. Dla samej tej bielizny warto tę wystawę obejrzeć.

W tej izbie nie mogło zabraknąć i obrazów...

– Tak. Mamy tu tradycyjny „święty kąt”, który znajdował się w każdej chłopskiej izbie, bez względu na region. Pierwotnie w chałupie prezentowaliśmy kulturę jamieńską. Była to kultura protestancka, dlatego „święty kąt” był bardzo skromny, bardzo symboliczny. „Święte kąty” katolickie są natomiast bogate, ozdobne, czasem nawet trochę jarmarczne, kipiące kolorami. I tu, na naszej wystawie, mamy tego małą próbkę.



Możemy także obejrzeć rekwizyty kojarzące się z rodzicielstwem, dzieciństwem.

– Tak, w kolejnej izbie pokazujemy między innymi typową pomorską kołyskę. Warto tu jednak zwrócić uwagę na kolekcję zabawek, choć to dość skromna reprezentacja. Ale jest też pająk, czyli ozdoba obrzędowa, i wspaniały, piękny, doskonale zachowany kilim, który przyjechał z Podlasia. Ma on dla nas dużą wartość nie tylko z powodu techniki i precyzji wykonania, ale również dlatego, że widnieje na nim nazwa wsi, jest „podpis” autorki i data powstania – lata 20. XX wieku. W tej izbie warto przyjrzeć się szafie. To tak zwana szafa chlebowa, czyli najprostsza spiżarka z ażurowymi drzwiczkami. Proszę sobie wyobrazić, że właśnie w tej szafie lata temu gospodyni kładła świeżo wypieczone bochenki chleba. Na naszej wystawie pełni ona rolę bieliźniarki, ale ukryta jest w niej znacznie bogatsza historia.

Jaką historię opowiada nam kuchnia?

– Kuchnia jest dość bogato wyposażona. To wynik założenia jakie przyjeśliśmy, tworząc wystawę. Nie pokazujemy konkretnej

chałupy z konkretnej wsi, ale to co przywiezione, i to co zasta-
ne. Czyli wszystko, co po wojnie stanowiło początek nowego
życia. Są tu oczywiście sprzęty przydatne w każdym gospodar-
stwie, czyli gary i garnki, siekacz do zielonki, móżdżerze, cedza-
ki, dzbany, ale też ziola, czosnek, fasola – namiastka prawdziwej
kuchni sprzed lat.

To wyposażenie to też dowód na to, jak nasza przeszłość jest skomplikowana?

– O tym świadczą choćby przedmioty z napisami w języku nie-
mieckim i te z cyrylicą (ręczniki obrzędowe). One pokazują, że tu
mieszały się kultury, choć – co ciekawe – wiele z tych przedmiotów
wykorzystywanych było przez nowych właścicieli niekoniecznie
zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Musimy pamiętać, że cho-
by osiedleńcy ze słabiej rozwiniętego technicznie Południa spotkali
tu narzędzia, których nie znali. Jedni je odrzucali, inni nadawali im
nowe funkcje, jeszcze inni – reemigranci z Europy Zachodniej – wie-
dzieli, jak ich używać.

Jak długo chałupy na Pomorzu wyglądały, jak ta przysto- wana przez muzeum?

– To oczywiście bardzo indywidualne. W naszej chałupie nie
ma prądu ani wody. Nowoczesność pojawiała się, gdy wieś elek-
tryfikowano, gdy doprowadzano wodę, a to działo się w różnych
miejscach w bardzo różnym czasie. Dużo zależało też, rzecz jasna,
od zamożności gospodarza. Ale sądzę, że jeszcze w latach 60. XX
wieku chałupy wiejskie na Pomorzu mogły wyglądać jak ta, w któ-
rej jesteśmy.

Co chałupa mówi o nas, naszych terenach i ich historii?

– Tu sporo może powiedzieć każdy przedmiot. Bo każdy był
czyjś, każdy był skądś... Czasem patrząc na jakieś narzędzie, my-
ślę, że przecież czyjaś ręka nim pracowała, że to nie jest po prostu
ekspонат muzealny, ale przedmiot, który był własnością konkret-
nej osoby. To też ukryte w tych przedmiotach emocje – bo może
ktoś cieszył się, że dostał tę rzecz, cieszył się z wykonanej danym
narzędziem pracy. To, że teraz mamy te przedmioty w muzeum,
że podchodzimy do nich z szacunkiem, to też wiano dla przy-
szłych pokoleń. Dbamy, by przetrwało w niezmienionym stanie,
żeby dzieci, które do nas przychodzą, mogły zobaczyć przeszłość,
i że tak naprawdę wszystko już było. Pokazujemy między innymi

piękną szklaną maselnicę, która przez ostatnich właścicieli była
używana jako mikser ręczny. Co ciekawe, do dziś jest całkowicie
sprawna. Inny przedmiot, na pewno wart uwagi, to maszynka
do lodów na korbę, wykonana z solidnego metalu, ale kształtem
i działaniem bardzo podobna do współczesnych. Wreszcie pralka
klepkowa! Nasza nie ma tabliczki znamionowej, ale identyczne
były produkowane na początku ubiegłego wieku przez firmę Mie-
le. To pralka z napędem ręcznym, wirnikowa i całkowicie sprawna.
Do niej dołączyliśmy, symbolicznie, kolejną część bielizny z naszej
kolekcji, a to damskie reformy tak interesujące, że właściwie moż-
na by poświęcić im osobną wystawę.

Każdy z przedmiotów ma swoją historię. Ich odkrywanie, ba- danie, a potem budowanie na ich podstawie opowieści o cza- sach minionych musi być niezwykle fascynujące!

– Zdecydowanie. Każdy przedmiot jest ciekawy podwójnie
– sam w sobie, ale też jako nośnik historii, czasem niezwykle
interesującej, czasem zyskującej twarz i nazwisko konkretnej
osoby. Kiedy pozyskujemy jakieś eksponaty, bardzo ważne dla
nas jest, by, na ile to możliwe, poznać historię tego przedmiotu,
jeśli wiemy skąd się wziął i do kogo należał. Na początku roku
(2020 – dop. ap) dostałam sporo interesujących darów, między
innymi bieliznę z lat 40. Wiem, kto ją wykonał, wiem kto ją nosił.
Dla mnie to zdecydowanie więcej niż przedmiot. To cała historia
konkretnego człowieka, na przykład z terenów dawnej Polski,
obecnie Białorusi, Litwy czy z Ukrainy, którego skomplikowane
koleje losu rzuciły właśnie tu. I to jest chyba najcenniejsze. Nie
sam przedmiot w sensie materialnym, ale wszystko, co mu to-
warzyszy.

Kogo zaprosiłaby pani na tę wystawę?

– Oczywiście najchętniej wszystkich, którzy zechcą nas odwie-
dzić. Przede wszystkim tych, którzy są uczestnikami historii zawar-
tych w wystawie. Dla nich to podróż w przeszłość, wspomnienie nie
tak znów odległych czasów. Oczywiście młodych ludzi, by pokazać
im odrobinę naszej przeszłości. Również tych, którzy zainteresowa-
ni są zmianami, jakie zaszły w wyposażeniu wnętrz. I z punktu wi-
dzenia estetyki i funkcjonalności, także technologii.

Wystawa stała *Pomorska Codziennosc Połowy XX wieku* została
otwarta we wrześniu 2020 roku.

Czuję, ale nie wszystko potrafię nazwać

Rozmowa z Beatą Marią Orlikowską, artystą plastykiem, ceramikiem

Była Pani typem dziecka uzdolnionego artystycznie?

– Tak, oczywiście (śmiech). Już jako dziecko uwielbiałam malować, rysować. Chodziłam do Ogniska Plastycznego. Gdy poczułam, że dwa wymiary to dla mnie za mało, sięgnęłam po glinę i plastelinę. Kiedy kończyłam podstawówkę, pojawiła się w sklepach plastelina w nasyconych, żywych kolorach. Godzinami lepiłam z niej różne kształty.

Jaki jest najważniejszy Pani zapach z dzieciństwa?

– Zapach wsi, polnej drogi, która w upale pachnie kurzem, a po pierwszych kropkach deszczu zupełnie inaczej. Zapach łąk pachnących koniczyną i skoszoną trawą. Zapach jeziora, którego człowiek nie zniszczył. W dzieciństwie często jeździłam do babci na wieś.

A w życiu dorosłym?

– Nadal zapach jeziora (śmiech). Zapach lasu. Perfum, które lubię.

Jakie zapachy towarzyszą Pani w pracy artystycznej?

– Zapach tlenków, wypalanej porcelany, farb olejnych, akrylowych. Zapach złota, platyny.

Jak pachnie złoto?

– Jak przystało na szlachetny kruszec, pachnie niesamowicie (uśmiech), konkretnie; to mieszanka złota, olejku lawendowego, rozmarynowego, goździkowego, terpentyny. Potrafi przynieść ból głowy. Zapach jest tak intensywny, że pomieszczenia, w których maluje się złotem, powinny być wentylowane lub klimatyzowane.

Jak trafiła Pani do Fabryki Porcelany w Chodzieży?

– Wcześniej, jeszcze w szkole średniej. Wybrałam Technikum Cera-





Fot. Magdalena Pater



miczne w Bydgoszczy. Po czwartej klasie mieliśmy praktyki. Wybrałam Chodzież z uwagi na bliskość Koszalina, ale i Bydgoszczy. Week-endy mogłam spędzać z rodziną. Podczas studiów powtórzyłam ten wybór. Z fabryką w sumie związana byłam przez trzydzieści lat.

Z czego przygotowała Pani dyplom na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu?

– Z dwóch tworzyw – porcelany i kamionki. Porcelanę w Chodzieży, kamionkę realizowałam w Zakładach Ceramicznych w Bolesławcu. Był to rezultat smakowania i poszukiwania, co dają inne tworzywa. Porcelana to kształt, a kamionka to możliwość zobaczenia, jak ten sam kształt zmienia się, gdy użyjemy kolorowego szkliwa.

Po studiach wróciła Pani do Koszalina czy do Chodzieży?

– Wróciłam i do Koszalina, i do Chodzieży (śmiech). Podliczyłam, że był taki czas, kiedy pół roku spędzałam w Koszalinie, a drugie pół w Chodzieży.

W jakich obszarach współpracowała Pani z fabryką?

– Byłam rezydentką. Jestem przygotowana do projektowania nowych kształtów i odpowiadania na potrzeby przemysłu. Na pewnym etapie skupiłam się na obrazach porcelanowych. Okazało się, że i moi odbiorcy, a szerszej – rynek i przedstawiciele fabryki dostrzegli w tych pracach wartość oryginału. Tego typu linia suwenirów to z jednej strony zwiększenie wagi prezentu poprzez jego status ekskluzywnego dzieła sztuki, a z drugiej strony informacja, że firma myśli szerzej, wspiera artystów.

Były to wyłącznie obrazy porcelanowe?

– Wiem, że królowa Belgii dostała zaprojektowaną przeze mnie biżuterię. Każda moja praca z linii suwenirów była unikatem.

Jakie zapachy zostawiła Pani w Chodzieży?

– Wiele różnych, znowu jeziora, ale też zapachy fabryczne, które towarzyszyły mi cały czas i nigdy ich nie zapomnę. Zapach rozgrzanego pieca.

Jak przyjęła Pani informację o zamknięciu fabryki?

– Podobnie jak wszyscy chodzieżanie, nie mogłam w to uwierzyć. Fabryka stworzyła Chodzież, miasto rozwinęło się dzięki fabryce, która powstała w 1852 roku. Pracowały tam rodziny, pokolenia i nagle

okazało się, że zakładu nie ma i nie będzie. O zamknięciu zdecydowały wysokie koszty produkcji, w tym bardzo wysokie ceny gazu. Piece ceramiczne opalane są gazem.

Czy to prawda, że od wielu lat pracowali w trybie ciągłym?

– Stare piece tunelowe nie były wygaszane od ponad dwudziestu lat. Przechodziły przeglądy, ale pracowały całą dobę. Pracownicy fabryki mówili mi, że gdyby wygasić piec, naprężenia towarzyszące studzeniu kształtek, z których jest zbudowany, mogłyby to spowodować pęknięcia i zniszczenie wymurówki wewnętrznej pieca. W sierpniu ubiegłego roku piece zostały jednak wygaszone. Wypaliłam w nich ostatnie moje projekty porcelanowe.

Po roku Pani emocje są mniejsze?

– Zamknięcie fabryki było dla mnie zaskoczeniem. Chodzież była moim drugim miejscem pracy twórczej, pierwsze mam tutaj. Inaczej pracuje się bezpośrednio w fabryce, mając dostęp do dużych przemysłowych pieców. Tak, to było coś niespodziewanego, z czym musiałam się pogodzić. Teraz emocje są uspokojone, wiadomo, że coś jest po coś. Koniec jednego to początek następnego, musiałam więc otworzyć nowy rozdział swojego życia.

Co dzisiaj może Pani powiedzieć o tym nowym rozdziale?

– Jestem gotowa na zmiany. Podobnie jak bieguni, bohaterowie książki Olgi Tokarczuk, „wyruszyłam w podróż”, bo tylko ruch daje możliwość zrozumienia rzeczywistości i poczucie ładu w wszechświecie.

Z jednej strony jubileusz trzydziestolecia pracy artystycznej, z drugiej – zamknięcie fabryki w Chodzieży. Czy dowiedziała się Pani o sobie czegoś nowego?

– Tak. Czuję, ale nie wszystko potrafię nazwać. Przyglądam się zmianom, przewartościowaniu. Trzecim elementem jest pandemia, z którą musimy żyć. Wszystko przetykane jest emocjami i przemysleniami, ale też ze sobą spójne; mam do czynienia z ogromem treści, a teraz, zamiast oddechu na koniec roku, pandemia przybrała na sile i pojawiły się nowe, wcale nie mniejsze i nie łatwiejsze, emocje.

Najważniejsze w tych emocjach wydaje się pytanie: co dalej?

– Gdy rozmawiamy, kiedy pracuję twórczo, spotykam się z ludźmi, staram się być tu i teraz. Bardziej niż dotychczas, ponieważ pandemia pokazała nam, że nie ma nic trwałego, stałego. Nic nie jest



Wystawa *Artyści w pandemii*, CK 105

nam dane na wieczność. Stąd moja większa uważność czasu i tego, co do nas przychodzi. Po okresie wyciszenia na początku pandemii zaczęłam intensywnie pracować, a teraz coraz konkretniej myślę o dalszej realizacji projektu, który zaplanowałam na trzydziestolecie pracy twórczej.

Co to będzie?

– Pomysł zrodził się, kiedy pięć lat temu powstawały ostatnie prace do poprzedniej wystawy – *Zapach zapamiętany*. Dzisiaj praca odbywa się w innym tempie i nakłada się na nią wiele wydarzeń, znaków czasu. Nie jest łatwa, przez to może bardziej osobista. Temat: dźwięki zapamiętane. Dotyczy to również dźwięków rzeczy, które wychodzą z użycia. Za wiele nie chcę na razie zdradzać.

Czyli dźwięki jako uzupełnienie zapachów?

– W jakimś sensie kontynuacja, tak. Od strony warsztatowej skupiam się na jednym kolorze – kobalcie. Historia zatacza koło, wracam do kobaltu, od którego zaczynałam pracę. Kobaltem malowałam wzory na porcelanie, później przyszły inne tlenki, wszystkie, które wytrzymują temperaturę wypалу porcelany i są dostęp-

ne finansowo (uśmiech). Dla przykładu kobalt ma w zakupie cenę złota.

Wydaje się, że ceramika nie przechowuje zapachu. Jednak zapach stał się dla Pani inspiracją do stworzenia wystawy. Skąd ta zależność?

– Zapach pojawia się z pierwszym naszym oddechem po urodzeniu i towarzyszy nam do ostatnich dni. Zapach to wyjątkowy temat. Wymagał więc i wyjątkowego tworzywa do realizacji. Uznałam, że opowiadanie o zapachu przy użyciu tradycyjnego warsztatu malarzkiego to za mało. Intuicyjnie wybrałam porcelanę. Można oddziaływać na odbiorcę fakturą, matem, błyskiem, przeświecalnością, kolorem.

Czy ceramika jeszcze skrywa przed Panią jakieś tajemnice?

– Tajemnice tkwią w każdym tworzywie. Ceramika to gliny ceglarskie, kaflarskie, kamionkowe, półporcelana i porcelana, która – z uwagi na najlepsze właściwości techniczne i dużą wytrzymałość mechaniczną i chemiczną – znajduje się na szczycie tej drabiny. Porcelana daje największe możliwości warsztatowe.

Czy technologia pozwala każdy pomysł przenieść na konkretny akt twórczy?

– Technologia może przeszkadzać, dlatego na etapie pomysłu, myśląc przez pryzmat wiedzy i doświadczenia, biorę uwagę wszystkie ograniczenia technologiczne. Jednym z moich pomysłów na organizację Ogólnopolskich Plenerów Ceramicznych w Fabryce Porcelany w Chodzieży było to, żeby zapraszać artystów również niemających na co dzień do czynienia z ceramiką – malarzy, rzeźbiarzy, grafików – i przekonać się, co i w jaki sposób myślą o tym tworzywie. Czyli bez ograniczeń technologicznych. Były to spotkania pełne wzajemnych inspiracji i wielu ciekawych odkryć.

Piece, temperatury, ciężary – to skojarzenia z warsztatem ceramicznym. Jak pani sobie z tym wszystkim radzi fizycznie?

– Ceramika jest trudnym warsztatem. Jeżeli czułam, że coś powinno być w wymiarze XXL, to bez względu, ile to wymagało wysiłku, powstawała praca w tym wymiarze. Czasami zakasanie rękawów to za mało (śmiech). Trzeba przebrać się w specjalny strój roboczy, który przede wszystkim jest praktyczny i bezpieczny.

Jaki jest Koszalin w Pani spojrzeniu na portret miasta?

– Chyba nie potrafię być obiektywna. Na Koszalin patrzę z miłością, to moje miasto rodzinne. Dużo w nim historii, zapachów. Pamiętam zapach chmielu z browaru i słodkości z fabryki cukierków. Zapach morza, bo na spacer zawsze jadę nad morze. Zapach parków i przestrzeni zielonych. Koszalin to gobelin utkany z różnych zapachów. Gdybym miała wybrać porę roku, gdy jest najpiękniejszy, wybrałabym wiosnę, no i jesień.

Co jest najważniejsze i najtrudniejsze w procesie tworzenia ceramiki?

– Wszystko jest istotne. Pomysł, proces twórczy i efekt finalny w postaci konkretnego dzieła.

Czyli ogień jest najważniejszy?

– Tak, ale dopiero po użyciu tworzywa ceramicznego. Jeżeli użyję nieodpowiedniego, spłonie w ogniu. Wszystko to jest kompletne. Wymaga myślenia tworzywem, bo pewne efekty można osiągnąć poprzez zabiegi formalne. Istotny jest również sam warsztat, musi być miejscem odpowiednio przygotowanym. Warsztat, czyli także piec. Ważne jest posiłkowanie się

innymi dziedzinami sztuki: malarstwem tradycyjnym, technikami graficznymi. Nie tylko ogień, chociaż bez ognia nic nie powstanie.

Jak zmienia się to, co trafia do pieca, wobec tego, co z pieca wychodzi?

– Pyta pan, jak bardzo to się od siebie różni? Bardzo (śmiech). Jak najdokładniej przygotowuję to, co trafia do pieca, ale ostatecznego rezultatu wypału nie znam, ponieważ nie wszystko da się przewidzieć. Zdarzało mi się w przeszłości wyrzucać to, co wypaliłam, ponieważ rezultat mnie nie zadowalał. Relacje barwne przed wypałem są różne od tych po wypale. Znaczenie ma rodzaj pieca, miejsce ustawienia w nim pracy, kwestia błysku i matu. Wiele rzeczy trzeba nauczyć się przewidywać.

Jakie są Pani rytuały przed rozpoczęciem pracy?

– Zanim zabiorę się do pracy, w pracowni musi pojawić się przestrzeń i ład. Przy tym, to, co robię, jest niezwykle osobiste, chodzę z pomysłem, echem w środku tak długo, aż poczuję zarys, ramy tego, co chcę stworzyć. Muszę wejść w dialog ze światłem. Spaceruję nad morzem, tam myśli mi się najlepiej, spotykam się z ludźmi, rozmawiam. Wreszcie powstaje szkic w tworzywie, pojawia się przestrzenność i światłości.

Jak wygląda Pani warsztat pracy?

– Najważniejszy jest stół; to miejsce szczególne. Nie potrafię pracować na małym stole, wtedy czuję się ograniczona (śmiech). Więc mój stół ma dwa metry na półtora. Szkicownik, kartka, tworzywo. Budowanie nastroju poprzez muzykę i zapach: jabłek, kwiatów, igliwia.

Po trzydziestu latach pracy artystycznej, dla Pani ceramika to...

– ...wieczny niedosyt i wieczne wyzwanie, nienasycenie, ale przede wszystkim pasja życia. Ciągle mam nowe pomysły. Gdybym miała jeszcze raz wybrać drogę twórczą, wybrałabym dokładnie to samo.

Kiedy odbędzie się Pani wystawa jubileuszowa?

– Planowałam ją na 2020 rok, przez pandemię nic z tego nie wyszło. Mam nadzieję, że uda się w następnym roku. Tytuł roboczy to *Dźwięki zapamiętane*, nie wiem, czy taki pozostanie. Wszystko jest nieustannym procesem.

Pożegnaliśmy Edwarda Rokosza

22 sierpnia 2020 roku odszedł Edward Rokosz, malarz, grafik, rysownik i rzeźbiarz. Człowiek wielkiego serca i ogromnej wyobraźni.

Gdy organizował wystawy, jakby emocjonalnie zawieszał się w czasie i przestrzeni. Ze skrupulatnością i w sobie tylko znanym układzie symboli i znaczeń wypełniał wnętrza drewnianymi i metalowymi rzezbami. – Prace, choć czasami wykonywane nawet niedostrzegalnie, a jednak pożądane i oczekiwane przez świat: ludzi, otoczenie, podmioty, pomimo tej cechy wibrują w harmonii ze wszystkim, w co jesteśmy lub od czego powstrzymujemy się, nie zawsze świadomie – wyjaśniał intencje swoich dokonań twórczych. – Nawet, jeżeli na zewnątrz tego, co jest aktem, nie pojawia się żadna reakcja, to, co powstaje samo w sobie, pozostaje reakcją.

Specjalność: malarstwo ścienne

Edward Rokosz urodził się w 1946 roku. Szkołę średnią artystyczną im. Antoniego Kenara w Zakopanem ukończył w 1966 roku. W 1972 roku otrzymał dyplom Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku na wydziale malarstwa i rzeźby (specjalność: malarstwo ścienne).

Do Koszalina przyjechał w 1974 roku. W grupie twórczej przygotowywał projekty i realizował prace w technikach ściennych (np. sgraffito). Niestety, większość z nich nie przetrwała, ponieważ powstawały na ścianach budynków. Zanim wyemigrował z kraju, dwukrotnie – w 1974 i 1975 – uczestniczył w Międzynarodowych Spotkaniach Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach. Jak wspominał, mniej więcej wówczas zakochał się w Koszalinie i Pomorzu Zachodnim. W 1980 roku wyjechał do Berlina Zachodniego. Tam, już jako członek związku artystów w Niemczech, uczestniczył w prezentacjach.



Fot. Archiwum AKK

Przez pryzmat wyobraźni

We wrześniu 1985 roku Niemcy zamienił na USA. Mieszkał w kilku stanach: Nowy York, Virginia, Kalifornia, Floryda i Północna Karolina. Brał udział w wystawach zbiorowych i indywidualnych. Przez ponad 26 lat pracował w Karolinie, zajmując się konserwacją zabytków. Po otwarciu własnej firmy realizował zlecenia prywatne i instytucjonalne.

Brał udział w konkursach, projektował rzeźby w miejscach publicznych (parkach i innych obiektach). Zdobywał nagrody i wyróżnienia. – Głównym zagadnieniem poruszonym w moich pracach jest rytm i przepływ ruchu – opowiadał. – Trudno powiedzieć, które medium jest moim ulubionym. W pewnych okresach czuję, że jedno przyciąga mnie ku sobie bardziej niż inne. Rzadko nadaję tytuły moim pracom. Ważne jest dla mnie, aby widz odbierał sztukę poprzez pryzmat własnej wyobraźni, nie będąc pod wpływem moich interpretacji.

Rozmowy o sztuce

Brak tytułu – w ocenie artysty – otwierał drogę do dialogu. – Ostatecznie sztuka ma wywoływać reakcję, niezależnie jaką – przypominał. – Te rozmowy powodują, że sztuka żyje.

W 2017 roku wraz z żoną, Amerykanką Sarą Berman-Rokosz, wrócił do Polski. Przywiózł ze sobą prace i dokumentację działalności. Zamieszkali nad Bałtykiem – w Łazach pod Koszalinem. – W pięknym i przestronnym domu przy drodze głównej – mówi Henryk Zabrocki, prezes koszalińskiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, który przyjaźnił się z artystą. – Mieli w nim dwie pracownice, ponieważ Sara zajęła się tworzeniem ceramiki unikatowej, miejsca ekspozycji i magazyn prac dzieł Edwarda. Oboje tęsknili za spotkaniami i rozmowami o sztuce. Edward szukał nowych pól realizacji swoich wizji artystycznych. Tworzył monumentalne i majestatyczne rzeźby, malował szybko, mimo iż wykonanie każdego obrazu wymagało niesamowitej precyzji.

W kulcie ekspresji

W maju 2018 roku w koszalińskiej Galerii na Piętrze artysta pokazał przekrojową wystawę swoich prac malarskich i rzeźbiarskich. Wernisaż przyciągnął tłumy.

Jadwiga Kabacińska, właścicielka galerii, powiedziała o Edwardzie Rokoszu (cytat za magazynem „Prestiż”): – Wyniósł z nauk kult dobrej malarskiej ekspresji, wiarę w rozstrzygające wątpliwości świadectwo oka, eksperymentatorski niepokój, młodzieńczą zapalczywość, ciekawość nowych form i funkcji artystycznego przekazu. Jego twórczość jest szczególnego rodzaju. Artysta nie tylko szuka wartości formalnych, ale przykładów poznawczej analizy świata i człowieka, konstrukcyjnej myśli i emocjonalnego działania. Drąży naturę i sonduje wewnętrzne światy psychiki ludzkiej.

W październiku 2018 roku, w Delegaturze Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie, została zaprezentowana wystawa fotosów Edwarda Rokosza, dokumentująca dzieła powstałe oraz szkice prac, które powstały lub miały powstać.

Trzeci wymiar sztuki

Sara Berman-Rokosz jest tancerką, choreografką, nauczycielką tańca, performerką i terapeutką Mindful Biodynamics. Tańcem uzupełniała i uświetniała wernisaże męża.

Edward Rokosz mówił: – Sara do mojego wymiaru sztuki dodaje własny, który staje się drugim, a następnie te dwa – ruch i taniec oraz obrazy i rzeźby – tworzą wymiar trzeci. Nasz wspólny.

W 2019 roku Sara i Edward przyjęli zaproszenie Henryka Zabrockiego do udziału w obchodach 100-lecia TPD. Podczas gali październikowej artysta zaprezentował w holu Filharmonii Koszalińskiej obszerną wystawę swoich prac. Sara zatańczyła, mając w tle fotosy dzieł męża.

Planował otworzyć w Łazach autorską galerię sztuki, być może podwójną. Zostawił po sobie gigantyczny dorobek. Miał 74 lata. Zgodnie ze swoją ostatnią wolą, pochowany w USA.

BTD: Grali mimo wszystko

Mimo trudności, obostrzeń wprowadzanych chaotycznie i często na ostatnią chwilę, Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego (BTD) starał się pracować normalnie. Choć słowo „normalnie” wydaje się w tej sytuacji nadużyciem.

W 2020 roku placówka przeszła: jeden lockdown, ograniczenie widowni do połowy, kolejne ograniczenie do 25 proc., aż w końcu drugi lockdown. W krótkich momentach, kiedy pandemii jeszcze w Polsce nie było, a następnie, gdy można było wystawiać mimo jej trwania, Bałtycki Teatr Dramatyczny zrealizował pięć premier. Było różnorodnie, momentami kontrowersyjnie i wzruszająco.

Zakała tego roku

Spektaklem, który 4 stycznia otworzył 2020 rok w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym, była *Zakała* w reżyserii Zdzisława Derebeckiego. To farsa Fransisa Vebera, której głównym bohaterem jest Francois Pignon (w tej roli Wojciech Kowalski), znany koszalińskim widzom z innej farsy – *Kolacji dla głupca*, również reżyserowanej przez dyrektora teatru.

Tym razem tytułowy bohater, życiowy nieudacznik Pignon, ma zrobić zdjęcia świadkowi koronnemu, który będzie zeznawał przeciwko szefom przestępczego świata. Jednocześnie przeżywa zdradę żony (Adrianna Jendroszek) i planuje ją odzyskać z ramion jej psychoterapeuty (Marcin Borchardt). W tym samym hotelu, w pokoju obok, melduje się Ralf (Wojciech Rogowski), który też ma „upolować” świadka koronnego, ale... dosłownie. Pokoje obu panów połączone są drzwiami, których każde otwarcie – jak to w farsie – wywołuje jeszcze większe poplątanie historii.

Historia bardzo przewidywalna, pełna oklepanych gagów, niezbyt wysokich lotów scen o dwuznacznym zabarwieniu (gejowskie podteksty są przecież takie zabawne), za długich monologów, prze-

widywalnych zdarzeń i humoru na, delikatnie mówiąc, umiarkowanym poziomie. Kwintesencją przedstawienia jest „najkrótszy dowcip świata”, po usłyszeniu którego miałem wrażenie, że amatorski stand-up to przy tym kultura wysoka.

Aktorzy się starali. Wojciech Kowalski i Wojciech Rogowski, obecni na scenie przez cały spektakl, dawali z siebie wszystko, ale podobnie, jak krawiec kraje, jak mu materii staje, tak i aktorzy grają, jak im tekst i reżyser pozwalają. W przedstawieniu, oprócz wspomnianych już aktorów, pojawiają się także: Jacek Zdrojewski i dawno niewidziany na koszalińskich deskach Leszek Żentara.

Jak za dawnych lat

Na kolejną premierę koszalińscy widzowie musieli czekać aż pół roku. 13 czerwca na Dużej Scenie zadebiutowało przedstawienie zatytułowane *Miłość, nostalgia i Rock & roll* – autorski projekt trojga aktorów: Adrianny Jendroszek, Wojciecha Kowalskiego i Jacka Zdrojewskiego.

Scenariusz tego muzycznego spektaklu zainspirowało życie. Oto poznajemy pewną polską rodzinę, być może grupę znajomych, która zaczyna urozmaicać sobie czas spędzany w izolacji. W domowym zaciszu stają się gwiazdami opolskiego festiwalu z lat 80. Adrian Jendroszek we włosach pofalowanych tzw. gofrownicą i długiej balowej sukni zapowiada gwiazdy, które mają wystąpić na scenie. Jest niczym Krystyna Loska albo Bogumiła Wander. Fakt, że mamy do czynienia z imprezą sprzed 40 lat, podkreśla nie tylko doskonale znany sygnał, rozpoczynający Krajowy Konkurs Piosenki Polskiej w Opolu, ale też obecność... paprotki.

Ze sceny wybrzmiewają między innymi doskonale znane przeboje Maryli Rodowicz, Kory Jackowskiej i Maanam czy Krzysztofa Krawczyka. Nic dziwnego, że publiczność nie tylko podśpiewywała pod nosem, ale też gromko oklaskiwała każdą kolejną piosenkę.

Twórcy przedstawienia, i zarazem odtwórcy ról, zonglują nastrojami. Tytuł nie kłamie: jest nostalgicznie, jest o miłości (także tej



Żeby umarło przede mną



nieszczęśliwej), jest też dawka rock & rolla. Nie wszystko jest doskonałe. Nie każdy dźwięk się udał. Ale to nieważne. To przedstawienie nie musi być doskonałe. Ono jest o nas, a my nie jesteśmy doskonali.

35 lat na scenie

Prapremiera *Audiencji IV* napisanej przez Bogusława Schaeffera miała miejsce 22 października 1976 roku. Po 44 latach z materiałem tym postanowił zmierzyć się Piotr Krótki, obchodzący 35-lecie swojej pracy artystycznej. Właśnie dlatego premierze jego monodramu, która miała miejsce 18 września, towarzyszył benefis artysty.

Widzowie *Audiencji IV*, zrealizowanej w całości przez Piotra Krótkiego, biorą udział w akademickim wykładzie, poświęconym współczesnej muzyce. Momentami można odnieść wrażenie, że uczestniczy się w prawdziwym wykładzie dla studentów – nie tylko z powodu dużej ilości specjalistycznej wiedzy, terminów i nazwisk, ale też z powodu dłużyzn, podczas których myśli uciekają gdzieś poza salę wykładową.

Monodram to wyjątkowo trudna sztuka. Piotr Krótki tym spektaklem udowadnia, że jest artystą dojrzałym i wszechstronnym. Niemal w jednej chwili jest wesoły i smutny, młody i stary, hetero i homo. *Audiencja IV* wymaga od niego nie tylko częstego i dynamicznego przeistaczania się, ale też gry przy bardzo skromnych rekwizytach i dekoracji. Choć 35-lecie pracy dla wielu to czas podsumowań i kończenia kariery, pozwalam sobie w imieniu koszalińskich widzów napisać: Piotrze, nie planuj emerytury. Chcemy więcej!

Prorocze przedstawienie

19 września Bałtycki Teatr Dramatyczny zaprosił na premierę *Żeby umarło przede mną* na podstawie wstrząsającego reportażu Jacka Hołuba pod tym samym tytułem. Inscenizację wyreżyserowała Daria Wiktoria Kopiec, znana naszej widowni z 9. Koszalińskich Konfrontacji Młodych m-teatr w 2018 roku. Wygrała je spektaklem *Zakonnice odchodzą po cichu*.

Reportaż to zbiór historii matek wychowujących dzieci z niepełnosprawnością, dla których nie ma ratunku – pozostaną dziećmi do końca swych dni. Do śmierci będą potrzebowały pomocy przy wykonywaniu nawet najprostszych czynności: myciu, jedzeniu, załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Autor pokazał, co matki takich dzieci przeżywają na co dzień, ile muszą znieść i jak bardzo poświęcić się dla swoich pociech. Bardzo rzadko słyszymy ich głos,

najczęściej nie szukają uwagi mediów, gdyż zwyczajnie nie mają na to czasu i siły.

Daria Wiktoria Kopiec i Martyna Lechman, dramaturżka, zaczynają swoje przedstawienie od dużej dawki statystyk, związanych z budowaniem relacji damsko-męskich. W tle pojawia się wizja narodzin dziecka. Im bardziej realna się staje, tym bardziej nabieramy przekonania, że pociecha nie będzie zdrowa. Przychodzi na świat dziecko nadpobudliwe, opóźnione intelektualnie, głośnie, agresywne. Słowem: wymagające nieustannej opieki. Scenografia w wykonaniu Matyldy Kotlińskiej jest symboliczna, stanowi drobny akcent, pozostawia aktorów sam na sam z widzem. W roli matki oglądamy niezwykle utalentowaną Beatę Niedzielę. Ona nie gra matki chorego dziecka. Ona nią jest! Ani przez chwilę nie oglądamy aktorki – widzimy matkę. Wraz z nią chce się płakać, wrzeszczeć z bezsilności, przytulić ją.

Próbą aktorskiego warsztatu jest też rola dziecka (Adrianna Jendroszek). To postać, którą bardzo łatwo przerysować, sprawić, że nie będzie prawdziwa albo stanie się śmieszna. Młoda aktorka doskonale rozumie to ryzyko i perfekcyjnie trzyma się w ryzach. Widz wie, że widzi aktorkę, ale jednocześnie chore dziecko.

W spektaklu oglądamy też Marcina Borchardta w roli męża i ojca – tu wyjątkowo pozostającego z rodziną na dobre i na złe. Życie rzadko pisze takie scenariusze. W postać zdrowego dziecka, będącego w cieniu niepełnosprawnej siostry, wciela się Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska. Kilka ról, między innymi nieczułego lekarza, gra Wojciech Kowalski.

To przedstawienie trzeba zobaczyć. Zwłaszcza teraz, gdy spór o tzw. kompromis aborcyjny rozgorzał na nowo. Premiera spektaklu w Koszalinie miała miejsce na miesiąc i trzy dni przed wydaniem kontrowersyjnego wyroku przez Trybunał Konstytucyjny, który zdecydował, że aborcja ze względu na ciężkie i nieodwracalne uszkodzenia płodu jest niezgodna z Konstytucją. Orzeczenie to sprawiło, że na ulice miast i miasteczek w całej Polsce, a nawet za granicą, wyszły setki tysięcy ludzi, nie tylko kobiet. To przedstawienie trzeba zobaczyć, żeby choć spróbować zrozumieć, jakim heroizmem musi wykazać się rodzina, decydując się na urodzenie niepełnosprawnego dziecka. To przedstawienie trzeba zobaczyć, żeby uświadomić sobie, jak bardzo te rodziny są pozbawione jakiegokolwiek pomocy państwa, gdy kończy się tzw. ochrona życia poczętego, a zaczyna... No właśnie: życie czy wegetacja i próba przetrwania kolejnego dnia?



Piosenki neapolitańskie. Recital

inf. iat. rogowski



Miłość, nostalgia i Rock & roll

inf. iat. rogowski



Audiencja IV

iza rogowska

Włoskie śpiewanie

24 października w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym odbyła się premiera spektaklu *Piosenki neapolitańskie. Recital* w reżyserii i wykonaniu Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej oraz Katarzyny Ulickiej-Pydy, z powodu licznych odwołanych spektakli przez wiele miesięcy niewidzianej na koszalińskiej scenie.

Przedstawienie, którego poszczególne elementy łączy tekst autorstwa Tomasza Ogonowskiego, czytany przez Wojciecha Kowalskiego, to muzyczna podróż do Neapolu. Piosenki wybrzmiewające ze sceny przepełnione są miłością, tęsknotą, cierpieniem i niemal filozoficzną mądrością. Tradycyjne, komponowane i śpiewane na ulicach, podwórkach i w tawernach Neapolu opowiadają o niespełnionych miłościach, rozstaniach i powrotach, zabawnych sytuacjach i trudnych rodzinnych relacjach.

To też kolejny raz, kiedy możemy się przekonać, jak wielkim talentem muzycznym dysponują Żanetta Gruszczyńska-Ogo-

nowska i Katarzyna Ulicka-Pyda. Ich głosy są tak ze sobą zgrane, że zamykając oczy, można stracić orientację, która z pań śpiewa.

Warto dodać, że przedstawienie, w którym główną rolę grały piosenki neapolitańskie, można było zobaczyć i usłyszeć na koszalińskiej scenie w 2003 roku. Wtedy Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska wraz z Agnieszką Pawlak zagrały w inscenizacji *Neapol rendez-vous 19:03* w reżyserii Pawła Szumca.

Pechowa bajka

Ostatnią premierą 2020 roku miała być japońska baśń *Kazuko*. Data premiery raz już była przekładana (z marca na listopad 2020). Ekipa w trakcie ostatnich prób dowiedziała się, że znów premiera nie dojdzie do skutku z powodu „kulturalnego lockdownu” (premię spektaklu odbyła się w marcu 2021 roku – dop. red).

Pozostaje nam tylko czekać na lepsze czasy dla kultury.

Dialogowe premiery, goście i pandemia

Na 2020 rok Teatr Propozycji „Dialog” przygotował wyjątkowo bogatą ofertę programową pełną spektakli teatralnych – własnych i gościnnych – spotkań, konkursów i koncertów. Przygotowano także warsztaty teatralne i literackie. Niestety, lockdown skutecznie pokrzyżował ambitne artystyczne zamierzenia. A jednak sympatycy sztuki teatralnej i wierna dialogowa publiczność mają powody do satysfakcji, bo wiele z podjętych – wbrew pandemii – programowych inicjatyw zasługuje z pewnością na miano artystycznych wydarzeń.

W lutym 2020 roku odbyła się pierwsza z wielu zaplanowanych dialogowych premier. Spektakl *Marzyciel z Koszalina*, oparty na twórczości poetyckiej Jana Kuriaty, miał rozpocząć cykl prezentacji teatralnych przybliżających poetycką i prozatorską twórczość koszalińskich literatów. Spektakl okazał się rozpisany na wiele aktorskich głosów refleksyjnym dyskursem o sprawach, zjawiskach i emocjach bliskich każdemu człowiekowi, a warto dodać, że w poetyckim świecie Jana Kuriaty króluje miłość, która jednak ma różne odcienie. Czasami nawet – jak pisze poeta – „bywa w złym humorze”. Ale takie chwile szybko mijają i wówczas „marzyciel z Koszalina” ponownie może wędrować „z księżycem pod ramię”.

Ponowne spotkanie z twórczością Jana Kuriaty – tym razem prozatorską – uświetniło uroczyste otwarcie nowego sezonu artystycznego w „Dialogu”, które odbyło się 17 września. Opowiadanie koszalińskiego twórcy zatytułowane *Kłamstwo* stało się kanwą poruszającej teatralnej opowieści o sile pamięci i moralnych dylematach związanych z okrutnym czasem wojny. Autorem scenariusza i reżyserem przedstawienia był Mirosław Krom, który również błyszczał talentem aktorskim. Obok niego na scenie wystąpili dialogowi



Nie lubię pana, Panie Fellini

Fot. Magdalena Pater

aktorzy, którzy doskonale wpisali się w materię gęstego od moralnych rozterek spektaklu. Wśród nich znalazła się trójka bardzo obiecujących debiutantów.

Artystycznym wydarzeniem okazała się październikowa premiera poetycko-muzycznego spektaklu *Pustka i światło* wyreżyserowanego przez Jerzego Litwina. Inspiracją tego wzruszającego widowiska okazała się twórczość koszańskiej plastyczki, Greta Grabowskiej. Artystka przez kilka lat poszukiwała śladów dawnych synagog na Pomorzu, a poszukiwania zaowocowały cyklem monochromatycznych kolaży, oddających energię i duchowość tych miejsc. Wystawa prac współtworzyła niezwykle klimat spektaklu złożonego z wierszy m.in. Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego, Jacka Kaczmarskiego, Władysława Szlengela, Michała Wodzińskiego, Martina Niemolera, Natana Tennenbauma i Wiktora Woroszyńskiego oraz pięknej ilustracji muzycznej wybranej przez Małgorzatę Litwin.

Colas Breugnon i... pandemia

W sierpniu Dialog zaprosił publiczność na premierę monodramu *Równowaga* opartego na powieści *Colas Breugnon* francuskiego noblisty Romain Rollanda. Okazało się, że zaliczana do najbardziej optymistycznych w dziejach literatury powieść jest zaskakująco współczesnym komentarzem do trudnego czasu pandemii... Spektakl wyreżyserowali Walentyna Trybocka i Mirosław Krom, który po raz pierwszy w swej aktorskiej biografii zmierzył się z najtrudniejszym spośród scenicznych gatunków – monodramem. Swojej wizji klasycznego literackiego arcydzieła twórcy spektaklu nadali kształt wzruszającego, zabawnego widowiska, wzbogaconego nastrojową muzyką i sugestywną grą światła. Stworzyli poruszający spektakl, w którym teatr ciepłych emocji spotyka się z teatrem filozoficznej, głęboko humanistycznej refleksji.

Wielkim atutem spektaklu jest również znakomita kreacja aktorska Mirosława Kroma. Doświadczony dialogowy aktor okazał się idealnym odtwórcą jakże bogatego wewnętrznie bohatera, emanującego humorem i witalnością. Wykreowany przez niego Colas Breugnon – to najprawdziwszy „Burgund rzetelny”! Mirosław Krom buduje postać swojego bohatera z perfekcyjną dokładnością. Mistrzowsko operuje gestem, głosem, uśmiechem i spojrzeniem. Podbija serca publiczności swoją sceniczną ekspresją, kreując namalowany pięknymi barwami fascynujący i bardzo wiarygodny portret człowieka wrażliwego, szczerego, sympatycznie rozwidzionego.

Wybitne literackie dzieła zachwycają nie tylko tematyką i formą,

ale także uniwersalnym, ponadczasowym wymiarem. Nie inaczej jest w przypadku powieści *Colas Breugnon*. Bo chociaż słoneczna Burgundia nieco odbiega od nadwiślańskich realiów, to uczucia towarzyszące ludziom przeżywającym pandemię, wciąż pozostają takie same: lęk, niepewność, obawa o los najbliższych, poczucie osamotnienia, zachwianie wewnętrznej równowagi. Jak radzić sobie z tymi negatywnymi emocjami i zachować wewnętrzny spokój? Na te pytania odpowiedziała psycholog Izabela Habdas, która po zakończeniu spektaklu spotkała się z dialogową publicznością. Ten wartościowy – zarówno artystycznie, jak i społecznie projekt – został sfinansowany przez Koszańską Agencję Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Społecznik – Na Ratunek.

Znakomici goście

W artystycznej ofercie Teatru Propozycji „Dialog” znalazły się również znakomite spektakle gościnne. Pierwszym z nich był monodram *Diva* w wykonaniu Wiolety Komar, wielokrotnie nagradzanej aktorki związanej ze słupskim Teatrem Rondo. Reżyserem spektaklu jest słupski mistrz monodramu – Stanisław Miedziewski.

Swoistym „znakiem firmowym” tego wspaniałego tandemu jest wysmienite aktorstwo, pełna inwencji, a jednocześnie niezwykle precyzyjna reżyseria oraz mistrzostwo w umiejętności kreowania nastroju. Poruszająca jest także tematyka *Divy*. Oglądaliśmy wstrząsającą historię o walce z demonami przeszłości. Walce z góry skazanej na klęskę. Bowiem od wspomnień nie można się uwolnić...

Bohaterką spektaklu jest piękna Nora, którą poznajemy jako znakomitą śpiewaczkę operową o światowej sławie. Jednak w trakcie opowieści odsłania się jej przerażająca, skrzętnie skrywana przeszłość. Olśniewająca „primadonna assoluta” jest bowiem Żydówką, której udało się przeżyć piekło Holokaustu. Rola Nory, kobiety tak niejednoznacznej i tak okrutnie skrzywdzonej, należy do niezwykle trudnych. Wioleta Komar, którą znamy z wielu poruszających kreacji, także i tym razem doskonale poradziła sobie z bardzo trudnym aktorskim zadaniem. Wiarygodnie pokazuje spustoszenia, jakie Holokaust pozostawił w psychice osoby ocalonej. Zachwyca również umiejętnością zmiany scenicznego wizerunku. Z kapryśnej gwiazdy w mgnieniu oka potrafi przeistoczyć się w śmiertelnie przerażoną kobietę. Krucha i delikatna, nagle eksploduje prawdziwym cierpieniem, by po chwili znów założyć swoją maskę dumnej operowej primadonny. Lecz ta maska często pęka, bowiem wspomnienia potrafią powracać ze straszliwą siłą.



Marzyciel z Koszalina



Doktor Miłość



Kolejnym, znakomitym, spektaklem gościnnym był monodram *Nie lubię pana, Panie Fellini* w reżyserii Marka Koterskiego, w znakomitym wykonaniu Małgorzaty Bogdańskiej. Spektakl wpisał się w obchody ważnego dla europejskiej kultury wydarzenia – 100. rocznicy urodzin Federico Felliniego, wielkiego wizjonera kina artystycznego. Tekst to historia niezwykle miłości, ale bohaterowie także są wyjątkowymi osobowościami. Bowiem zarówno Federico Fellini, wspaniały, obdarzony wielkim talentem i niepokromioną wyobraźnią włoski reżyser, jak i jego żona – wielka aktorka Giulietta Masina, należeli do kalejdoskopu gwiazd, o których nie można zapomnieć.

Dzieje tej wyjątkowej love story, w której prawda życia nieustannie splata się z prawdą ekranu, poznajemy podczas spektaklu z perspektywy kobiety – jednocześnie zakochanej i trzeźwo patrzącej na obiekt swojego uczucia. Z pewnością nie jest łatwo oddać na scenie tę szczególną dwoistość uczuć, lecz Małgorzata Bogdańska mistrzowsko wcielając się w postać Giulietty Masiny, mistrzowsko zbudowała wiarygodną psychologicznie postać. Swoją bohaterkę obdarza całą paletą emocji, prezentując w czasie monodramu poruszającą przemianę młodziutkiej, beztroskiej, pełnej nadziei i planów dziewczyny w dojrzałą, doświadczoną przez los kobietę.

Odmiennym w nastroju okazał się muzyczny, pełen błyskotliwego humoru spektakl *Doktor miłość*, napisany, wyreżyserowany i zagrany przez Jana Jakuba Należytego, znanego aktora, barda, sa-

tyryka, artysty estradowego i autora sztuk teatralnych. Jak wyleczyć złamane serce? Odpowiedź na to, jakże fundamentalne, pytanie może przynieść wizyta w gabinecie doktora Miłość. Bowiem nazwisko, podobnie jak szlachectwo, zobowiązuje. Nikogo zatem nie może dziwić fakt, że doktor Miłość leczy w swym psychoterapeutycznym gabinecie serca ranione strzałą Amora.

Scenicznymi partnerkami Jana Jakuba Należytego są dwie aktorki i wokalistki – Ewa Romaniak i Barbara Broda-Malon, które mistrzowsko kreują różne kobiece postacie. Doskonale interpretują także piosenki napisane przez znakomitych autorów tekstów, a jednocześnie wytrawnych znawców kobiecej duszy – Wojciecha Młynarskiego, Jeremiego Przybory, Mariana Hemara, a nawet Juliana Tuwima. Piosenki, których głównym tematem jest oczywiście miłość, zwykle daleka od doskonałości... I to właśnie te, wciąż popularne, piosenki tworzą dramatyczną fabułę spektaklu i pozwalają nam śledzić losy przeżywających emocjonalne zawirowania bohaterek.

Wśród znakomitych gości, którzy w 2020 roku odwiedzili Dialog, była również wspaniała i doskonale znana piosenkarka Krystyna Prońko. Piosenki z repertuaru tej wokalistki na stałe zapisały się w historii polskiej muzyki rozrywkowej. Niestety, pandemia uniemożliwiła zaplanowany na listopad koncert *Cytryna i przyjaciele*, w którym miała wystąpić mistrzyni piosenki poetyckiej, Magdalena Turowska. Na spotkanie z piosenkami z „krajny łagodności” musimy jeszcze poczekać.

Suma wszystkich traum, piknik i farsa w Madrycie

11. Koszalińskie Konfrontacje Młodych „m-teatr”; 19 – 27 września 2020

Z perspektywy kilku miesięcy można śmiało powiedzieć, że Bałtycki Teatr Dramatyczny w Koszalinie (BTD) miał wielkie szczęście. 11. Koszalińskie Konfrontacje Młodych „m-teatr” odbyły się we wrześniu, gdy instytucje kultury przez chwilę mogły być otwarte. Pomimo ścisłego reżimu sanitarnego i zmniejszonej liczby, miejsc na widowni, chętnych na teatralne spektakle nie brakowało.

Rok 2020 całkowicie odmienił naszą rzeczywistość. Pandemia odcisnęła namacalne piętno w codziennym życiu. Na wielu płaszczyznach: społecznych, ekonomicznych oraz kulturowych tworzy nowe podwaliny. Rezultaty tych działań będą w stanie ocenić dopiero przyszłe pokolenia. Zasada dystans/dezynfekcja/maseczka stała się normą i nie ominęła również desek teatru.

Ze względów sanitarnych tegoroczna edycja „m-teatru” odbyła się bez tradycyjnego głosowania publiczności, która do tej pory wybierała najlepszych aktorów oraz przedstawienie. Pokazywano tylko jeden spektakl dziennie. Nie zabrakło za to festiwalowych rozmów w ramach cyklu m-gadugadu-teatr (tym razem nie we foyer, ale na widowni), które tym razem przyciągnęły zaskakująco dużą liczbę odbiorców i były cennym uzupełnieniem tego, co można było zobaczyć na scenie. W dyskusjach wielokrotnie przewijał się wątek nowej rzeczywistości, z którą muszą mierzyć się aktorzy. Największym utrudnieniem, jak podkreślali, jest fakt, że często nie są

w stanie odczytać zza masek mimiki czy reakcji publiczności, a także wyczuć panującą na sali energię.

Do tegorocznego konkursu zakwalifikowano pięć spektakli. Niestety, widzowie obejrzelili tylko cztery. Z powodu kwarantanny jednej z aktorek nie odbył się pokaz *Paszetów do boju!* w reżyserii Nataszy Sołtanowicz z Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku. Wystawiono także sztuki towarzyszące. Pierwszą był premierowy pokaz *Żeby umarło przede mną* w reżyserii Darii Wiktorii Kopiec, zwyciężczyni 9. edycji „m-teatru” za sztukę *Zakonnice odchodzą po cichu*. W tym roku reżyserka zasiadła również w konkursowym jury, obok Adama Karola Drozdowskiego i Zdzisława Derebeckiego. Drugim był monodram *Audycja IV* Bogusława Schaefera w reżyserii i wykonaniu Piotra Krótkiego, aktora BTD. *Związek otwarty* w reż. Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej i Wojciecha Rogowskiego zagrano w zastępstwie *Paszetów*. Na festiwalowe zakończenie wystawiono *Próby* Teatru Polonia w Warszawie, w reżyserii Mikołaja Grabowskiego.

Wydarzeniem okołofestiwalowym, podobnie jak w roku ubiegłym, były warsztaty dziennikarskie dla młodych recenzentów, a także czytanie performatywne – zespół aktorski BTD odtworzył tekst Jana Czaplińskiego *Sienkiewicz Superstar*.

Pomimo małej liczby spektakli różnorodnych, emocji w tym roku nie brakowało. Co zatem udało się zobaczyć? Na pierwszy ogień, bo z istic hiszpańskim temperamentem, wkroczył na scenę zespół z Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze. Robert Kuraś wziął na warsztat *Zielonego Gila*, komedię autorstwa Tirsy de Moliny. To miłosna intryga, w której wykorzystano wątek odwrócenia ról damsko-męskich. Oto zakochana i oszukana Donia Dia-





Piknik pod Wiszącą Skalą

iza rogowska



na (świećta Joanna Wąż) knuje w odwecie spisek na kochanku, Donie Martinie de Ortedze. Wykorzystując męskie przebranie i alter ego – Don Gila, wyrusza do Madrytu, aby dać mu nauczkę. Należy wspomnieć, iż pierwowzorem tej kobiecej roli był słynny Don Juan. Donia Diana to osoba bardzo skuteczna i przebiegła w swych zamiarach. Pomimo piętujących się omyłek, sprawnie lawiruje pomiędzy niewygodnymi pytaniami, niczym pełen gracji koliber unoszący się w powietrzu. W rezultacie jej działań finał przynosi nam potrójne szczęście na ślubnym kobiercu. Jeśli dodamy do tego jedenastu aktorów, którzy w 110 minut z pomocą dwóch inspicjentów śpiewają, tańczą, wykonują niesamowite akrobacje oraz przebierają się w niezliczone kostiumy, otrzymujemy prawdziwy zawrót głowy. Potrzeba ogromnej sprawności i warsztatu, aby z tych składników ukręcić spektakl na tyle smaczny, by nie odbił się widzowi czkawką. I to się Robertowi Kurasiowi udało. Na uwagę zasługuje choreografia wykorzystująca elementy flamenco i paso doble. Nieco futurystyczne, przypominające origami, kostiumy są ważnym elementem przedstawiania. Ich soczyste, energetyczne barwy doskonale skomponowały się z dość prostą scenografią.

W zupełnie inny klimat wprowadziła widzów Ewa Rucińska z Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni. *Polskie rymowanki, albo ceremonie* to w oryginale monodram autorstwa Andrzeja Błaziejewicza. Reżyserka rozdzieliła tekst na siódmkę aktorów. Pierwsze skrzypce, a raczej bity, gra Jakub Sasak. Jego bohater podczas dziesięciu tradycyjnych spotkań rodzinnych, takich jak komunia, wigilia czy imieniny, stara się odkryć zakopaną i przemilczaną prawdę o swoich przodkach. Jest przedstawicielem pokolenia, które urodziło się w kraju wolnym od ran psychicznych zadanych przez zabory, wojny czy komunizm. Jednak młody chłopak podskórnie czuje, że wypierane emocje buzuja we krwi. Pragnąc poznać prawdę, wypytuje Babcię (bardzo dobra rola Doroty Lulek) o dramatyczne wspomnienia. Nie zawsze uzyskuje odpowiedzi na swoje pytania. Demony przeszłości nie lubią wychodzić z szafy. Reszta rodziny „pracuje” w tle. Niczym statyści, odgrywają różnorakie role. Skromna scenografia nie odwraca uwagi od impulsywnego monologu głównego bohatera. Przedstawiając swoje racje, sięga po znane mu formy wyrazu: rapuje, korzysta ze slangu, jest wulgarny. Nikogo nie udaje. Pokazuje siebie 1:1. Obcy jest mu patos czy martyrologia. Wyrzuca z siebie słowa, z komiksową manierą opowiada o trudnych emocjach. Jego sposób jest inny, ale czy to znaczy, że gorszy?

Według nauk psychologicznych traumy przenoszą się w genach z pokolenia na pokolenie. Być może historia zatoczyła krąg i dzięki takim szczerym rozmowom istnieje szansa na zbliznienie starych ran i odmianę losów przyszłych generacji?

Luka pokoleniowa to również ważny wątek *Inteligentów* w reżyserii Radosława Maciąga z Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Tekst Marka Modzelewskiego traktuje o wybuchowej relacji dorastającego syna Łukasza (Adam Turczyk) z rodzicami – Anną (energiczna Sylwia Góra) i Szczepanem (Marek Tynda). Aspirujący do wyższej klasy średniej rodzice, we własnym mniemaniu tolerancyjni intelektualności, nie potrafią zaakceptować zgola odmiennych wyborów syna. Zamiast odcieni szarości mamy czarne vs białe; lewicę vs prawicę; świeckość vs religijność.

Coraz większe rozłamy i radykalne nastroje, widoczne również w naszym społeczeństwie, nie sprzyjają dialogowi. Wypisane na ścianie salonu hasła stają się banałami, niemającymi nic wspólnego z rzeczywistością. Tak zwane bezstresowe wychowanie nie jest gwarantem udanych więzi rodzinnych, gdy nikt nikogo nie słucha. Narastający konflikt pomiędzy rodzicami – wyzwoloną żoną i wycofanym ojcem – rzutuje także na relacje z synem, który w rezultacie dopuszcza się tragicznego czynu. Okazuje się, że rodzina jest soczewką, w której skupiają się nastroje społeczne.

Po takich emocjach oniryczna, senna konstrukcja *Pikniku pod wiszącą skałą* Joan Lindsey w reżyserii Miry Mańki z Teatru Współczesnego w Szczecinie zdawała się być miłym ukojeniem. Na scenie cztery młode dziewczyny, pensjonariuszki, opowiadają swoje historie i sekrety, aby w finale udać się na tytułowy piknik z tragicznym zakończeniem. To opowieść o odkrywaniu kobiecości, ale także opresji, jakim młode kobiety były poddawane. Ich życie wyznacza rytm codziennych czynności, ukazany choćby w nietuzinkowej scenie gimnastycznej czy nawlekaniu sznurówek wysokich butów – gdzie czas zdaje się stanąć w miejscu. Prosta i ciekawa scenografia, w której główną rolę odgrywa metalowy stelaż z firankami, dziełi umownie przestrzeń sceniczną na różnorodne pomieszczenia. Ogromne lustra ukazują bohaterki z zupełnie innej strony. Bardzo ciekawym zabiegiem jest pokazanie Wiszącej Skały jako nadruku na parasolach. Warto wspomnieć, iż pierwotnie spektakl przewidziany był na mniejszą scenę, która z pewnością bardziej sprzyjała intymnej atmosferze, jaką chciała stworzyć reżyserka.

Przedstawienie Miry Mańki zostało wyróżnione przez jury Nagrodą Główną za reżyserię. W uzasadnieniu werdyktu czytamy:





„Reżyserka i zespół zbudowali wielopłaszczyznowy świat, wiarygodnie i konsekwentnie opowiadający o namiętnościach bohaterów przy użyciu subtelnych, ale wyrazistych decyzji reżyserskich. Spektakl jest zmysłowy, finezyjnie operuje teatralnymi środkami wyrazu, zaprasza widzów do transowej współobecności w opowieści, pozwalając w jej ramach na podobne partnerstwo, jakie wyraża się w scenicznej energii zespołu. Historia, powszechnie znana z poprzednich realizacji, w spektaklu Miry Mańki na nowo nabiera uniwersalnego wymiaru”.

Podsumowując, tegoroczna edycja „m-teatru” była wyjątkowa, jak czasy, w których się odbywała. Determinacja organizatorów

musiała być ogromna, bo logistyka takiego przedsięwzięcia w warunkach pandemicznych była z pewnością nie lada wyzwaniem.

Co ciekawe, od kilku edycji „m-teatru” możemy zauważyć tendencję odrotu od jeszcze nie tak dawno chętnie wykorzystywanych nowych technologii na rzecz zwrócenia się ku wnętrzu i więziom międzyludzkim. Tak było i tym razem.

Mimo wszystko miejmy nadzieję, iż przyszłoroczna edycja odbędzie się bez ograniczeń i uda się w niej zorganizować więcej przedstawień. Kultura jest bowiem tym, co w trudnych czasach daje nam wszystkim choć trochę wytchnienia.

Uniwersalna tematyka i zmiana formuły

8. Festiwal Debiutów w Monodramie „Strzała Północy 2020”; 9 – 11 października 2020

W 2020 roku koronawirus radykalnie zmienił kształt programowy festiwalu monodramu, organizowanego przez Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog”. Dla sympatyków sztuki teatralnej przygotowano prawdziwą ucztę artystyczną złożoną z pięciu konkursowych spektakli.

– Wszystkie spektakle zakwalifikowane do udziału w turnieju debiutów ósmych Dni Monodramu są bardzo interesujące – zapowiadał Marek Kołowski, inicjator i dyrektor festiwalu. – Nie tylko pod względem scenicznej formy. Na uwagę zasługuje przede wszystkim uniwersalna, ponadczasowa tematyka monodramów. Opowiadają o najważniejszych wartościach, które dziś są tak bardzo zaniedbywane. To potrzeba miłości, czułości i empatii. Te zjawiska, zawsze cenne, mają wyjątkowe znaczenie, gdy w czasie pandemii zmagamy się z lękiem, niepewnością i osamotnieniem.

Niestety, niecierpliwie oczekujący na spotkanie z monodramem widzowie mieli okazję uczestniczyć tylko w pierwszym dniu festiwalowym dniu. Od 10 października Koszalin znalazł się bowiem w tzw. strefie czerwonej, co oznaczało zakaz organizacji imprez kulturalnych. Wprawdzie po pierwszym, otwartym dla publiczności, dniu zaprezentowane zostały – w wersji online – kolejne konkursowe spektakle, ale mogła je obejrzeć tylko rada artystyczna festiwalu.

Widzowie nie mogli również zobaczyć niecierpliwie oczekiwanego monodramu mistrzowskiego. W tym roku miał to być spektakl *Tato nie wraca* w wykonaniu aktorki młodego pokolenia, Agnieszki Przepiórskiej, która zasiadała także w festiwalowej radzie artystycznej obok przewodniczącej – Barbary Dziekan-Vajdy, wybitnej aktorki, profesor zwyczajnej PWSFTiT w Łodzi, Zdzisława Derebeckiego –

aktora, reżysera, dyrektora Bałtyckiego Teatru Dramatycznego oraz Marka Kołowskiego.

Turniej debiutów

W konkursowej rywalizacji uczestniczyły cztery spektakle teatru słowa oraz jeden choreomonodram – oryginalny gatunek sceniczny łączący sztukę teatralną z tańcem. Monodramowy maraton rozpoczął spektakl *Balkon Goldy* w wykonaniu debiutującej w sztuce monodramu Ernestyny Winnickiej, zasłużonej aktorki Teatru Żydowskiego w Warszawie, który okazał się koncertem gry aktorskiej. Z pomocą znakomicie opanowanego warsztatu Ernestyna Winnicka przedstawiła przemianę spontanicznej, wrażliwej nastolatki w wytrawnego, odpowiedzialnego polityka – Goldę Meir, jedną z najbardziej fascynujących i wpływowych kobiet XX wieku.

Równie interesujący okazał się drugi z konkursowych spektakli *Witkacy 1939*, znakomicie zagrany przez kolejnego monodramowego debiutanta, Michała Breitenwalda, który brawurowo przedstawił katastroficzne i prorocze wizje oraz związane ze sztuką refleksje Stanisława Ignacego Witkiewicza zawarte w dziełach artysty. Interesująca okazała się także *Zwykła historia* oparta na głośnej *Opowieści podręcznej*, zagrana przez debiutującą w monodramie Paulinę Grys. W konkursowej rywalizacji uczestniczyły również: zaprezentowany przez Lecha Mackiewicza monodram *Ja i Beatrix*, prowokujący do refleksji o sensie życia, miłości i religii, oraz *Słoń* w wykonaniu Dariusza Siastacza. Spektakl, który jest dramaturgicznym debiutem Łukasza Stanisławskiego, okazał się przejmującą spowiedzią człowieka przebywającego w celi śmierci i wspominającego swoje życie.

Wydarzeniem okazał się jedyny w Turnieju Debiutów choreomonodram *Don Lis* w wykonaniu Radosława Lisa, który nie tylko błyszczał talentem aktorskim, ale również zachwycił publiczność tanecznym kunsztem: – Mój spektakl to uniwersalna opowieść





Witkacy 1939



o życiu człowieka – powiedział wykonawca. – Każdy z nas poszukuje szczęścia, przeżywa wloty i upadki, każdy z nas rozpacza po utraconej miłości. Ale zawsze istnieje nadzieja...

Turniej debiutów zasiadający w radzie artystycznej Zdzisław Derebecki podsumowuje: – Myślę, że wszystkie tegoroczne konkursowe spektakle połączyło uniwersalne przesłanie przy różnorodności tematycznej. Teatr zawsze opowiada historię pojedynczego człowieka, ale w tych opowieściach kryją się uniwersalia, prowokujące do ponadczasowych refleksji. I to jest właśnie misja teatru splecio-

na z wiecznymi poszukiwaniami i kunsztem aktorskim. Misja, która przenosi nas w magiczną przestrzeń, istniejącą gdzieś poza czasem i poza światem... Konkursowe spektakle połączyła również forma artystycznej wypowiedzi. W tym roku, w odróżnieniu od poprzednich festiwalowych edycji, nie zauważyłem wyszukanych formalnych rozwiązań. Przeciwnie – istnieje tendencja zmierzająca w kierunku szlachetnej prostoty, podkreślającej sugestywność scenicznych opowieści.

Laureaci i wzruszające pożegnanie

Pamiątkową statuetkę Strzała Północy otrzymał Radosław Lis, który zachwycił jurorów choreomonodramem *Don Lis*. Młody artysta został uhonorowany „za osobistą wypowiedź artystyczną i odważną formę sceniczną”. – Zawsze kochałem teatr, ale moją drugą wielką artystyczną miłością okazał się taniec – powiedział laureat. – I właśnie dlatego teatr tańca, niezwykle interesujący i inspirujący, stał się moją wymarzoną formą scenicznego wypowiedzi. Rada artystyczna przyznała również dwie równorzędne nagrody aktorskie za debiut w monodramie. Otrzymali je Ernestyna Winnicka za spektakl *Balkon Goldy* oraz Michał Breitenwald za monodram *Witkacy 1939*. Wyróżnienie za debiut dramaturgiczny w monodramie otrzymał Łukasz Staniszewski, autor tekstu do spektaklu *Słoń*.

– W tym roku obrady jury były dosyć burzliwe, więc werdykt jest rezultatem pewnego kompromisu – powiedział Zdzisław Derebecki. – Doceniliśmy jednak kunszt artystyczny doświadczonych aktorów z długim teatralnym stażem, którzy zdecydowali się zadebiutować w trudnej sztuce monodramu.

Dla publiczności, która tylko przez jeden dzień mogła uczestniczyć w festiwalu, ósma edycja Dni Monodramu zakończyła się bardzo szybko. Widzów ciepło pożegnała przewodnicząca rady artystycznej, wybitna aktorka Barbara Dziekan-Vajda: – Od trzech lat jestem jurorką na tym festiwalu i po prostu uwielbiam tę niesamowitą atmosferę i wspinałam wierną koszalińską publiczność. To, że jesteście tutaj, świadczy, że sztuka wciąż istnieje, że jest bardzo potrzebna. (...) wierzę, że nigdy nie zgaśnie w was miłość do sztuki, ten wspinały ogień, który rozświetla życie każdego człowieka.

Czas w Dialogu to dobry czas

61 lat. Oto wiek idealny, by przeżywać drugą młodość. Rok po ważnym jubileuszu Teatr Propozycji „Dialog” wytyczył nowe kierunki działań, ujmuje aktywnością i pomysłowością kolejnych projektów. Również tych spoza świata teatru.

Lew Tolstoj pisał, że choć staramy się to ukryć, jednym z głównych motorów naszego życia są pieniądze. Od śmierci powieściopisarza minęło 110 lat, ale słowa te nie straciły na znaczeniu. Chcieć działać to jedno. Mieć za co działać to inna historia. Dotacja z Urzędu Miejskiego w Koszalinie pozwala Stowarzyszeniu Teatr Propozycji „Dialog” prowadzić scenę w Domku Kata. Ludzie sceny z energią zaczęli pozyskiwać środki zewnętrzne na realizację swoich projektów. Fundusz Inicjatyw Obywatelskich, Program Społecznik, Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego w Szczecinie – teatr postarał się o wsparcie dla kultury z wielu źródeł. I to właśnie dodatkowe pieniądze stały się lokomotywą Dialogu.

– Odwiedziło nas w 2020 roku wielu znakomitych artystów, fantastycznych twórców, zrealizowaliśmy też projekty poświęcone artystom z Koszalina, z których dokonań jesteśmy bardzo dumni – podkreśla Walentyna Trybocka, wiceprezes Stowarzyszenia, koordynatorka i menadżer „Dialogu”. Takim projektem był cykl *Twórcy Koszalina*. – Chcieliśmy przedstawić osoby, które mieszkają i tworzą właśnie tu. I tak Jan Kuriata wspólnie z dialogowymi artystami, zaprezentował w spektaklu słowno-muzycznym wiersze z tomiku *Marzyciel z Koszalina*. Na specjalną prośbę publiczności wystąpił też pochodzący z Koszalina Lech Dyblik. Były rosyjskie ballady i szczerą rozmowa z widzami.

Jedno ze spotkań zrealizowane zostało z dotacją ze Społecznika. Organizacje pozarządowe mogły pozyskać wsparcie z programu *Na ratunek* na projekty związane z walką z COVID-19. I choć większość

inicjatyw dotyczyła szycia maseczek ochronnych, Dialog otrzymał środki na projekt mocno kulturalny. Walentyna Trybocka napisała i wyreżyserowała spektakl *Równowaga* według *Colas Breugnon* Romaina Rolanda. Był to jej debiut. – To losy człowieka przed pandemią, w czasie zarazy i po wygranej z nią walce – mówi Walentyna Trybocka. W spektaklu wystąpił debiutujący w monodramie Mirosław Krom. Na koniec widzowie wzięli udział w spotkaniu z psychologiem, który tłumaczył, jak można radzić sobie ze stresem powodowanym pandemią. Projekt wzbudził duże zainteresowanie. Artyści zostali zaproszeni do wystawienia *Równowagi* w innych miastach. Zawiozł spektakl i ważne przesłanie: otóż debiut może się przydarzyć w każdym wieku!

Mirosław Krom wystąpił też w roli reżysera – wyreżyserował spektakl *Kłamstwo*, według tekstu Jana Kuriaty. To historia Niemców wysiedlonych po II wojnie światowej z Koszalina. W historię „Dialogu” mocno wpisał się występ Barbary Patyńskiej, która orzekła widzów swoją autentycznością. – Spektakl, o którym marzyliśmy od dawna, a udało się go zrealizować również dzięki dofinansowaniu, to wido-wisko *Pustka i światło*. Greta Grabowska namalowała cykl obrazów z nieistniejącymi synagogami. Scenariusz multimedialnej projekcji, wzbogaconej poezją i muzyką, napisała Magda Omilianowicz, a całość wyreżyserował Jerzy Litwin. Przez całą godzinę mieliśmy ciarki – opisuje Walentyna Trybocka. – Projekt otrzymał patronat honorowy Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, co jest niezwykle prestiżowym dla Dialogu wyróżnieniem.

Pustka i światło na pewno wróci na scenę Domku Kata. Podobnie jak spektakl *Pamięć ludzi i wierszy*, pokazany w ramach cyklu Portret Rodzinny. Był on poświęcony dialogowej rodzinie, a w szczególności Stefanii Tomaszewskiej, która odeszła w lipcu 2020 roku.

Kameralna scena Dialogu przyciąga fantastyczne nazwiska i niezwykle projekty. 100-lecie urodzin Federico Felliniego teatr świętował wzruszającym i refleksyjnym monodramem Małgorzaty Bogdańskiej *Nie lubię pana, Panie Fellini* w reżyserii Marka Koter-

skiego. Opowieścią o włoskiej aktorce Giulietcie Masinie jej autorzy udowodnili, że kameralnie może nie oznacza wcale mniej. Potężny ładunek teatralnych emocji zmieścili w jednej białej walizce...

W 2020 roku Domek Kata odwiedzili też m.in. Violetta Komar, Krystyna Prońko i Jan Jakub Należyty. Scena była gościnna nie tylko dla aktorów, śpiewaków i muzyków. Remi Jakubowski zadbał o to, by Domek Kata wypełnił się aromatem doskonałych herbat.

Pandemia koronawirusa wymusiła na ludziach kultury przeniesienie części aktywności do świata wirtualnego. Dialog zdalnie zorganizował XXXI Turniej Recytatorski im. C.K. Norwida. 8. Festiwal Debiutu w Monodramie „Strzała Północy” tylko przez jeden dzień obywatel się z udziałem publiczności. Większość spektakli zaprezentowana została online. – Nie zepsuło to wyjątkowej atmosfery, z której słynie festiwal – mówi Walentyna Trybocka. – Mało tego, zrodził się pomysł realizacji nowego wydarzenia, jakiego w Polsce jeszcze nie ma – konkursu na scenariusz w monodramie *Harmónia Słowa*. Szefem jury będzie Jan Jakub Należyty, a inspiracją dla twórców wyjątkowa historia Henryki Rodkiewicz, która w 1959 roku przyjechała z Krakowa do Koszalina, żeby otworzyć teatr. Bieda aż piszczy, komuna aż trzeszczy, a tu taka historia! Odwaga i marzenia. O tym warto pisać, a Koszalin może słynąć z monodramu.

Pomysłów dialogowym artystom nie brakuje. W 2020 roku operowali nie tylko słowem mówionym, ale i pisanym. Tomik *Dialog barwami pisany* jest podsumowaniem 60-letniej pracy teatru. Tytułowych barw dodają mu prace Krzysztofa Rećko-Rapsy, a swoje słowa

podarowali teatrowi jego przyjaciele – m.in. Krzysztof Daukszewicz, Wojciech Zimiński, Jan Jakub Należyty i Michał Rusinek.

Od grudnia Stowarzyszenie może się też pochwalić własnym miesięcznikiem. W prace nad nim zaangażowali się pisarze, dziennikarze, malarze i rysownicy. Fundamentem pisma „Dialog ART”, którego naczelną została Magda Omilianowicz, jest oczywiście koszalińska kultura, ale można w nim też znaleźć teksty autorów z Warszawy, Krakowa, Berlina i Sztokholmu.

Dialog z założenia łączy, a w 2020 roku mocno połączył pokolenia. – Pozyskaliśmy środki na stworzenie Akademii Scena Młodych. Opiekunką i mentorką młodych aktorów została Elżbieta Malczewska-Giemza. Powstały już dwa spektakle inspirowane twórczością Szyborskiej i Herberta – mówi Walentyna Trybocka.

Grupa młodych artystów będzie działać pod skrzydłami Dialogu, otwierając się jednocześnie na film. Pierwszy projekt to etiuda filmowa *Drzewo Czarownic* (premiera miała miejsce w lutym 2021 – dop. red), inspirowana prawdziwymi historiami kobiet oskarżanych o praktykowanie tajemnej wiedzy. Realizacja jest możliwa dzięki inwestycjom w profesjonalny sprzęt. Urządzenia pozwoliły między innymi prezentować w czasie lockdownu dialogowe projekty na facebook’owym profilu teatru. Ich realizację wspierał nowy kierownik instytucji – w 2020 roku zajął je Waldemar Miszczor. – Liczba wyświetleń nagrań była zdumiewająca. Dochodziła do 1500 widzów. To pokazuje, że nasze działania dla koszalińskiej publiczności mają sens! – podkreśla Walentyna Trybocka.

Piotr Pawłowski

Teatr jest zaborczy

Rozmowa z Żanettą Gruszczyńską-Ogonowską, aktorką Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie

Czy aktorstwo jest Twoim marzeniem z dzieciństwa?

– Myślę, że tak. Początkowo było to nieświadome, w podstawówce występowałam podczas akademii i to działo się samo. Uruchamiałam się, gdy była potrzeba, żeby coś przygotować. Robiłam to w sposób naturalny. Dokładnie tak samo było w ogólniaku. W czwartej klasie liceum przyszła decyzja, że pójdę na studia aktorskie.

Co na to rodzice?

– Ucieszyli się bardzo (*śmiech*). Pewnie chcieli, żebym została lekarzem albo prawnikiem. Tym bardziej, że skończyłam klasę biologiczno-chemiczną. Ale sama nie wiedziałam, co wybrać. Zresztą, moja droga do aktorstwa nie była prosta. Przestraszyłam się, że nie zdam, więc za pierwszym razem wycofałam dokumenty z Wydziału

Lalkarskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu i złożyłam na filologię słowiańską. Dostałam się na studia.

Dlaczego więc spróbowałaś po raz drugi?

– Zrozumiałam, że filologia jest nie dla mnie. Któregoś dnia, w maju, zamiast na egzamin z ortografii rosyjskiej na Uniwersytecie Wrocławskim pojechałam ponownie do szkoły aktorskiej i znowu złożyłam papiery. Wybrałam Wydział Lalkarski i zdałam. Czułam, że to jest to, co chcę robić.

Kiedy poczułaś powołanie, a kiedy odkryłaś w sobie talent?

– Talent połączony z predyspozycjami odkryłam w szkole, a powołanie przyszło z biegiem czasu i kolejnymi doświadczeniami. Do



tego doszło poczucie obowiązku i dyscypliny w pracy i wszystko stało się naturalne.

Jak wspominasz studia?

– Były jednym z lepszych okresów w moim życiu. Jeżeli chodzi o wrażliwość, trafiłam na ludzi podobnych do mnie. Wśród samych dziwaków przestałam być wyobcowaną dziwaczką (śmiech). Zawsze byłam osobą karną, więc szybko dostosowałam się do specyfiki i rytmu tych studiów. Były to dla mnie cztery naprawdę fajne i szczęśliwe lata.

Pamiętasz moment aktorskiego otwarcia?

– Wiem, o czym mówisz, ale u aktorów jest to proces wieloetapowy. Pomogła mi fuksówka (rytuał inicjacyjny dla studentów pierwszorocznych – wszystkie dop. pp), dzisiaj, z tego, co wiem, w większości szkół zabroniona. W moim przypadku fuksówka była zabawą, która ułatwiła mi pokonanie blokad, które wymagały przełamania; była tym pierwszym etapem. Prywatnie, czego na scenie zwykle nie widać, jestem osobą wstydliwą.

Wstydliwą czy nieśmiałą?

– Masz rację, bardziej nieśmiałą. Mam w sobie lęk, na przykład jak zostanie odebrane przez widzów coś, w czym biorę udział, ale do czego sama nie jestem przekonana. Jeżeli nie podoba mi się spektakl, w którym gram, czuję zażenowanie. Jednak jestem na takim etapie pracy aktorskiej, że nigdy tych moich odczuć nie pokazuję na scenie. Zawodowstwo polega na tym, że to, co robię muszę robić jak najlepiej. Nie mogę odpowiadać za całość, od tego jest reżyser. Mam jednak bardzo klarownie zarysowaną granicę teatralnego obciachu i nie lubię jej przekraczać.

Czy lalka umożliwia aktorowi schowanie się za postacią?

– Tak można powiedzieć. Stąd może moja świadoma decyzja, by nie pójść na wydział aktorski, tylko na lalkarski. Od dziecka budowałam światy, wszystko animowałam. Chciałam rządzić postaciami. Etiudy na pierwszym roku przychodziły mi z dużą łatwością. Wszystko powstawało w mojej głowie. Zresztą uważałam lalkarstwo za coś lepszego od samego aktorstwa dramatycznego.

Jak reagujesz na stereotypowe postrzeganie lalkarstwa?

– U nas faktycznie przez lata pokutowała taka opinia, że lalkarz

to aktor gorszej kategorii. Najlepiej to widać w filmie *Aktorzy prowincjonalni* Agnieszki Holland (1979). Tam lalkarka jest traktowana przez aktorów dramatycznych i swoich znajomych jako ewidentnie gorsza. Oni po prostu śmieją się z niej (śmiech). Teraz to się zmieniło. Nareszcie w Polsce jest tak, jak na świecie. Lalkarz jest traktowany z należnym szacunkiem, bo to zawód elitarny.

Trudniejszy od aktorstwa dramatycznego?

– Nie wiem, czy trudniejszy, na pewno niesamowicie wymagający. Lalkarz musi być doskonałym aktorem dramatycznym, a jednocześnie biegle władać bardzo trudną umiejętnością – animuje, czyli daje życie przedmiotom martwym, na przykład lalkom. Dlatego do głowy by mi nie przyszło, że kiedykolwiek będę pracować w teatrze dramatycznym. Zdegradowałam się chyba (śmiech).

Jak trafiłaś do Koszalina?

– Pierwszy był jednak teatr lalkarski. Z Teatrem Animacji w Jeleniej Górze współpracowałam na czwartym roku studiów.

Dlaczego wybrałaś Koszalin?

– Sytuacja jeleniogórska szybko się zamknęła, bo pracowałam nad spektaklem, którego premiera nie doszła do skutku (śmiech). Do Wrocławia wróciłam z plakatem, który nigdy nie trafił na afisz. Wtedy przyjechał do nas ówczesny dyrektor artystyczny Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, Józef Skwark. Szukał aktorów, obejrzał nasz dyplom.

Znalazł dwie aktorki.

– Tak. Znalazł koleżankę i mnie. Zaproponował nam pracę. Przyjechałyśmy do Koszalina. Pomyślałam: wyskoczę z Wrocławia na rok i wrócę. Tym bardziej, że dostałam ofertę pracy na uczelni, mogłam zostać asystentką wykładowców zajęć: animacja marionetki i gra w masce. Jednak zdecydowałam się wyjechać. Odezwała się moja awanturnicza żyłka (śmiech). Wtedy było tak: Koszalin jest nad morzem – ekstra!; będziecie dużo grać – genialnie, o to chodzi! Spakowałam plecak i przyjechałam.

Teatralne mieszkanie służbowe?

– Tak. Miałam dwadzieścia cztery lata, więc to był szok. Własne mieszkanie, role w teatrze, samodzielność. Zresztą premiera goniła premierę i tak naprawdę nie miałam czasu zastanawiać się nad tymi

materialnymi przejawami oszałamiającej kariery (śmiech). Wpadłam w wir pracy.

Czym dla aktora jest pierwsze świadome wyjście na scenę?

– Pierwszego nie pamiętam (śmiech). Potem było kilka premier, w czasie których udawało mi się jakoś pokonać tremę. Ale w drugim sezonie pracowaliśmy nad *W małym dworku* Stanisława Ignacego Witkiewicza w reżyserii Józefa Skwarka, no i stało się; bardzo dokładnie pamiętam ten moment. Premiera. Stoję w kulisie przed pierwszym wejściem na scenę. Nie wiem, jak się nazywam, nie wiem nic. Myślę: „Nie wchodzę. Nie powiem przecież ani słowa!”. Czarna dziura. Sparaliżowało mnie. Ale ponieważ jestem obowiązująca, wyszłam na scenę i wszystko minęło.

Jak aktorzy radzą sobie z takim stanem zawieszenia?

– Każdy inaczej. Podobnie miałam później, przy monodramie. W tych dwóch sytuacjach było tak, że wszystko we mnie zamarło, ale kiedy nogi ruszyły na scenę, znowu zaczęła działać głowa. Nie umiem tego wytłumaczyć. Chyba najbliższe jest to resetowi komputera (śmiech). Napięcia są tak ogromne, że niektórych aktorów trzeba siłą wyciągać z garderoby, żeby weszli na scenę. Dosłownie (śmiech). Podobno ze mną nie jest jeszcze tak źle (śmiech).

Zdarza się to doświadczonej aktorce?

– Trema towarzyszy nam do końca zawodowego życia. Mało tego! Im aktor starszy, z doświadczeniem i większym dorobkiem, tym trudniej. Do tego, co siedzi w człowieku, dochodzi obawa przed porażką, tym, co może się wydarzyć i dojrzała odpowiedzialność za siebie i innych.

Pamiętasz ten pierwszy dobry strzał?

– To było *Gdyby* Bogusława Schaeffera w reżyserii Krzysztofa Gałosa (1996). Osiągnęliśmy sukces, zdobyliśmy nagrodę zespołową na ważnym festiwalu. Zawsze dobrze myślałam o Koszalinie, ale wtedy poczułam, że to jest moje miejsce. Moje życie skupia się wokół teatru, nawet poruszam się przede wszystkim na linii dom – teatr (śmiech).

Dziewięćdziesiąty szósty rok i nagroda dla młodej aktorki. Co wtedy pomyślałaś?

– Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że dobrze wybrałam,

wszystko zaczęło się układać. Nie chciałam wracać do Wrocławia. W Koszalinie poznałam wspaniałych ludzi, przyszłego męża. Podołała mi się wolność i dorosłość.

Cztery lata później, bez daty powrotu, wyjechałaś z mężem do Anglii. Jak zdusiłaś w sobie miłość do aktorstwa?

– Był w tym element przygody. Wiele zmieniło się w moim życiu. Wyszłam za męża, grałam dużo, ale czułam, że dotarłam do ściany. Wtedy nie potrafiłam tego nazwać. Zaczęła mnie męczyć powtarzalność, szukałam czegoś więcej, potrzebowałam odmiany. Dobrze mi szło, jednak chciałam zakończyć jakiś etap i iść dalej.

Miałaś obawy, że to może być rozstanie ze sceną na zawsze?

– Nie, ale wszyscy dokoła przekonywali mnie, że tak będzie. Podczas pożegnania w knajpie koleżanki aktorki płakały za mnie: „Zobaczysz, nie wrócisz na scenę!”. Byłam przed trzydziestką, czułam, że otwierają się przede mną nowe możliwości. Anglia okazała się dziwna i egzotyczna, miejscami groźna, ale cudowna! Po dwóch tygodniach trafiłam do teatru.

W jaki sposób?

– Mąż znalazł ogłoszenie o naborze, ale okazało się, że nie doczytaliśmy, bo polski Teatr Syrena w Londynie szukał aktorów dziecięcych (śmiech). No, ale skoro już przyszedłam i powiedziałam, że chcę grać, stanęłam przy fortepianie, zaśpiewałam i przyjął propozycję współpracy, która trwała dwa lata. To był super czas i przede wszystkim wciąż mogłam grać.

Jak było w Anglii?

– Dla mnie – wielka szkoła życia. Wróciłam inna, widocznie tego potrzebowałam. Poradziłam sobie – to najważniejsze. Dzięki wsparciu męża i mojemu uporowi. Pracowałam ciężko fizycznie, zarabiałam bardzo dobrze, grałam w teatrze, potrafiłam odnaleźć się w najtrudniejszych sytuacjach, poznałam wielu wspaniałych ludzi z całego świata. Przeżyłam też nieprawdopodobne przygody, na przykład z jednej strony poznałam prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego i całą emigracyjną elitę, a z drugiej imprezowałam z Jamajczykami, takimi z dredami do pasa (śmiech).

Dlaczego wróciliście?

– Zastanawiałam się, co dalej. Chciałam wracać. Dwa tygodnie



nosiłam się z zamiarem powiedzenia o tym mężowi, który jest anglofilem i doskonale czuł się w Londynie. Nie wiedziałam, jak to przyjmie. Jednak Tomek, choć nie ukrywał zaskoczenia, zrozumiał mnie. Dla mnie, wychuchanej jedynaczki, pobyt w Anglii był potrzebną szkołą życia, a powrót – emocjonalną koniecznością.

Czy rutyna jest u Ciebie zawsze motorem zmian?

– Często. Tym razem było tak, że z Londynu zadzwoniłam do dyrektora Bałtyckiego Teatru Dramatycznego z pytaniem, czy przyjąłby mnie do pracy. Odpowiedział, że tak. Resztę znasz. Nie zdawałam sobie sprawy, jak tęsknię za swoim teatrem. Rutyna? Coraz rzadziej mi przeszkadza.

Bo teatr to właśnie powtarzalność.

– Tak, ale po Anglii zmieniło się moje nastawienie. Już nie tylko chciałam płynąć na fali narzuconego repertuaru, ale zaczęłam mieć wpływ na to, co robię.

W jaki sposób?

– Robić coś więcej niż to, czego wymaga etat w teatrze, czyli tak zwane swoje rzeczy. Dzięki temu nie nudzę się, to jest to urozmaicenie. Inna sprawa, że przez te wszystkie lata nabrałam doświadczenia i dzisiaj dokładnie wiem, czego chcę i potrzebuję jako aktorka.

Czy tak było z Twoim monodramem ...syn w reżyserii Michała Siegoczyńskiego?

– Tak, to są właśnie takie strzały. Podobnie, jak to, co robię z Wojtkiem Rogowskim (aktorem Bałtyckiego Teatru Dramatycznego). Albo spektakl muzyczny *Czekamy na sygnał*. Z ...synem to było kolejne moje otwarcie. Jestem tremiarą, a jeszcze musiałam opanować lęk, że biorę na siebie za dużą odpowiedzialność. Monodram to wielka próba mierzenia się aktora ze swoim aktorstwem. Jesteś sam na scenie, masz tekst, siebie, swojego bohatera i to, co wypracowałeś z reżyserem. Nie ma żadnej zastony, nikogo i niczego poza relacją z widzem.

Z drugiej strony, wszystko zależy wyłącznie od aktora.

– Właśnie to, jak się później okazało, było fantastyczne. Gdy lubi się ten zawód, monodram jest jednym z lepszych i ciekawszych sprawdzianów. Wszystko miałam starannie przygotowane, bo przy tego rodzaju pracy nie ma miejsca na szycie, improwizację. Jeżeli odbiorca dostrzeże jakąś przypadkowość, to zapewniam: ona też jest wyreżyserowana.

Jakim reżyserem okazał się Michał Siegoczyński?

– Przede wszystkim perfekcjonistą. Ogarnął za mnie bardzo wiele różnych rzeczy, sama nigdy by tego nie zrobiła. Od początku wiedział, jak wszystko ma wyglądać. Niesamowity umysł, wyobraźnia. Przyjaźnimy się do dzisiaj.

Myślisz o drugim monodramie?

– Zrobiłam już nawet przymiarki do wybranego tekstu. Zabiorę się za to w przyszłym roku.

Dostajesz nowy tekst i co dzieje się dalej?

– Najtrudniejsza jest nauka tego tekstu (śmiejch).

A jeszcze wcześniej, kiedy czytasz go po raz pierwszy?

– Muszę ocenić, z czym mam do czynienia. Każde spotkanie z tekstem wywołuje ciekawość: o czym to jest, jaka jest moja rola? Uruchamia się wyobraźnia.

Jako doświadczona aktorka, masz wpływ na to, kogo zagrasz?

– Nie mam specjalnych praw (śmiejch). Za każdym razem, kiedy pojawia się nowa reżyserka lub nowy reżyser, stoję do nowego egzaminu. Zdarza się, że mam wątpliwości, czy nadaję się do roli. Mam wiedzę i doświadczenie, ale to nie jest recepta na sukces. Może się okazać, że będę miała ogromne trudności z wejściem w nowy materiał.

Widzisz postać czy od razu siebie jako tę postać?

– Zaczynam od pracy z tekstem na sucho. Szukam, poszerzam, zastanawiam się nad tym, dlaczego moja bohaterka tak się zachowuje, jakie ma relacje z innymi, co powinnam o niej powiedzieć od siebie. Wchodzę we wszystkie warstwy postaci, co przypomina obieranie cebuli. Ale najciekawszy jest moment, kiedy to postać wchodzi we mnie; w ciało i głowę.

Jak uczysz się tekstu?

– Najczęściej zaszywam się gdzieś w domu, potrzebuję skupienia i ciszy. Siedzę po turecku, kiwam się i zakuwam (śmiejch). Jeżeli język tekstu jest mi bliski, nie mam problemów z jego zapamiętaniem. Każdy tekst wymaga innego podejścia.

Kiedy rzuciłaś egzemplarzem i zrezygnowałaś z roli?

– Kilka razy byłam blisko. Czasami na takie decyzje ma wpływ nie materiał, tylko współpraca z realizatorami. Mam jednak w sobie tyle obowiązkowości, że nigdy tego nie zrobiłam. Wychodziłam z założenia, że zdobędę nowe doświadczenia.

Która postać z Twojego dorobku najgłębiej zapadła Ci w pamięć?

– Kobieta z *...syna*, bez dwóch zdań; to najważniejsza moja rola. Zresztą cały swój dorobek aktorski, życie zawodowe dzielę się etap przed monodramem i po monodramie. Miał ogromne znaczenie



w mojej pracy, rozwoju, tym, o czym mówiliśmy – w otwarciu.

Jak radzisz sobie ze scenami intymnymi?

– Nie jest to łatwe, a na początku było jeszcze trudniejsze. Po szkole odczuwałam wstyd paraliżujący, z czasem przyzwyczaiłam się, mam dystans do takich scen. Miałam szczęście, że nikt nigdy nie przekroczył moich granic. Dla mnie ważne jest, żeby te sceny grać po coś, a nie na przykład dla epatowania nagością.

Przyzwyczaiłaś się do rozpoznawalności?

– Jestem aktorką teatralną, więc nie jestem tak rozpoznawalna, jak koleżanki i koledzy z seriali, filmów, telewizji, reklam. To oczywiste. Sytuacje, gdy ktoś mnie pozna i pozdrowi na ulicy czy w sklepie, są bardzo miłe. Od razu wiem, że to widz teatralny (śmiejch). Na przykład we wrześniu spotkałam panią, która na mój widok zawróciła i powiedziała: „Proszę pani, muszę to pani powiedzieć: jak przychodzę do teatru, to na panią i tak bardzo cieszę się, że wy teraz znowu gracie, bo kocham nasz teatr i naszych aktorów!”, a później dodała: „Jezu, jestem dumna, że to powiedziałam, do widzenia” i poszła (śmiejch). Aż chce się żyć, pracować, a wtedy było mi to szczególnie potrzebne. Podniosła mnie na duchu, miałam słabszy dzień na próbie.

Jak to jest żyć z mężem dramaturgiem?

– Wesoło (śmiejch). Nie chodzi o profesję, ale o osobowość. Tomek



przez dwadzieścia lat nie był dramaturgiem, tylko dziennikarzem, a w teatrze tylko widzem. Odkąd zaczął pisać dla teatru, wiele się zmieniło. Mamy osobne rytuały, nie wchodzimy sobie w drogę, czasami doradzamy sobie, ale szanujemy swoje odrębne zdania. Wspieramy się – to jedyny sposób na zachowanie równowagi psychicznej.

Ile miejsca w Waszym życiu i domu zajmuje teatr?

– Lubię wrócić do domu i wygadać się, natomiast Tomek nic nie mówi (śmiech). Słucha mnie, bo musi, ale długo nie ciągniemy żadnego teatralnego tematu. Przez wszystkie lata zmieniałam się, nie robię tajemnicy z tego, że przeszłam terapię. Musiałam się wyciszyć, poukładać w sobie wiele rzeczy.

Powiedziałas, że macie swoje rytuały. Jakie?

– Przed premierą lubię pobyć sama, muszę skupić się, więc oczekuję od Tomka, że około dwunastej gdzieś sobie pójdzie (śmiech). Żartuję. Teraz już może zostać, ale musi zaszyć się w drugiej części mieszkania, ponieważ są nerwy, robię się zgryźliwa, wszystko mi przeszkadza. Lubię być wcześniej w teatrze, robię prezenty dla osób, z którymi gram. Kopiemy się w cztery litery, taki teatralny zwyczaj i tak dalej, to samo od lat. Bez tego byłoby nam trudniej.

A gdy macie wspólną premierę?

– Wtedy jest jeszcze gorzej, bo martwię się i za siebie, i za Tomka.

Za niego nawet bardziej. W dniu mojej premiery prosi mnie, żebym mu wcześniej wyprasowała koszulę, znika z oczu, kupuje najdłuższe i najpiękniejsze rózę i wręcza mi je po premierze, gdy wszyscy jesteśmy już w innym świecie. Byłam zaskoczona, kiedy powiedział mi, że lubi przyjść na kolejny spektakl po premierze, bo wtedy wszystko może obejrzeć na chłodno.

Kiedy doświadczony aktor odkrywa w sobie reżysera?

– Wydawało mi się, że to zajęcie jest kompletnie nie dla mnie i słusznie, bo byłam zupełnie inną osobą. Nadszedł jednak moment, że nabrałam pewności siebie, a co ważniejsze pojawiła się propozycja wspólnej reżyserii z Wojtkiem Rogowskim, z którym znam się od lat i któremu ufam.

Jak Wam się razem pracuje?

– Wiele rzeczy robimy intuicyjnie, Wojtek to wulkan pomysłów. Ze mną jest podobnie, więc kiedy spotykamy się, reżyseria wychodzi nam naturalnie. Lubimy się, nie kłócimy się, wyznaczamy sobie kierunki i konsekwentnie zmierzamy do celu. Nawet wtedy, gdy musimy kompromisowo zdecydować się na coś, ustępujemy sobie, bo podobnie rozkładamy siły i mamy podobny rodzaj energii. Poza tym dużo gramy razem, a to też ma znaczenie.

Jak reagujesz na reżyserów eksperymentujących?

– To zależy, jak układa się nam współpraca, ale zwykle bardzo dobrze. Jeżeli mam do czynienia z twórcą, który ma swój świat i potrafi nas do niego zagarnąć, angażuję się w to na sto procent.

A na reżyserów, którzy piszą sztuki dopiero na próbach?

– Jeżeli tworzymy tekst na próbach, coś powstaje na gorąco – spokojnie, rozumiem. Jeżeli praca nad pomysłem jest procesem uczciwym, to nie ma problemu. Mam natomiast kłopot z ludźmi, którzy coś udają i nie mają żadnej wizji. Kiedyś reżyserzy przyjeżdżali z gotowymi tekstami, dramaturgią, wszystko mieli przemyślane i dopracowane. Od kilku ładnych lat zdarzają się coraz częściej twórcy, dla których próby i improwizacje z aktorami są podstawą w tworzeniu spektaklu.

Czy teatr to męczyzna?

– Teatr to ludzie. Twórcy i widzowie. Ale wiem, o co pytasz. Jestem feministką i cieszy mnie, że następuje zmiana pokoleniowa, przewartościowanie pewnych pojęć i znaczeń. Świat się zmienia, teatr

wraz z nim. A w pracy spotkało mnie równie dużo dobrego i złego od mężczyzn, co od kobiet.

Jak reagujesz, gdy polityka miesza się z kulturą?

– Bardzo źle, nie toleruję tego rodzaju związków. Historia uczy nas, że zawsze i wszędzie tam, gdzie polityka próbowała mieć wpływ na kulturę, kończyło się to ustanawianiem ograniczeń, a kultura nie znosi ograniczeń.

Jak przeżywasz pandemię?

– Nie pozwalam sobie na czarne myśli. Zabrzmi to górnolotnie, ale myślę o swoich przodkach, którzy żyli w trudniejszej rzeczywistości. Trzymam się myśli, że to wszystko minie, nawet, jeżeli potrwa, powiedzmy, dwa lata. Nie ma we mnie pesymizmu. Natomiast ciekawi mnie, jak przez pandemię zmieni się świat.

Czy – według Ciebie – internet stanie się drugą sceną dla teatrów?

– Nie, myślę, że nie. Teatr pozostanie teatrem, zmienić się mogą jedynie narzędzia używane do jego realizacji. Widz potrzebuje aktora na prawdziwej scenie. Obecność – to ważne słowo dla i widza, i dla aktora.

Czy jest coś, na co – jako aktorka – czekasz?

– Aż skończy się pandemia.

Czy pomimo pandemii widzowie chcą przychodzić do teatru?

– Tak. Dla wszystkich aktorów to największe pocieszenie! Tak było po wiosennym zamknięciu, gdy widzowie do nas wrócili.

Przeszkadza Ci, że siedzą w maskach?

– Nie, ale niektórym koleżankom i kolegom tak; nic z tym nie zrobimy, tak musi być i to także minie. Mnie to nie przeszkadza, ponie-

waż i tak czuję obecność publiczności. Skupiam się na zadaniach aktorskich. Najważniejsze, że ludzie są, przychodzą.

Czterdzieści ról – to Twój bilans sprzed dekady. A teraz?

– Nie wiem, przestałam liczyć, musiałabym zajrzeć do archiwum, ale pewnie koło setki.

Co dzisiaj myślisz o aktorstwie?

– Zdarzają się momenty zwątpienia, jaki ulotny, niepraktyczny zawód uprawiam. Choćby teraz. Rząd zamyka teatr, zostajemy z pensją podstawową, czyli jakby bez pieniędzy (*śmiech*). Wystarcza na przeżycie, ale chciałoby się żyć i pracować normalnie.

Wszystko to minie, pandemia wprowadziła niepokój.

– Wiem, że minie. Mija już wtedy, kiedy pojawia się zapowiedź prób do nowego spektaklu, a w nieodległej perspektywie – premiera. Wierzę w to, co robię. Czuję posłannictwo i misję. Mam świadomość, że to, co robię ma sens.

Jak radzisz sobie z tak dużą ilością pracy?

– Lubię aktorstwo, lubię teatr, lubię to miejsce i lubię ludzi, z którymi pracuję. Mam mnóstwo koleżanek i kolegów z branży, którzy nie mają takiego komfortu. Męczą się w swoich teatrach. Fajną mamy ekipę techniczną, z którą pracujemy. W moim przypadku teatr jest zaborczy, ale mi to pasuje. Gdyby mi nie pasowało, to bym tego nie robiła.

Jesteś na scenie od dwudziestu pięciu lat. Co masz ochotę powiedzieć sobie w związku z tym jubileuszem?

– Nie myślałam o tym, dopiero teraz mi to uświadomiłeś. Co chciałabym sobie powiedzieć? Hm., „Hej, dziewczyno, jesteś ok, pracuj dalej” (*śmiech*).

Dramaturg w średnim mieście

Rozmowa z Tomaszem Ogonowskim, dramaturgiem Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie

Jakie jest Twoje pierwsze wspomnienie związane z teatrem?

– Gdy byłem w teatrze z babcią, jako dziecko. Nie pamiętam, na jakiej sztuce. Potem jest wycieczka do Teatru Muzycznego w Gdyni, w podstawówce. *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*. Wywarł na mnie ogromne wrażenie: te światła, piosenki, rozmach. Mam te obrazy w głowie do dziś.

Używasz tych wspomnień, pisząc dla dzieci?

– Używam raczej swojej wyobraźni, choć może podświadomie też wracam do własnych doświadczeń. Teraz, gdy rozmawiamy, uświadamiam sobie, jak silne wrażenie na mnie wywarło tamto wydarzenie.

A świadomy kontakt z teatrem?

– Nigdy nie należałem do grupy młodzieńców, którzy do teatru udają się przepleceni szalikami i przeżywają romantyczne chwile. Trafiłem do teatru na dobre, gdy poznałem moją żonę (Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, aktorka BTD). Zacząłem przychodzić na premiery, poznawałem aktorów, zaplecze, teatr od kulis. W ubiegłym roku obchodziliśmy 20. rocznicę ślubu, więc tyle trwa moja przygoda z teatrem, i z żoną (śmiech). Zawsze dużo czytałem, także teksty teatralne, np. Ionesco czy Ibsena, ale do pewnego czasu teatr wydawał mi się miejscem nudnym, skostniałym i przede wszystkim zakłamanym. Kojarzył mi się z wycieczkami szkolnymi i ludźmi, którzy na scenie deklamują porywy patriotyzmu, jak w *Misiu Barei*. To było w latach 80. Teatr, zwłaszcza prowincjonalny, przeżywał wtedy kryzys. Byłem w innej grupie odbiorców kultury, nastawionych na szczerość, brutalną, ale prawdziwą, formę przekazu.

A teraz jakie uczucia żywisz do teatru?

– Mieszane (śmiech). Mam przypadłość zwaną perfekcjonizmem



Fot. Izabela Rogowska

– lubię, gdy wszystko jest jak od linijki, poukładane, tymczasem teatr to żywioł chaosu. Jest grupa ludzi, przygotowująca coś, co się nazywa spektaklem, a w to wchodzi miliard czynników technicznych i ludzkich. Porównam to do muzyki: na świecie milion kapel gra w piwnicach, z tego trzy grają koncerty, z których ludzie wychodzą uduchowieni. Spotyka się piątka obcych ludzi i nagle z tego połączenia powstaje fenomen. Teatr też jest pracą zbiorową, uzależnioną od czynników pozamerytorycznych i to mnie czasem doprowadza do szału. Natomiast jestem również w teatrze zakochany.

Czego Cię ta trudna miłość uczy?

– Cierpliwości. Złagodniałem, zwłaszcza po mojej długoletniej pracy w mediach, gdzie lecą tylko krótkie piłki. Przebranzałam się, łapię inne tempo. To proces.

Etatowych dramaturgów w Polsce właściwie nie ma, a stanowiska mają niesprecyzowane zadania. Jak to wygląda u Ciebie?

– Jestem zobowiązany do napisania jednej sztuki w sezonie. Przed każdym sezonem spotykamy się z dyrektorem BTD, Zdzisławem Derebeckim i ustalamy, jakimi propozycjami mam się zająć. Moim obowiązkiem jest też kooperowanie z reżyserami z zewnątrz. Jestem na próbach czytanych, potem inscenizacyjnych i się czepiam.

Bardzo się czepiasz?

– No tak... Jestem człowiekiem słowa i denerwuje mnie niechlujność w tej sferze. Nic mi do aktorstwa, ale pilnuję, by tekst miał sens i był po polsku. Teatr to nie kabareton, z całym szacunkiem. Uważam, że – wyłączając stand up – kabaretony popsują widownię, tak jak kino popsują komedie romantyczne. Widzowie zaczęli w teatrze szukać uproszczonego języka, zabawy, skeczu i gdy zderzają się z tym, co jest dla teatru fundamentem, czyli refleksją, zadumą, gorzką pigułką, są nieusatysfakcjonowani. Na szczęście ten proces się cofa, ludziom się to przejadło. Teatr jest od czegoś więcej.

Od czego?

– Od zastanawiania się: nad sobą, światem, rzeczywistością. Oczywiście w ideale, o który warto walczyć. Jestem uparty i bezkompromisowy w tych sprawach. Uważam, że o sztuce należy rozmawiać szczerze. Spijając sobie z dzióbków podczas pacy, nie zauważymy, że król jest nagi i przechadza się obok.

Jak krytycznie pracować z ludźmi, których lubisz, i z którymi się przyjaźnisz?

– Nie da się wyłączyć kontaktów prywatnych, ale jestem szczery. Nie mogę w imię utrzymywania dobrych relacji nie powiedzieć, że ktoś psuje robotę. Po co byłaby moja praca? Tego samego oczekuję od innych, zresztą od aktorów dostaję mnóstwo uwag na temat tekstów. Nie wyobrażam sobie, że się na siebie obrażamy. Przecież pracujemy dla dobra spektaklu, dmuchamy do jednej trąby.

Zdarzyło się, że aktor się obraził?

– Nie, ale aktorzy są bardzo wrażliwi. Wrażliwość jest elementem tego piekielnie trudnego zawodu. To bardzo kruche struktury, łatwo je naruszyć. Dlatego ważna jest forma rozmowy.

Jak to robisz?

– Grzecznie, ale stanowczo. Nauczyciel języka polskiego nie przepuszcza ortografów, bo uczeń poczuje się urażony, ale nie musi go z tego powodu obrażać. Staram się krytykę podawać w żartobliwej formie. Trzeba być ostrożnym.

Zazwyczaj dziennikarze piszą książki, nie sztuki teatralne, a Twój pierwszy tekst to w dodatku bajka. Skąd ten wybór?

– Moim życiem rządzi przypadek, co zresztą bardzo lubię. Unoś się z nurtem rzeki. Ostatnie dziesięć lat spędziłem w telewizji, która jest niezwykle czasochłonna, więc nie było mowy o pisaniu książek. Kilka lat robiłem dramaturgię, trochę pomagałem w teatrze, czasem anonimowo. Tajemniczy „alias” ze spektaklu BTD o Kofcie to ja. Pisałem piosenki do bajek. Mój debiut, czyli *Strażniczka magicznego lasu*, to realizacja propozycji od dyrektora Zdzisława Derebeckiego.

Jak wszedłeś w formę teatralną?

– Bardzo metodycznie, w kontrze do swojej natury. Mam wrażenie, że w mojej głowie czasem gra dwanaście radiostacji, ale mam też zdolność do wydobywania z tego chaosu rzeczy aktualnie mi potrzebnych. Na przykład oglądam dokument i nagle okazuje się, że dysponuję zaskakującą dla mnie samego wiedzą specjalistyczną. Pracę nad *Strażniczką*... rozpocząłem od przeczytania kilkunastu książek na temat teorii bajki, a potem uwolniłem tę wiedzę. Wtedy pisanie idzie sprawnie i szybko.



Jednak pisanie spektaklu to coś innego niż pisanie w ogóle.

– Mi pomaga też to, że rysuję, co nie znaczy że mam zdolności plastyczne. Kupuję papier pakowy i rozrysowuję plan graficzny tekstu. Pomagają mi też umiejętności wyniesione z pracy dziennikarskiej. Podobnie jak przy reportażu, gdzie z rozrzuconych wątków składa się całość, tworzę strukturę opowieści. Na koniec zostaje wyobraźnia, której nie da się zdefiniować, i umiejętność pisania dialogów. Mam ją, bo lubię wsłuchiwać się w język. Zapamiętuję ciekawe zdania.

Słuchać to w *Like Fake*, osadzonym w świecie wirtualnym.

– Młodzież jest najtrudniejszą widownią i mało kto robi spektakle dla tej grupy wiekowej. Gdy powstał pomysł na *Like Fake*, byłem przerażony – gdzie ja, stary dziad, będę dzieciakom robił spektakl?! Wyruszyłem na inną planetę. Wchłaniałem język i dotarłem do rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

Przeraził Cię ten świat?

– Przeraził mnie poziom samotności młodych ludzi i to, jak są wykorzystywani przez świat. Dorośli, szkoła, politycy czegoś od nich chcą, ale niewiele mają do zaoferowania. Przemoc w życiu młodych ludzi wiąże z rozwojem, ale problem polega na tym, że dzisiejsze czasy dostarczyły młodzieży potężne narzędzia do jej używania. Bomba megabitowa pędzi i zmiata wszystko po drodze. Depresja, samobójstwa, nerwice, uzależnienia – to plaga. Kiedyś też oczywiście były, ale obecna skala tych zjawisk jest potężna i przerażająca.

Co spektakl miał powiedzieć młodym ludziom?

– Hm. Chyba, że mają wybór. Rób, co chcesz, ale pamiętaj, że za rogiem czai się zło. Rozmawialiśmy z Arkiem Buszką (reżyser – dop. red), że zostawiamy tę kwestię otwartą. Nie chcemy nauczać, bo od razu przegramy.

Od razu zakładaliście użycie mocnych środków wyrazu?

– Założyliśmy dwie rzeczy. By dotrzeć do młodzieży musimy zrobić coś wyjątkowego pod względem formy i treści. Nigdy nie pracowałem tak precyzyjnie. Dużo jest w *Like Fake* niuansów, wtrętów popkulturowych, ale delikatnych. Spektakl w gruncie rzeczy musi być prosty.

Co to znaczy?

– Jest główna sieć, która składa z kilku lin, i ona ciągnie całość. Poza tym mnóstwo małych linek, którymi dramaturg inkrustuje tekst. Na koniec jest pajęczynka dla krytyków literackich. Ale spektakl niosą grube liny, a ich przekaz powinien być prosty.

To miał być spektakl dla młodzieży, czy dla dorosłych o młodości?

– Pewnie poniekąd tak. Podkreśliłem to też piosenkami.

Co piosenka daje spektaklowi?

– Nie wiem, co daje innym. Ja uważam, że niesie treść, a jednocześnie, przy odpowiedniej wrażliwości, słowo podbite muzyką działa mocniej. Inne półeczki otwiera w głowie i sercu. Ja na przykład nie rozumiem tańca czy szerzej – ruchu. Muzyka jest dla mnie ważna w ogóle, w życiu. Tworzenie to też musi być rodzaj zabawy, więc to, że mogę użyć swojej wyobraźni muzycznej, mnie zwyczajnie rajuje.

Czekamy na sygnał Twojego autorstwa było w tym kontekście spełnieniem?

– Mnie definiuje to, co aktualnie robię, więc nie myślę w sposób muzealny. Dla mnie to było pożegnanie z młodością.

Konsultujesz teksty z żoną?

– Żanetta pierwsza czyta moje teksty. Zawsze była i jest dla mnie nieocenionym wsparciem. Bardzo mi pomogła, gdy pisałem piosenki do spektaklu *Carski syn*. Otwierałem wtedy oczy na mnóstwo spraw, co jest ważne w teatrze, a co nie, i ona była dla mnie po prostu przewodnikiem po tym świecie.

Na co otworzyłeś oczy?

– Wydawało mi się, że teatr to taka świątynia, w której siedzą filozofowie i rozważają każdy aspekt, natomiast w teatrze jest mnóstwo zwierzęcości, instynktu, niedookreślenia. Przypomina raczej ognisko, przy którym odbywają się tańce plemienne. Tego języka trzeba się nauczyć.

Z żoną i Wojciechem Rogowskim przygotowujecie w BTD słynne już „dwójkowe” spektakle. Jak ta współpraca przebiega?

– Oni występują w podwójnej roli – grają i reżyserują. Ja dostaję wybrany tekst i pracuję nad nim pod kątem dramaturgicznym. Często polega to na opracowaniu przekładu, bywa że kiepskiego. Czasem coś sugeruję albo dopisuję scenę, która uwspółcześni tekst. Oczywiście delikatnie. Apodyktyczny jestem, gdy chodzi o muzykę, na szczęście zazwyczaj im się podoba. Uzupełnia naszą trójkę Izabela Rogowska, inspicjentka. Prywatnie ja z Żanettą, a Iza z Wojtkiem jesteśmy małżeństwami i się przyjaźnimy. Bardzo lubię tę pracę.

Co dramaturg daje teatrowi?

– Wyobraźmy sobie tablicę. Reżyser rysuje na niej bohemy jak dziecko, a dramaturg robi z tego domek, drzewo i słońce. Mówiąc inaczej – pilnuje sensu. Jest trochę rzecznikiem widza. Głęboko tkwi w strukturze tekstu, więc dostrzega więcej, zadaje mnóstwo pytań. Właśnie to rozkminianie, rozmyślanie robi dobrze spektaklowi.

A Ty dobrze się czujesz w tej roli?

– Niewygodne jest dla mnie to, współcześnie nie ma wystarczającego szacunku do słowa, ale generalnie uwielbiam to, co robię. Jestem zachwycony i prowadzę szczęśliwe życie.

Co najchętniej zobaczyłbyś na naszej scenie?

– Bardzo chciałbym, żeby BTD wystawił *Ubu Króla*. Arcydzieło. Chyba nigdy w wolnej Polsce nie było bardziej aktualne niż dziś.

Wspomniałeś kiedyś o sf-ie...

– Przeszło mi (śmiech).

Scena jest dla mnie wszystkim

Rozmowa z Adamem Lisewskim, aktorem Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie

Oswoił się Pan już z Koszalinem?

– Zależy, jak to rozumieć. Z teatrem na pewno. Wbrew pozorom nie jestem ekstrawertyczny, potrzebowałem czasu, by się zapoznać z kolegami – aktorami, ekipą techniczną, ale teraz czuję się jak w domu i jest mi tu bardzo dobrze. Jeśli chodzi o samo miasto, przyznam, że nie jestem tu na co dzień – moja narzeczona i rodzice, którymi się opiekuję, mieszkają w Toruniu. Kursuję między miastami.

Wraca Pan do Torunia z sentymentem?

– Tak, i to nie tylko ze względu na bliskich, ale także dlatego, że to moje rodzinne miasto. Nie ukrywam, że bardzo je kocham. Poza Toruniem darzę sentymentem Wrocław. Spędziłem tam cztery piękne lata. Koszalin jest na razie na trzecim miejscu, ale myślę, że może się to zmienić.

Gdyby teraz ktoś powiedział, że ma dla Pana miejsce w teatrze w Toruniu, to co by Pan zrobił?

– Ciężko mi rozważać takie rzeczy... Wiem, jak trudno dostać się do teatru, jakiegokolwiek, więc nie sądzę, by ktoś się odezwał, ale jeżeli dostałbym taką propozycję, byłaby to bardzo trudna decyzja. Zadomowiłem się w Koszalinie, wiąże przyszłość z tym miejscem.

Między Toruniem a Koszalinem był Wrocław.

– Dostając się do szkoły teatralnej, miałem wrażenie, że złapałem Pana Boga za nogi. Zdaje do niej co roku około tysiąc pięćset osób, a dostaje się dwadzieścia. Może więc Pani sobie wyobrazić, co czuje młody człowiek, któremu się udaje. Szczególnie, że byłem po przejściach. Dostałem się na uczelnię w wieku 24 lat, po perturbacjach zdrowotnych. Jak Pani widzi, w prawym oku jest nieco szersza źrenica... Miałem bardzo ciężki wypadek w policealnym studium, które przygotowuje młodych ludzi do egzaminów do szkoły teatralnej. Uniemożliwiło mi to na cztery lata zdawanie do szkoły w ogóle.



Jak Pan wspomina szkołę teatralną?

– To był piękny i beztrudny czas. Wspominam go bardzo pozytywnie. Wiadomo: były wzloty i upadki, jeżeli chodzi o pracę nad rolami, na scenie. Od pedagogów słyszało się rzeczy fajne, sporo niefajnych, ale ogólnie to okres pięknych przyjaźni, wieczorów spędzonych na rozmowach o teatrze i sztuce.

Mówi się o szkołach teatralnych, że są bardzo specyficzne, a wykładowcy czasem próbują złamać studenta, by nauczyć go grania.

– Pedagogdy w szkołach teatralnych przekraczają pewne granice, ale mi jest bliżej do poglądu Michael'a Shurtlef'a, który powiedział: „Zdecydowanie się na aktorstwo jest jak prośba o przyjęcie do domu wariatów. Każdy może się starać, lecz tylko patentowani pomyłenci zostają przyjęci...”. Usłyszałem te słowa na długo przed rozpoczęciem studiów i już wtedy pomyślałem, że to cały ja, mój charakter, moja osobowość. Nie wyobrażam sobie pracy za biurkiem. Jestem człowiekiem aktywnym, który poszukuje, nie usiedzi w miejscu. Owszem, wykładowcy czasem krzykną, tupną nogą, ale to jest forma sceniczna. Pracujemy na emocjach i nad emocjami.

Dla Pana to było trudne?

– Nie. Były momenty gorsze i lepsze, ale to wynika z wielu rzeczy. Ciężki czas miałem na drugim roku studiów, gdy moja mama zachorowała. Czułem się totalnie rozbity. Nie potrafiłem się pozbierać. W szkole teatralnej nie ma czasu na refleksję; jest praca, pęd. Byłem sam. To był trudny moment. Po zakończeniu roku poszedłem do pracy na budowę. Ciężko pracowałem przez trzy miesiące, bo nie mogłem pokazać słabości, też przed moją mamą. Wiedziałem, że muszę ją wesprzeć.

Wcześniej, po wypadku, wspierała zapewne mama?

– Dokładnie tak. Mama była ze mną. I w Krakowie, kiedy miałem operację, i później, przy kolejnych zabiegach i rekonwalescencji. Mama bardzo to przeżyła, bo wiedziała, jak wielkim marzeniem była dla mnie szkoła teatralna, ale cały czas mnie wspierała. Dlatego nie mogłem jej zawieść.

W okresie rehabilitacji miał Pan obawę, że marzenie o aktorstwie się nie spełni?

– Taki moment miałem dwa lata po wypadku. Zaraz po zastanawiałem się tylko, kiedy będę mógł zdawać. Po przeszczepie rogówki okazało się, że przepada mi kolejny termin egzaminów. Zobaczyłem listę osób, które dostały się do szkoły, nazwiska moich kolegów z Lart-u, z Młodzieżowego Domu Kultury i pamiętam, że nawet nie byłem zły, ale po prostu żałowałem, że ja tej szansy nie miałem. Trwało to tylko chwilę, starałem się te myśli odrzucać, bo wiedziałem, że wcześniej czy później będę zdawać do szkoły teatralnej.

Im później po maturze zdaje się do szkoły teatralnej, tym trudniej podejść do egzaminu?

– To zależy. Kiedyś tak było, ale teraz chyba to się trochę zmieniło. Zakłada się, że starsze osoby więcej przeżyły, mają bogatsze doświadczenie, inny ogląd rzeczywistości i są dojrzałe. Są szkoły – jak warszawska czy łódzka – które chętniej przyjmują młodych, ale mam wrażenie, że Akademia Sztuk Teatralnych we Wrocławiu przychylniej patrzy na starszych studentów i daje im szansę.

A kto zaszczepił w Panu miłość do aktorstwa?

– Szczerze mówiąc, nikt. Ani moja mama, ani tata nie są związani z teatrem. Pierwsze wspomnienie związane ze sceną pochodzi z przedszkola, kiedy śpiewałem na pożegnanie przedszkolanki. W zasadzie od tego czasu teatr mnie nie opuszczał. I w szkole podstawowej, i w gimnazjum, i w liceum chętnie występowałem i brałem udział w konkursach recytatorskich. Tak mi zostało. Byłem też dyżurnym recytatorem rodzinnym, ale niekoniecznie to lubiłem, bo czułem się wtedy skrępowany koniecznością występowania.

Znane jest Panu uczucie tremy?

– Odpowiem cytatem Andrzeja Chyry: „Trema to uczucie, które jest mi obce.” Brzmi dość megalomańsko, ale on rozwinął tę myśl w ciekawy sposób, bo powiedział, że jeżeli jest się przygotowanym i dokładnie wie się, co zrobić na scenie, to nie ma tremy. Coś w tym jest, bo kiedy mam absolutną pewność, że „zrobiłem” postać, to jest delikatny nerw, ale bardzo pozytywny. Taki nakręcający, typu „Chcę wyjść na scenę i grać!”.

Trudno uciec od tematu koronawirusa w kulturze, a co za tym idzie w teatrze. Czy po wszystkich doświadczeniach i niełatwej drodze do bycia na scenie, nie ma Pan trochę żalu do losu, że teraz trzeba czekać na możliwość pracy?

– Aktorstwo to zawód polegający na czekaniu. Niestety. Na castingu – czekanie w kolejce dwie, trzy godziny. Spektakl – czeka się na wyjście na scenę i kwestie partnera. W czasie pandemii staram się nie popadać w negatywne emocje. Zamiast myśleć, kiedy to się skończy, szukałem ekwiwalentu aktorstwa, który też dawałby mi pewną dozę satysfakcji i zacząłem malować. Na starych płytach winylowych maluję farbami akrylowymi różne wzory, coś jak mandale.



Fot. Izabela Rogowska



TEATR

Jest Pan zadowolony z ról, które udało się panu dotąd zagrać na scenie koszalińskiego teatru?

– To mi Pani zadała pytanie! Myślę, że jeżeli w aktorstwie nie dajemy sobie przestrzeni na dalszy rozwój, to stajemy się martwi. Wielokrotnie zastanawiałem się nad moimi rolami w BTD i wielokrotnie dochodziłem do wniosku, że coś bym w nich zmienił. Szczególnie w przypadku pierwszej, kiedy faktycznie chyba poczułem lekką treść.

Czy oprócz pracy w BTD daje sobie Pan przestrzeń na granie w filmach, innych teatrach?

– Szukam. Teraz przez pandemię było ciężko. Mam dwie warszawskie agencje aktorskie, niedawno udało mi się zmontować demo. Zobaczymy... Staram się działać, ale też pomału i spokojnie.

Mimo trudnego roku, niełatwej drogi do aktorstwa mam wrażenie, że mimo wszystko jest w Panu sporo spokoju.

– Jaką mam alternatywę? Denerwować się, przeklinać pandemię i los? Jest taka modlitwa Marka Aureliusza: „Boże, użyj mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić. Odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić. I mądrości abym odróżniał jedno od drugiego”. Myślę, że to kwintesencja tego, jak chcę żyć.

Adam Lisewski. Rocznik 1990. Urodził się w Toruniu. Student wydziału aktorskiego Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu. Jest fanem Ala Pacino i Seana Penna. Poza kinem i teatrem jego pasją są nurkowanie oraz piłka nożna. Role w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym: *Kolacja dla głupca*, *Dziękuję za różę*, *Wigilia Pani Skurcz*, *Kochane pieniądze*, *Kazuko*.

Fot. Magdalena Pater



Percepcja koła, CK 105

Fot. Tomasz Majewski / facebook.com/tomaszmajewski.foto



Dominic Miller, Filharmonia Koszalińska

Fot. Izabela Rogowska



Czytanie performatywne: *Sienkiewicz Superstar*, m-teatr

KULTURA I POGRANICZA

A sepia-toned illustration of a town, likely a historical or artistic rendering. The scene shows a cluster of buildings with various rooflines, including a prominent church spire or tower in the center-right. The background is filled with trees and a hazy sky, suggesting a distant or elevated viewpoint. The overall tone is warm and historical.

Wsparcie dla upowszechniających kulturę

Koszaliński samorząd rozpoczął kolejną inicjatywę skierowaną do osób zajmujących się sztuką. W maju 2020 roku miejscy radni przegłosowali uchwałę dotyczącą warunków i trybu przyznawania stypendiów w zakresie twórczości artystycznej, upowszechniania kultury i opieki na zabytkami oraz ich wysokości. Wnioski w pierwszej edycji można było składać do połowy sierpnia, a autorów wybranych projektów poznaliśmy na początku września.

Prace nad przygotowaniem programu trwały półtora roku. Zgodnie z regulaminem, stypendia prezydenta w dziedzinie kultury mogą być przyznawane mieszkańcom Koszalina lub osobom, które realizują projekty w Koszalinie lub ich działania dotyczą miasta. Nie obowiązuje kryterium wieku, choć w przypadku osób niepełnoletnich wniosek podpisuje i składa opiekun prawny.

Wysokość stypendium zależy od rodzaju zgłoszonego projektu. Na działania twórcze można otrzymać od 2 tys. zł do 6 tys. zł. Pula na pomysły z zakresu upowszechniania kultury waha się od 1 tys. zł do 5 tys. zł, a na działania związane z opieką nad zabytkami można otrzymać od 3 do 7 tys. zł.

Dotacja może być przeznaczona na działania twórcze we wszystkich dziedzinach kultury i sztuki, w tym na działania związane z upowszechnianiem kultury w zakresie: animacji i edukacji kulturalnej, organizacji wydarzeń artystycznych oraz warsztatów i szkoleń lub udziału w wydarzeniach artystycznych. Co istotne, realizacja projektu nie może wykraczać poza rok kalendarzowy, w którym stypendium zostało przyznane.

Uchwała określa też, na co nie można przeznaczyć dotacji. Uczestnicy w ramach projektu nie mogą kupić środków trwałych, zapłacić

honorarium osobom trzecim lub sfinansować przygotowania pracy licencjackiej, magisterskiej albo doktorskiej.

Nabór wniosków w pierwszej edycji programu stypendialnego rozpoczął się 24 czerwca 2020 roku. Mimo trwającej pandemii do Urzędu Miejskiego wpłynęły 33 propozycje. Nie wszystkie zostały jednak poddane pod ocenę powołanej przez prezydenta Piotra Jedlińskiego komisji, której przewodniczyła Krystyna Kościńska. Piętnaście z nich zostało odrzuconych ze względu na braki formalne.

Ostatecznie siedmioosobowe gremium złożone z radnych, członków Rady Kultury oraz przedstawicieli prezydenta Koszalina pochyliło się nad osiemnastoma wnioskami. Oprócz ich oceny członkowie komisji mieli także za zadanie przedstawienie propozycji wysokości stypendium dla każdego z uczestników.

Duże zainteresowanie programem i wysoki poziom przedstawionych propozycji sprawiły, że zaplanowana kwota została zwiększona z 20 tys. zł do 30 tys. zł. Dzięki temu środków wystarczyło na sfinansowanie sześciu projektów. Przyznane dotacje wyniosły od 4,5 tys. zł do 6 tys. zł. Ostateczną decyzję podjął prezydent Jedliński, po zapoznaniu się z wnioskami Komisji Stypendialnej. Wyniki ogłoszone zostały 7 września.

W kategorii działań twórczych we wszystkich dziedzinach kultury i sztuki dotację otrzymało pięć osób. Izabela Nowak zgłosiła pomysł napisania i wydania publikacji jubileuszowej *Koszalińska tradycja: 50 lat z rozśpiewaną Polonią*, będącej prezentacją wydarzeń artystycznych i edukacyjnych składających się na półwieczną historię działalności polonijnej. Publikację wydało Archiwum Państwowe w Koszalinie.

Wysoko oceniony został również projekt *Impressions of Koszalin* Sebastiana Kuchczyńskiego – stworzenie trzech współczesnych kompozycji audiowizualnych, opartych na autorskiej muzyce oraz istniejących fotografiach miejsc charakterystycznych dla Koszalina. Ukazały się one na kanale YouTube.

W gronie dofinansowanych propozycji znalazł się także projekt Greta Grabowskiej zatytułowany *Koszalin–Koeslin–teraz*, w ramach



Fot. Magdalena Pater

którego powstała seria prac wykonanych z wykorzystaniem przedwojennych okien. W kompozycjach połączone zostały wątki zaczerpnięte z przedwojennej i obecnej historii miasta oraz jego mieszkańców, na tle architektury lokalnej i pomorskiej. Prace prezentowane były w witrynach Galerii na Piętrze.

Stypendium przyznano również Waldemarowi Jaroszowi na realizację projektu *Znane i nieznanie zakątki Koszalina*, którego celem było zapisanie w artystycznej formie zanikających struktur architektonicznych w mieście. Powstało dwadzieścia ilustracji, a prace zostały wydane w formie albumu, a także zaprezentowane podczas wystawy w oknach Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

W kategorii działań związanych z upowszechnianiem kultury stypendium otrzymała Karolina Tomaszewska. Jej projekt *Warszta.ty* to trzy spotkania – jedno w listopadzie i dwa w grudniu 2020 – których wspólnym mianownikiem była kreacja obrazu bazującego na motywach związanych z Koszalinem.

Wśród wniosków dotyczących opieki nad zabytkami komisja wybrała projekt Marcina Orłowskiego *Działania związane z opieką nad zabytkami*, który dotyczył restauracji XIV-wiecznej ramy okiennej pochodzącej z koszalińskiej katedry. Niestety, w związku z obostrzeniami efekty jego pracy można podziwiać jedynie na zdjęciach.

Marcin Napierała

Zamiast jubileuszu – pożegnanie

To miał być tekst jubileuszowy. Miały być huczne obchody 70-lecia istnienia Społecznego Ogniska Muzycznego w Koszalinie, były plany na kolejne lata i nawet pomysł przekazania kierownictwa komuś młodszemu. Niestety, pandemia sprawiła, że uczestników zajęć z tygodnia na tydzień było coraz mniej, a rachunek wykazywał coraz większe straty. 30 listopada 2020 roku ognisko przestało istnieć.

– Czuję się jak grabarz – mówi z żalem Dariusz Szczęblewski, który przez ostatnich 31 lat kierował ogniskiem. – Ciągłe zadaję sobie pytania: Czy można było zrobić coś więcej? Czy można było coś zrobić lepiej? Czy ognisko można było uratować?

Kto zna pana Dariusza, wie, że to osoba tryskająca optymizmem. Nawet, gdy mówi te słowa, stara się uśmiechać, ale widać, że przychodzi mu to z trudem. Bo – jak zaznacza – Społecznemu Ognisku Muzycznemu poświęcił dwie trzecie życia. Zanim został jego dyrektorem, przez 20 lat pracował tam jako nauczyciel.

Początki

By w 1950 roku mogło powstać Miejskie Ognisko Muzyczne, koszalińscy społecznicy zaczęli się starać już cztery lata wcześniej. Po roku działalności przymiotnik „miejskie” zamieniono na „państwowe”. Jego rolą było kształcenie przyszłych instruktorów muzycznych do świetlic i domów kultury. Pod koniec 1958 roku ówczesne władze zdecydowały o przekształceniu Państwowego Ogniska Muzycznego w Państwową Szkołę Muzyczną, do życia powołano zaś nową organizację – Społeczne Ognisko Muzyczne pod dyktando Jana Antoniewicza. Od tej pory z usług organizacji mógł skorzystać każdy, kto chciał spróbować swoich sił w muzykowaniu czy śpiewaniu.

– Za najważniejsze uważano wykształcenie naturalnej potrzeby obcowania z muzyką – mówi Dariusz Szczęblewski. – Słusznie odstąpiono od zamiaru dublowania szkół muzycznych, jak i ambicji pracowania tylko z talentami.

Początkowo dyrektorzy ogniska zmieniali się dość często. Po Janie Antoniewiczu pałeczkę przejął Adam Chmielewski (1959), rok później – Zofia Surmińska. Dopiero w 1962 roku stery na całe 20 lat przejął ceniony muzyk, kompozytor i działacz muzyczny, Władysław Turowski.

Lata rozkwitu

Społeczne Ognisko Muzyczne pod kierownictwem Władysława Turowskiego zamieniło się w swego rodzaju ośrodek kultury. Bo tam już nie tylko chodziło o naukę gry na instrumentach, ale o obcowanie z kulturą!

Pierwszym dużym przedsięwzięciem było wystawienie widowiska *Salonik Chopina*. W 1967 roku koszalińskie ognisko zdobyło za nie I nagrodę na Wojewódzkim Festiwalu Społecznych Ognisk Muzycznych. Cztery lata później powstał *Wielki Pieśniarz Narodu Polskiego*, poświęcony Stanisławowi Moniuszce.

Symboliczną i jednocześnie bardzo smutną datą w historii placówki był 1 września 1983 roku. To początek roku szkolnego, na który czekali zarówno nauczyciele, jak i podopieczni ogniska. Niestety, to też data śmierci dyrektora Władysława Turowskiego. Tak zakończył się znaczący etap historii placówki. Jeszcze w tym samym roku ognisko otrzymało imię Władysława Turowskiego, a pamiątkową tablicę odsłoniła jego żona Maria.

Kolejne kamienie milowe w działalności przypadają na czasy dyrektora Franciszka Stańczyka (1982-1989). Dzięki jego staraniom Urząd Wojewódzki doposażył placówkę w nowe instrumenty. Ponadto dokonano reorganizacji, w wyniku której utworzono nowe okręgi: Koszalin, Kołobrzeg, Połczyn-Zdrój, Szczecinek i Złocieniec. Sam okręg koszaliński miał kilkanaście filii, m.in. w Darłowie,





Fot. Agnieszka Orea (2)

Mielnie, Biesiekierzu czy Niedalinie. – W naszym okręgu do ognisk uczęszczało około trzystu uczniów – wspomina pan Dariusz. – Dla dzieci ze środowisk wiejskich to miało ogromne znaczenie, bo często to był ich jedyny kontakt z kulturą.

Lata gwałtownych zmian

Po tym, jak Franciszek Stańczyk w 1989 roku zdecydował się przyjąć propozycję kierowania Sekcją Instrumentów Dętych w Zespole Szkół Muzycznych, dyrektorem ogniska został Dariusz Szczeblewski. Decydując się na objęcie tego stanowiska, nie wiedział jeszcze z jak wieloma zmianami będzie musiał się zmierzyć.

W 1993 roku zostało rozwiązane Koszalińskie Towarzystwo Muzyczne, długoletni sponsor ognisk muzycznych na terenie ówczesnego województwa koszalińskiego. Ponieważ ogniska nie miały osobowości prawnej, zdecydowano o powołaniu do życia Koszalińskiego Stowarzyszenia Społecznych Ognisk Muzycznych. Wtedy

też rozpoczęła się ewolucja samego ogniska z placówki nauczającej gry na instrumentach, w instytucję pracującą nad dużymi formami muzycznymi i słowno-muzycznymi.

– Pierwszą muzyczną bajką, jaką wystawiło ognisko, były *Niezwykłe przygody Kapitana Łukasza w państwie motyli* z tekstem Czesława Janczara, z muzyką koszalińskiego działacza kulturalnego i kompozytora Jana Schwarzlose – wspomina Dariusz Szczeblewski. – W następnym roku ognisko wystawiło widowisko historyczne *Z polską pieśnią i melodią przez wieki*. Były to pieśni i piosenki od powstania kościuszkowskiego po czasy współczesne. Nie dało się nie zauważyć niewielkiej wiedzy o polskich kompozytorach, dlatego w 1995 roku zorganizowaliśmy Konkurs Wiedzy o Życiu i Twórczości F. Chopina i S. Moniuszki.

Ognisko, z inicjatywy Agaty Filipowskiej, jednej z podopiecznych, zaczęło wydawać własną gazetkę „Presto”. Informowała ona o bieżących wydarzeniach w placówce, jej problemach, można było też

podszkolić się z umiejętności posługiwania się językiem angielskim.

Wydarzeniem, z którego szczególnie dumny jest ostatni dyrektor Społecznego Ogniska Muzycznego, było wystawione w 1997 roku na deskach Bałtyckiego Teatru Dramatycznego widowisko *Polowanie na Polanie – Wiosna*. – Scenariusz i muzykę napisał Łódzki kompozytor Józef Gałęcki, reżyserował dyrektor teatru Józef Skwark – mówi Dariusz Szczepkowski. – Na scenie wystąpili nie tylko uczniowie ogniska, ale także chór ze szkoły w Mścicach pod dyktando Bożeny Cienkowskiej oraz dzieci z klasy rytmiki, prowadzonej przez Kamilę Figielską. My w ognisku też mieliśmy klasę rytmiki i ona również odnosiła sukcesy! – dodaje.

Ponieważ młodzież wykazywała duże zainteresowanie formami teatralnymi, w placówce powstał Teatrzyk Ogniska Muzycznego, którym opiekował się Grzegorz Serwański. Udało się przygotować kilka premier.

Przeprowadzka

Ognisko muzyczne, które na stałe wpisało się świadomości mieszkańców Koszalina pod adresem przy ulicy Gwardii Ludowej 16 (dziś Pileckiego), w 2006 roku zmuszone zostało do przeprowadzki. Budowa ronda i remont ulicy pociągnęły za sobą konieczność rozbiórki budynku. Oficjalnie 20 marca 2006 roku placówka rozpoczęła działalność w nowej siedzibie – przy ulicy Andersa 26.

Podopieczni ogniska przygotowywali liczne koncerty okolicznościowe z okazji świąt państwowych, brali udział w Dniach Koszalina, rywalizowali w Muzykoramie, umilali czas pensjonariuszom domów pomocy społecznej czy seniorom w klubach osiedlowych.

– Bez naszych uczniów, którzy byli z różnych szkół w całym mieście, nie mogłyby działać zespoły muzyczne. Nasi podopieczni są nie tylko ich członkami, ale też założycielami! – mówi dyrektor. – Warto też wspomnieć o wspaniałej rozwijającej się klasie keyboardu prowadzonej przez Stefana Juraszczyka. Co ciekawe, młodzież z tej klasy w większości tworzyła zespół akordeonowy Akord.

W ogólnopolskich konkursach niejednokrotnie wygrywali lub zdobywali wyróżnienia. Podobnie zresztą jak na przykład uczniowie klasy gitarowej pod kierunkiem Zbigniewa Dubielli.

Gorzkie podsumowanie

Choć Dariusz Szczepkowski przypomina sobie wiele sukcesów, miłych wydarzeń w historii ogniska, nie sposób uciec od pytania o przyczyny końca. – Dziś młodzież jest inna niż kiedyś, rodzice też – mówi. – Kiedyś nie musieliśmy się niczym przejmować. Jeśli trzeba było coś w ognisku naprawić, zawsze znalazł się ktoś chętny. Gdy trzeba było coś kupić – też. W ostatnich latach zauważyłem, że rodziców, na których można było polegać, było zdecydowanie mniej. I oni, i ich pociechy nie traktowali już tego miejsca tak osobiście. Dzieci z kolei są przeładowane obowiązkami. Wpadają do nas na lekcję, potem jadą na naukę języka, konie, sport albo jeszcze coś innego. Nie mają czasu ani ochoty się w coś zaangażować. Dlatego też coraz trudniej było organizować koncerty, o widowiskach nie wspominając. Kto dziś miałby czas na dodatkowe próby?!

Przez 70 lat istnienia ogniska przez różne jego klasy przewinęło się – według szacunków Dariusza Szczepkowskiego – ponad 7 tysięcy osób. Niestety, więcej ich nie będzie.

– Gdy zaczęła się pandemia, gwałtownie zaczęła spadać liczba uczestników zajęć – tłumaczy Dariusz Szczepkowski. – Po wakacjach wróciło około 30. osób, a można się było spodziewać, że jesienią będzie tylko gorzej. Rachunek winien-ma był bezlitosny. Nie mogłem pozwolić na zadłużanie się ogniska. A wcześniej planowałem nawet oddanie stanowiska komuś innemu, młodszemu. Miałem nadzieję, że da się rozwijać placówkę, robić jeszcze wiele ciekawych przedsięwzięć.

Stowarzyszenie oficjalnie musiał rozwiązać sąd. 30 listopada 2020 roku Społeczne Ognisko Muzyczne w Koszalinie przestało istnieć. Gdy pytam czy to naprawdę koniec, czy może tylko przerwa i możliwy jest powrót, Dariusz Szczepkowski nie pozostawia złudzeń: – Byłoby to bardzo trudne, wręcz niemożliwe.

Kulturę jamneńską ocalić od zapomnienia

Fascynująca i niepowtarzalna, ale nadal mało znana. Mieszkańcy dawnego Jamna i Łabusza zaraz po II wojnie światowej opuścili swoje wsie, pozostawiając do dziś odkrywane wyjątkowe dziedzictwo. Kultura jamneńska to prawdziwa mozaika wpływów, jej bogactwo, kolory i kształty można poznać, po prostu odwiedzając Jamno, dziś już dzielnicę Koszalina. To miejsce, w którym o tożsamość kulturową dbają nie tylko muzealnicy, ale i sami mieszkańcy.

Aktywności społecznych, które kultywują niezwykłą kulturę tego miejsca, jest w Jamnie sporo. W 2019 roku z inicjatywy Jamneńskiego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego powstał projekt, dzięki któremu dziedzictwo Jamna mogli poznać najmłodsi mieszkańcy miasta. – Dzięki środkom z Narodowego Centrum Kultury, odwiedziliśmy koszalińskie szkoły w tradycyjnych, jamneńskich strojach, prowadziliśmy zajęcia połączone z lekcją historii, muzyki oraz elementami przedstawienia teatralnego – mówi Adam Siepracki, członek stowarzyszenia. – Mimo ograniczeń, udało się zrobić kilka projektów dzięki koszalińskiemu Budżetowi Obywatelskiemu.

Z inicjatywy stowarzyszenia w Jamnie pojawiły się ławki ze zdobieniami w tradycyjne wzory kwiatów oraz drewniane figury Julków Jamneńskich. Niebawem powstanie wiata przystankowa w tradycyjnym stylu szachulcowym, zaplanowany jest także remont przedwojennej, zabytkowej fisharmonii z naszego kościoła oraz otwarcie kawiarenki jamneńskiej, gdzie stowarzyszenie będzie mogło prezentować stare, zabytkowe eksponaty oraz organizować spotkania z mieszkańcami na temat historii Jamna i Łabusza.

Od lat w Jamnie działa zespół ludowy Jantarowy Kwiat z Jamna. Ich znak rozpoznawczy to tradycyjne jamneńskie stroje, które



Fot. Izabela Rogowska

często sami szyją i ozdabiają motywami charakterystycznymi dla ich kultury. Wydarzenia i ważne uroczystości odbywają się z ich udziałem. W minionym roku dwoje członków zespołu pobrało się, w tradycyjnych strojach jamneńskich i z orszakiem. Ceremonia odbyła się w Kościele pw. Matki Boskiej Różańcowej w Jamnie.



Sama para ma razem już ponad 160 lat i są wieloletnimi mieszkańcami Jamna.

Nie sposób nie wspomnieć o Zagrodzie Jamneńskiej. Jako jedna z nowszych atrakcji Koszalina i województwa zachodniopomorskiego cieszy się wśród turystów i mieszkańców miasta dużym zainteresowaniem. Niestety, ze względu na sytuację epidemiologiczną jej działalność w minionym roku musiała zostać ograniczona. Jednak mimo trudnego czasu, część wydarzeń udało się zorganizować. Wysoko rozwinięty zmysł artystyczny i poczucie estetyki mieszkańców dawnego Jamna spowodowały, że nawet drobne przedmioty codziennego użytku ozdobiane były z wielkim kunsztem i dbało-

ścią o charakterystyczne dla tej kultury detale. Mogli się o tym przekonać uczestnicy warsztatów z ceramiki, polichromii czy tkactwa, na których spotykają się całe rodziny. – W Zagrodzie Jamneńskiej można odwiedzić wystawę stałą, opowiadającą o życiu w dawnym Jamnie – zachęca Bogna Buziałkowska z koszalińskiego Muzeum. – Składa się ona z dwóch części – interaktywnej, gdzie można między innymi obejrzeć makietę dawnego Jamna lub przebrać się w kopię stroju jamneńskiego. W drugiej części – wystawienniczej – można podejrzeć, jak żyli mieszkańcy Jamna, z jakich sprzętów korzystali. Znajdują się tam unikatowe polichromowane meble, przedmioty codziennego użytku, narzędzia gospodarskie.

Andrzej Mielcarek

Wystawa, która wybrzmi

Zbiorowa tożsamość współczesnych Pomorzan wciąż jest czymś płynnym, stopniowo wypełniającym pustkę po przedwojennych mieszkańcach Pomorza mieszaniną tradycji, wartości i przekonań, które przynieśli z sobą mieszkańcy powojenni. W twórczości Greta Grabowskiej, koszalińskiej malarki, artystyczna analiza tego procesu, tak jak zjawisko wielokulturowości w ogóle, jest obecne od dawna. W efekcie powstają cykle prac układające się w kolejne interesujące ekspozycje. Gdyby nie pandemia koronawirusa, jedna z nich, zatytułowana *Pustka i światło*, otwierałaby w 2020 roku Festiwal Kultury Żydowskiej w Krakowie. Ta sama wystawa zainspirowała artystów koszalińskiego Stowarzyszenia Teatru Propozycji „Dialog” do przygotowania spektaklu, który na początku listopada 2020 roku miała okazję obejrzeć zaledwie garstka widzów.

Greta Grabowska mówi: – My, obecni mieszkańcy Pomorza, wszyscy jesteśmy skądś. Nasi rodzice albo my sami przyjechaliśmy z różnych stron, które miały swoją kulturę, zwyczaje i tradycje. Każdego w jakimś sensie oderwano od korzeni. Wpadliśmy do tygla, w którym z wymieszania rozmaitych składników powstaje coś nowego – jeszcze niestabilizowanego, nienazwanego, niepewnego. Gdyby nie II wojna światowa, moja rodzina żyłaby zapewne w Stryju, gdzie są jej korzenie, a tutaj mieszkaliby Niemcy. Jednak nastąpiło to niezawinione wyrwanie ludzi z ich bezpiecznego świata i przeniesienie w świat obcy. Trudno zliczyć krzywdy, które się z tym wiązały i znały ludzkie losy.



Fot. Izabela Rogowska

Grażyna Przybylak ze słupskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli od lat organizuje cykliczne fora poświęcone różnym wymiarom wielokulturowości Pomorza. Do jednego stołu zaprasza Polaków, Niemców, Kaszubów, Ukraińców, Ormian i Żydów. W pewnym momencie, w kontekście forów, zaproponowała Grecie Grabowskiej wystawę w szczególnym miejscu – dawnym kościele świętego Jerzego w Słupsku.

Malarka wspomina: – Zawsze lubię „obwąchać” miejsce, w którym mam się pojawić ze swoimi pracami. Zrobiłam tak i tym razem. Okazało się, że ten kościółek, niewielka rotunda, został w 1912 roku przeniesiony – z powodu rozbudowy miasta – w okolice murów miejskich. Kościoły zawsze miały status pewnej eksterytorialności przez to, że przynależała do nich otaczająca je ziemia. Ten teren był wyjęty spod jurysdykcji świeckiej, a władzę nad nim sprawowali duchowni. Przez pokolenia miejsce takie obrastało w rozmaite wydarzenia: odbywały się tam jarmarki, odpusty, pochówki, chrzty, śluby, a ludzie wyjęci spod prawa mogli za sprawą proboszcza ko-

rzystać z azylu. I oto z takiej szczególnej przestrzeni kościołek po 500. latach przeniesiono nagle na skraj parku. Dostrzegam w tym paralelę do losów przedwojennych i powojennych mieszkańców Pomorza. Wszyscy zostaliśmy oderwani od kulturowego tła w postaci znajomych krajobrazów, od widoku drzewa rosnącego na podwórku rodzinnego domu, zwyczajów, przesądów, grobów, autorytetów i odwiecznych ale „swoich” sporów. Rzucono nas jak kamienie w miejsca obce, zimne, nieoswojone, niewiele w sensie emocjonalnym nieznaczące.

Ostatecznie w odpowiedzi na zaproszenie Grażyny Przybylak powstała wystawa, na którą składały się abstrakcyjne widoki miast. Towarzyszyły im wstęgi wykonane z tyteku, odpornego na wilgoć materiału przypominającego papier, z naniesionymi na nie realistycznymi pejzażami i tekstami w rozmaitych językach. Teksty te nakładały się na siebie, przypominając przemieszane listy. W domyśle listy owych ludzi wykorzenionych.

Reakcje na wystawę były bardzo pozytywne. W następnym roku Grażyna Przybylak zaproponowała Grecie Grabowskiej kolejną wystawę, znów w wyjątkowym słupskim miejscu – dawnym żydowskim domu przedpogrzebowym. Parę lat wcześniej obiekt ten wyremontowano i oddano wraz z terenem, na którym znajdował się kiedyś kirkut, pod zarząd gdańskiej gminy żydowskiej. Michael Schudrich, naczelny rabin Polski, na nowo poświęcił obiekt, odmówił w nim kadisz, czyli tradycyjną żydowską modlitwę za zmarłych, ale jednocześnie przekazał go społeczności Słupska na cele kulturalne.

Greta Grabowska komentuje: – Od razu wiedziałam, że ze względu na miejsce, wystawa, którą przygotowuję, nie będzie przypadkowa. Długo zastanawiałam się, co tam powinnam pokazać, żeby adekwatnie oddać moje przeżywanie tego miejsca i energii, którą ono emanuje. Wtedy wpadła mi w ręce książka Wojciecha Wilczyka *Niewinne oko nie istnieje*. Autor wykonał ogromną pracę, bo w ciągu kilku lat objechał całą dzisiejszą Polskę, wykonując fotograficzną dokumentację pożydowskich budynków, w których znajdowały się kiedyś synagogi i inne miejsca modlitwy. Po wojnie, po Zagładzie, w oczywisty sposób zatraciły one swoje pierwotne przeznaczenie i najczęściej również dawny wygląd. To mnie bardzo poruszyło. Miejsca święte stały się domami mieszkalnymi, magazynami albo sklepami, warsztatami samochodowymi. Zwróciłam uwagę na to, że w książce nie ma nic z Pomorza. Zadziwiło mnie to. Za pośrednictwem osób prowadzących stronę internetową Sztetl.org.pl otrzymałam wskazówki, gdzie należy szukać – niejako w uzu-

pełnieniu wysiłku pana Wojciecha Wilczyka – na terenie Pomorza.

Malarka w wędrowce po województwach pomorskim, zachodniopomorskim i północnej Wielkopolsce odnajdowała większość punktów, które chciała odnaleźć. Rzecz w tym, że tam nie było już obiektów, nawet ze zmienioną funkcją, których można by się spodziewać. Zostały po nich puste przestrzenie. – Oglądałam miejsca po cmentarzach i synagogach – wspomina Greta Grabowska. – Wszystko, włącznie z progami, posadzkami, ostatnimi ceglami było stamtąd usunięte. Poczułam ogromną pustkę. Jednak dla mnie te miejsca były wypełnione energią. Dostrzegałam ich światło, bo te puste przestrzenie są w większości niewypełnione! Zostało tylko światło! Zaczęłam to rysować, a później powstała seria dziesięciu kolaży. I właśnie je zaprezentowałam w 2016 roku w dawnym słupskim domu przedpogrzebowym. W następnym roku planowałam już coś nowego, ale ze względu na to, że łódzki rabin, Symcha Keller, miał przyjechać na kolejne forum wielokulturowe, a chciał zobaczyć wystawę, została ona ponownie pokazana.

Prace Gretty Grabowskiej stały się inspiracją dla artystów koszańskiego Stowarzyszenia Teatr Propozycji „Dialog”. Według scenariusza Magdy Omilianowicz i w reżyserii Jerzego Litwina powstał poruszający spektakl. Są podczas niego eksponowane prace malarki, scenografię stanowią również slajdy z ikonografią nawiązującą do zaginionego świata kultury żydowskiej, aktorzy deklamują poezję dobraną przez Magdę Omilianowicz, o genezie cyklu *Pustka i światło* mówi ze sceny jego autorka.

Po kilkukrotnym przekładaniu terminu premiery, co miało związek z sytuacją sanitarną w Polsce, spektakl został pokazany tylko raz, na początku listopada 2020 roku. – Na widowni mogło zasiąść tylko 15 osób – wspomina Greta Grabowska. – Przedstawienie wyglądało więc jak próba generalna. Mamy nadzieję, że uda się go pokazać jeszcze nie jeden raz, gdy warunki na to pozwolą.

Warto podkreślić, że przedsięwzięcie STP Dialog zyskało patronat Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego oraz Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

Greta Grabowska komentuje: – Nie chodzi w tym wszystkim o jakieś szczególnie wspieranie Żydów w Polsce, ale raczej o zwrócenie uwagi na potrzebę zrozumienia innych narodowości i odmienności w ogóle, bo to jest obecnie w Polsce duży problem. Dotykamy niepopularnego obecnie – przynajmniej w oficjalnym obiegu idei – tematu, który jest jednak niezwykle ważny, bo pomaga budować dojrzałą świadomość społeczną.

Adria wraca do muzycznych korzeni

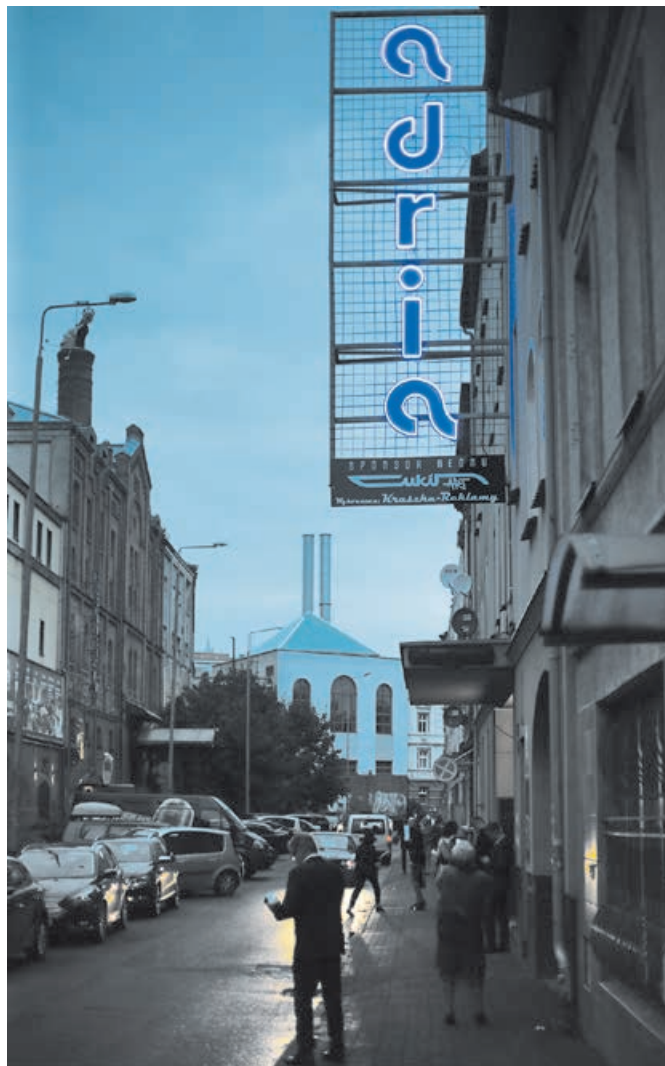
Pogłoski o tym, że dawne kino Adria ma znów tętnić kulturalnym życiem, rozgrzewały wyobraźnię niejednego miłośnika musicalu. W końcu do najbliższego teatru zajmującego się tym rodzajem sztuki trzeba jechać do Gdyni, Poznania albo Bydgoszczy.

Rozpoczęcie remontu budynku po dawnej Adrii, w której ostatnio mieścił się klub sportowy, niemal zbiegło się w czasie z wybuchem pandemii koronawirusa. Młodzi właściciele – Magdalena Łoś-Wojcieszek i Kacper Wojcieszek – zaparli się i mimo przeciwności losu dążyli do swojego wymarzonego celu. Udało się. Pierwsza premiera odbyła się 26 września przy widowni wypełnionej do ostatniego miejsca (co stanowiło niestety połowę wszystkich foteli). I trzeba powiedzieć, że zaczęło się z wysokiego C. Artyści wzięli na warsztat doskonale znany przebój filmowy *The Bodyguard* z niezapomnianymi rolami Whitney Houston i Kevina Costnera.

Budynek z historią

Większość mieszkańców Koszalina zapewne kojarzy Adrię z prywatnym kinem, które w zderzeniu z powstałym w naszym mieście multiplexsem nie miało szans i musiało zamknąć swoje podwoje. Ale budynek przy ulicy Grunwaldzkiej 8-10 ma historię przedwojenną. I nie chodzi tu wcale o II wojnę światową! Dokumenty zgromadzone w Archiwum Państwowym w Koszalinie dowodzą, że obiekt już w 1913 roku stanowił centrum kulturalne ówczesnego Kösłina. Natomiast kino Adria działało tu przez 62 lata, do 1 grudnia 2008 roku. Dla kilku pokoleń koszalinian to miejsce było kultowe. Jednak jak się okazało – nie na tyle, by utrzymało się na rynku.

Do tradycji kulturalnego przeznaczenia obiektu powrócił w 2020 roku jego nowi właściciele. Nie tylko zdecydowali o stworzeniu tu teatru muzycznego, ale nawet postanowili przywrócić



Fot. Magdalena Pater



dawny neon z charakterystyczną czcionką. Ufundował go kosza-
liński artysta Cukin.

Właściciele artyści

Magdalenę Łoś-Wojcieszek, dyrektorkę Teatru Muzycznego Adria, koszalińska widownia może pamiętać jako odtwórczynię głównej roli w spektaklu muzycznym Bałtyckiego Teatru Dramatycznego (BTD) *Romeo i Julia* (2010). Później na deskach koszalińskiego Teatru Variete Muza grała główne role w przedstawieniach: *O Mamma Mia!*, *Grease* oraz *Showlesque*.

Kacper Wojcieszek, dyrektor artystyczny Teatru Muzycznego Adria, swój talent taneczny kształcił w jednej z najbardziej znanych

szkół w Polsce, należącej do Agustina Egurroli. O tym, jak działa teatr od środka, przekonał się, pracując jako choreograf przy kilku produkcjach BTD. Jako reżyser zadebiutował w musicalu *O Mamma Mia!* Później reżyserował też *Grease* i *Showlesque*. Do tego ostatniego sam napisał scenariusz. Wyreżyserował też pierwszą produkcję wystawianą na własnych deskach – w Teatrze Muzycznym Adria.

Pierwsze koty za płoty

Główną rolę, Rachel Marron, podobnie jak we wcześniejszych produkcjach zagrała Magdalena Łoś-Wojcieszek. Jej talent wokalny jest niekwestionowany. Utwory w oryginale wykonywania niezwykle uzdolniona Whitney Houston i już niejedna wokalistka na nich pole-

gła, tu nie da się słyszeć ani fałszu, ani niepewności, ani nawet choć nieco mniejszej energii. Podobnie jest w przypadku Uli Laudańskiej, grającej Nicki, siostrę głównej bohaterki. Warto też wspomnieć o samej grze aktorskiej, która momentami jest naprawdę przejmująca.

Wyłącznie aktorskimi umiejętnościami wykazuje się na scenie Filip Łach, wcielający się w tytułową postać. Jego Frank Palmer jest przystojny, męski, chłodny i profesjonalny. Ale okazuje się także, że jest uzdolniony wokalnie. W jego wykonaniu usłyszeć możemy tylko jeden utwór, ale nie byle jaki – *I Will Always Love You*, co dla wielu osób może być zaskoczeniem, zwłaszcza że tę piosenkę powszechnie znamy z kobiecych wykonień.

W roli stalkera głównej bohaterki obsadzono Leszka Czerwińskiego, znanego koszańskiego publicystę z przedstawienia *Dom wschodzącego słońca* w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym (reż. R. Kołakowski, premiera w 2016 roku). Szkoda, że taki aktorski talent marnuje się, grając postać, która przez cały spektakl wypowiada zaledwie kilka zdań. Śmiało można było powierzyć tę rolę komuś mniej doświadczonemu.

A takich osób na scenie też nie brakuje. Radzą sobie dobrze, zwłaszcza że chyba wszyscy mają już za sobą przygodę ze sceną. Daniela Kluska (tu jako Bill Devaney) publiczność zna z przedstawień wystawianych w Teatrze Variete Muza, a Andrzeja Krysiaka (Tony Scibelli) z licznych projektów charytatywnych. Na szczególną uwagę zasługują odtwórcy roli Fletchera, syna Rachel: Tadeusz Lesiński i Oliwier Jarosik. Chłopcy nie wyglądają na stremowanych, są świetnie przygotowani i – co ważne – mówią głośno i wyraźnie.

Ponieważ to musical, nie mogło zabraknąć muzyki na żywo. Ta jest i to na światowym poziomie. Zapewnia to zespół pod kierownictwem Macieja Osady-Sobczyńskiego. On też był odpowiedzialny za aranżację wszystkich piosenek. Trzyosobowy zespół wokalny (Diana Gliniecka, Sylwia Piotrowska i Monika Reiske) wzbogaca przedstawienie, tworząc przyjemne tło dla głównych wokalistek. Wszystkie piosenki wykonywane są w oryginale, po angielsku. Dla osób, które nie są biegłe w tym języku, to spora przeszkoda w pełnym odbiorze przedstawienia. Utwory bowiem nawiązują do akcji i są niejako słowami wypowiadanych przez bohaterów.

Na scenie pojawia się też spora grupa tancerzy i momentami można było odnieść wrażenie, że scena jest dla nich zbyt mała. Być może stąd chwilowe braki synchronizacji. Przedstawienie z pewnością będzie jeszcze żyć i się zmieniać. Ma być zagrane 30 razy. Być może niektóre niedociągnięcia znikną.

Jeśli ktoś spodziewał się rozmachu na miarę Teatru Roma czy gdyńskiego Teatru Muzycznego, może być rozczarowany. Jeśli ktoś spodziewał się amatorskiego szkolnego teatryku, to powinien zachować złośliwości dla kogoś innego. Scenografia jest skromna, ale wystarczająca, by opowiedzieć historię. Stumetrowa scena wystarcza, by pomieścić wszystkich artystów. A fotele? Są krzesła, bardzo wygodne. I nie ma się co dziwić właścicielom, że zdecydowali się na takie rozwiązanie. Teatr, by mógł się utrzymać, musi być gotowy również na bale i inne imprezy, które mogą się w nim odbywać.

Plany na przyszłość

Trudno pisać o planach Teatru Muzycznego Adria w sytuacji, gdy pandemia krzyżuje wszystkie artystyczne plany. Na 6 grudnia 2020 roku planowana była premiera bajki. To miał być początek pewnej świeckiej tradycji – co roku przed świętami ma być wystawiany spektakl skierowany do dzieci. Właściciele teatru zdecydowali jednak odłożyć ten pomysł na lepsze czasy.

Pod koniec listopada ponownie (choć pierwszy raz w nowym miejscu) miał być grany spektakl *Showlesque*. Terminy zostały przełożone na grudzień, ale w momencie, kiedy powstaje ten tekst, już wiadomo, że przedstawienia znów trzeba było odwołać.

Teatr Muzyczny Adria zapowiedział uruchomienie własnej szkoły musicalowej. Uczestnicy, którzy będą podzieleni na dwie grupy wiekowe (9-12 lat i 13+), mają uczyć się śpiewu, gry aktorskiej i tańca. Na koniec sezonu artystycznego ma być wystawiony musical na profesjonalnej licencji z udziałem wychowanków szkoły.

Na początku trudnej drogi należy życzyć twórcom Teatru Muzycznego Adria i wszystkim osobom z nimi współpracującym, żeby każdy projekt, którego się podejmą, kończył się tak, jak wszystkie dotychczas zagrane spektakle *The Bodyguard* – owacją na stojąco i prośbą o bis.

Koszalin śpiewa w chórze

Od wielu lat miasto rozbrzmiewa pięknymi dźwiękami. Wracają dobre tradycje, powstają kolejne zespoły śpiewacze, a pod batutą fachowców amatorskie brzmienia nabierają profesjonalnych szlifów.

– Pojęcie „amatorstwa” w muzyce chóralnej jest dość szeroko dyskutowane: tu można bez tytułów i specjalistycznych szkół, pracując nad swoimi umiejętnościami pod okiem fachowców, osiągać bardzo ciekawe efekty – nie ma wątpliwości dr hab. Radosław Wilkiewicz, profesor nadzwyczajny na Wydziale Edukacji Muzycznej Akademii Sztuki w Szczecinie.

Pochodzącemu z Koszalina śpiewakowi, dyrygentowi i pedagogowi z powodzeniem udaje się tę prawdę wcielać w życie. Potwierdza to także prowadzony przez niego Chór Politechniki Koszalińskiej „Canzona”. Powstał w styczniu 2017 roku, kontynuując działania artystyczne i tradycje chóralne dwóch zespołów: Chóru Politechniki Koszalińskiej, założonego w 1993 roku przez Marka Bohuszewicza oraz Chóru „Canzona” Centrum Kultury 105 w Koszalinie, założonego w 1999 roku przez Mikołaja Borka. W rękach Radosława Wilkiewicza chór jest od ponad dekady. Śpiewają w nim studenci i absolwenci uczelni krajowych, wykonując utwory od muzyki dawnej do współczesnej o charakterze religijnym, świeckim i ludowym, a także opracowania negro spiritual, gospel, capoeira, standardów jazzowych i muzyki rozrywkowej.

Od kilku lat chór współpracuje z Filharmonią Koszalińską i Międzynarodowym Festiwalem Organowym w Koszalinie, wykonując wielkie dzieła wokalne-instrumentalne.

– Poszerzanie repertuaru wiąże się z udziałem w konkursach i festiwalach, a kiedy osiąga się pewien poziom wykonawczy, zaczynają się też pojawiać propozycje, które motywują do jeszcze większego wysiłku – mówi Radosław Wilkiewicz. – Pokazuję chórzystom, że mają znacznie większe możliwości, niż im się wydaje.

Równie imponująca jak repertuar, jest lista nagród przywiezionych przez Canzonę z rozmaitych ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów.

Laurów nie brakuje również kameralnemu Chórowi Centrum Kultury 105, założonemu przez Kamila Szafrana, studenta studiów doktorskich kierunku dyrygentury chóralnej przy Akademii Muzycznej w Gdańsku. Zespół zadebiutował w grudniu 2014 roku. Początkowo funkcjonował pod nazwą Chór Kameralny Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Koszalinie, potem patronat nad zespołem objęło Centrum Kultury 105. Śpiewają w nim uczniowie, studenci, a także osoby pracujące. – To nadaje szczególną barwę chórowi – przyznaje Kamil Szafran. – Głosy młode ją rozświetlają, starsze dają głębię.

Chór liczy ponad dwadzieścia osób. – Do naszego miasta moda na śpiewanie chóralne dopiero nadchodzi. Przyjeżdżając do Koszalina po studiach, byłem mocno zapalony do pracy, ale... nie bardzo było z kim. Może trochę pokutuje stereotyp myślenia o mało ambitnych, byle jakich wykonaniach chóralnych. Czuję misję odczarowania tego myślenia – przyznaje dyrygent.

Chór specjalizuje się we współczesnej muzyce sakralnej, odważnie sięga po utwory kompozytorów młodego pokolenia, niekiedy pisane specjalnie dla koszalińskiego zespołu. Ale ma także w repertuarze kompozycję z poszczególnych epok, poczynając od renesansu poprzez klasycyzm i romantyzm; znajdzie się także muzyka rozrywkowa.

W fakcie, że Koszalin śpiewa i to coraz lepiej, ma swój niemały udział Ewa Szereda. – Chóralistyka w mieście się rozwija – mówi. – Przede wszystkim za sprawą pasjonatów, a także wychowanków tych pasjonatów. Dzięki temu poziom rośnie. Nie da się porównywać Koszalina z dużymi ośrodkami akademickimi, ale warto doceniać to, co jest – mówi dyrygentka, absolwentka Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Jej zasługą jest reaktywowanie po dłuższej przerwie chóru Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych.

Prowadzony przez nią od 1991 roku Dysonans niezmiennie jest doceniany nie tylko w regionie. Po latach pracy z chórami młodzieżowymi, na początku 2011 roku postanowiła rozśpiewać i dorosłych koszalinian. Już w kwietniu 2011 roku chór Koszalin Canta (który swoją nazwę otrzymał w plebiscycie mieszkańców miasta) wykonał wspólny koncert z Filharmonią Koszalińską, zaś w sierpniu uczestniczył w koncercie finałowym Międzynarodowego Festiwalu Organowego. Od tego czasu zespół działający przy CK 105 odnotował wiele występów, a w 2019 roku wywalczył dyplom złoty na Bałtyckim Konkursie Chórów „Pomerania Cantat”. Ogólnopolski konkurs organizowany jest naprzemiennie w Koszalinie i Słupsku. Biorą w nim udział (z powodzeniem) niemal wszystkie koszalińskie chóry. Zmagania przyczyniają się do ich rozwoju. – Koszalin jest coraz lepiej rozśpiewany i coraz go lepiej słyszeć na scenach w Polsce – nie ma wątpliwości Ewa Szereda, choć przyznaje, że współczesnym ludziom coraz trudniej znaleźć czas na śpiewanie.

Najwięcej mają go jednak seniorzy i mówiąc o koszalińskich chórach, trudno o nich nie wspomnieć. Do najbardziej aktywnych należy chór Frontowe Drogi, działający przy CK 105. W 2019 roku hucznie świętował 35-lecie. Powstał przy Związku Inwalidów Wojennych. Pierwszymi chórzystami byli jego członkowie i ich rodziny. Do 2003 roku prowadził go Bogumił Winiarski, a po nim Stanisław Krótki. – Wtedy też ja zacząłem swoje śpiewanie w chórze, a jako nauczyciel muzyki miałem spory zasób wiedzy metodycznej, mogłem więc przejąć samodzielnie batutę – podkreśla Franciszek Huruk.

W repertuarze zespół ma szeroki wachlarz pieśni związanych z historią, ojczyzną i regionem, ale śpiewa również piosenki ludowe i kościelne. Umundurowany, niezmiennie elegancko prezentuje się na scenach w regionie, bierze udział w przeglądach i konkursach, uświetnia imprezy okolicznościowe. – Mamy swoich fanów, choć oni, podobnie jak chórzyści, stopniowo się wykruszają. Śpiew w chórze wymaga ciężkiej, systematycznej pracy, a wiek już nie wszystkim na to pozwala – przyznał dyrygent. Pod patronatem chóru odbywa się Międzyszkolny Festiwal dla szkół podstawowych „Śpiewać Polskę”, jest też promotorem audycji *Chór Frontowe Drogi i jego goście*.

Warto wspomnieć o innym seniorskim zespole, który pod swoją batutą skupia Winfred Wojtan. Chór, który swoją nazwę bierze od nazwiska dyrygenta, tworzą połączone siły Koszalińskiego Chóru Nauczycielskiego oraz Chóru „Złote Kłosy”. Prezentuje pieśni i piosenki ludowe, patriotyczne, religijne, melodie z operetek, oper, filmów i musicali. Dyrygentem i autorem opracowań muzycznych oraz autorem niektórych utworów jest Winfred Wojtan.

Przez lata prawdziwą instytucją dla koszalińskich śpiewaków było małżeństwo Marii i Wacława Dąbrowskich, pedagogów, dyrygentów, założycieli wielu chórów i zespołów. Pani Maria nieprzerwanie od 30 lat pracuje z dwoma chórami: Chórem św. Kazimierza, działającym przy parafii pw. Ducha Świętego i niewielkim chórem w I Liceum Ogólnokształcącym im. Dubois. – Chór parafialny ma zupełnie inną specyfikę. Służy przede wszystkim liturgii i na tym koncentruje się praca – mówi Maria Dąbrowska. Zespół liczy ok. 60 osób, przede wszystkim starszych. Bez wątpienia ewenementem nie tylko wśród chórów parafialnych jest chór Lutnia śpiewający w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego.

Powstał w pierwszych, powojennych miesiącach i do dziś z powodzeniem służy swoim śpiewem podczas nabożeństw. Przez wiele lat prowadził go Marcin Sidorowicz, potem kierownictwo przejął Wiesław Soja, znany koszalinianom organista i dyrygent, którego pracę docenił i prezydent miasta, i kapituła nagrody prof. Ireny Maculewicz-Żejmo. – Chórzyści z Lutni śpiewali podczas wielu ważnych wydarzeń kościelnych. Witali odwiedzających Koszalin kardynałów Hlonda i Wyszyńskiego, uświetnili ingres do koszalińskiej katedry biskupa Ignacego Jeża, śpiewali podczas wizyty w Koszalinie papieża Jana Pawła II – wylicza Wiesław Soja. Wielokrotnie występowali z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej. Dzisiaj przede wszystkim służą podczas nabożeństw we własnym kościele parafialnym.

Swoją chór ma także parafia greckokatolicka. Chór Potik powstał w 2008 roku z inicjatywy ukraińskiej mniejszości narodowej skupionej przy cerkwi. Popularyzuje dawne oraz współczesne ludowe pieśni ukraińskie różnych regionów. W repertuarze chóru znajdują się patriotyczne, miłosne, żartobliwe i religijne pieśni śpiewane a capella, jak również pieśni cerkiewne. Zespół wielokrotnie występował oraz otrzymywał wyróżnienia na regionalnych konkursach. Dyrygentem chóru jest Piotr Baran.

Koszalińskie chóry to nie tylko klasyka. Pod koniec 2017 roku pojawiło się w mieście coś nowego. – Kiedy przeprowadzałam się do Koszalina, nie miałam pojęcia o tym, że Stowarzyszenie Koliber organizuje w mieście warsztaty gospelowe, za to miałam w sercu wielką potrzebę śpiewania gospel. Kiedy spotkałam się z Robertem Suszczakiem wystarczyło, że powiedział: „szukam kogoś, kto poprowadzi chór gospel!” – wspomina początki Koszalińskiej Grupy Gospel jej dyrygentka, Anna Jachimowicz, wokalistka, flecistka, dyrygentka, nauczycielka. Absolwentka dwóch kierunków Akademii Muzycznej w Gdańsku przekonuje, że na zimnej północy nie braku-

je ludzi czujących powiew gorącej energii, jaką daje gospel: – Trzeba lubić tę muzykę i umieć się nią bawić. Najważniejszy jednak jest przekaz. Jeżeli wokalista wie, o czym śpiewa, zupełnie inaczej jest odbierany. Nieraz na próbie przekonujemy się, że tu nie wystarczą nuty i tekst. Technika jest ważna, ale muzyka musi płynąć z serca – podkreśla. Śpiewają gospelowe standardy, ale dyrygentka nie boi się aranżować dobrze znanych utworów, jak choćby bardzo tradycyjne kolędy.

Najbardziej chyba cieszą chóry dziecięce. – Żeby zbudować tradycje wokalne, trzeba zacząć od dzieci – mówi Radosław Wilkiewicz. – Tu na efekt trzeba będzie poczekać, ale ktoś to musiał zacząć – nie ma wątpliwości założyciel Chóru „Pomerania Cantat” Dziecięcej Akademii Chóralnej. Zespół ma charakter międzyszkolny. Tworzą go uczennice i uczniowie koszalińskich szkół podstawowych. Dyrygentami są Radosław Wilkiewicz oraz Kamila Figielska. Zespół istnieje od trzech lat i już ma na swoim koncie m.in. *Missa brevis* Krzesimira Dębskiego, które wykonał pod dyktando kompozytora, z towarzyszeniem Krakowskiego Trio Stroikowego oraz Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Koszalińskiej, a także występ obok wirtuosa skrzypiec, Konstantego Andrzeja Kulki.

Chórzystę trzeba wychować. Z tego założenia wychodzi również Kamil Szafran, który także ma propozycję dla młodego pokolenia śpiewaków. Przy Pałacu Młodzieży działa chór dziecięcy z oddzielną sekcją chłopięcą. – Kiedy te dzieci pójdą do szkół średnich, nie trzeba będzie ich namawiać, wieszać plakatów, ogłaszać naborów, bo po prostu śpiewanie będzie dla nich czymś naturalnym i naturalnie przejdą do starszych grup – nie ma wątpliwości dyrygent. A to bardzo dobrze rokuje.

Dop. red. Większość chórów koszalińskich w okresie pandemii ograniczyło lub okresowo zawiesiło działalność. Jednak nie to było przedmiotem prezentacji autorki. Chóry przeniosły swoją działalność do internetu, organizowały koncerty online lub występowały w otwartych przestrzeniach z zachowaniem rygorów sanitarnych. Niemniej 2020 roku, jak całej kulturze, środowisku koszalińskich chórzystów przyniósł stan hibernacji. O tym, jak poradziły sobie zespoły w pandemii, jak poradzą sobie po jej, mamy nadzieję, ustąpieniu oraz jak doświadczenia z zamknięcia zmierzają wykorzystać w przyszłości, napiszemy w „AKK 2021”.

Miesięcznik, portal, rocznik

Od początku 2020 roku Koszalińska Biblioteka Publiczna jest wydawcą „Koszalińskiego Grafiku Kultury”. Tym samym miesięcznik i prowadzony przez KBP portal grafikkultury.pl pod jednym szyldem informują o wydarzeniach artystycznych organizowanych w naszym mieście.

Warto wspomnieć, że „Koszaliński Grafik Kultury” pod nazwą „Trendy Koszalin” w ostatnich latach wydawany był przez Centrum Kultury 105.

Informator w wersji papierowej, na 28 stronach mieści kalendarium oraz zapowiedzi wydarzeń. Jest bezpłatny i dostępny w kilkudziesięciu miejscach Koszalina. Portal został uruchomiony w październiku 2017 roku, jako kalendarium internetowe. Oba media łączy teraz nie tylko wspólna nazwa, ale także spójna szata graficzna zaprojektowana przez Łukasza Waberskiego. Uzupełnia je oczywiście „Almanach Kultury Koszalińskiej”, będący rocznym, publicystycznym podsumowaniem wydarzeń kulturalnych.

W 2020 roku ukazało się drukiem siedem wydań „Koszalińskiego Grafiku Kultury”, a w czasie ograniczeń związanych z pandemią – cztery biuletyny specjalne online. Ze względu na specyfikę roku, miejsce zapowiedzi imprez zajęły teksty publicystyczne, ale pismo pozostało medium informującym o działaniach podejmowanych przez środowisko kulturalne. (red)



POŻEGNANIA PODSUMOWANIA

A sepia-toned illustration of a town with a church spire, serving as a background for the title. The illustration shows a dense cluster of buildings with various rooflines, and a prominent church spire rises in the center. The style is reminiscent of a watercolor or a faded photograph, with a warm, brownish-orange color palette.



Alefityna Gościńska (1934-2020)

20 marca 2020 roku odeszła Alefityna Gościńska, ceniona i popularna aktorka telewizyjna i teatralna, pedagożka, znana bibliofila. Pochodziła w Warszawy. W latach 60. XX wieku grywała w spektaklach telewizyjnych, później należała do pokolenia „aktorów wędrujących”. W latach 1986-1989 grała na deskach Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie.

Ponadto występowała w teatrach: im. Jaracza Olsztyn-Elbląg (1960-1964), Komedia w Warszawie (1969-1983), im. Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim (1983-1984), im. Fredry w Gnieźnie (1984-1985), Dramatycznym w Elblągu (1985-1986), im. Kochanowskiego w Radomiu (1989-90) i Polskim w Bydgoszczy (1990-1993, 1997-1999).

W ostatnich latach widom TVN znana była między innymi z serialu *39 i pół*, gdzie wcielała się w postać pani Walewskiej. Zagrała również epizodyczne role w serialu *Na sygnale* (TVP) i w filmie *Mój rower* w reżyserii Piotra Trzaskalskiego (2012).

Miała 85 lat.



Julian Giedych (1940-2020)

29 kwietnia 2020 roku odszedł Julian Giedych, architekt, urbanista, grafik. Przez dziesięciolecia był związany z Koszalinem.

Urodził się w miejscowości Marianki koło Rypina. W Rypinie skończył szkołę podstawową i Liceum Ogólnokształcące. Był absolwentem Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej (1964) i Podyplomowego Studium Planowania Przestrzennego na Politechnice Koszalińskiej (1970). Po studiach powrócił do Rypina, gdzie pracował w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego (1957).

Zanim w 1974 roku przyjechał do Koszalina, pracował w Wałczu jako dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych, zastępca architekta powiatowego i kierownik powiatowego zespołu urbanistycznego. W Koszalinie w latach 1974-1981 sprawował funkcję architekta miejskiego.

Od 1969 roku był członkiem koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia Architektów RP (SARP) i członkiem Zachodniopomorskiej Okręgowej Izby Architektów RP, a w latach 1987-1990 – sekretarzem zarządu okręgowego SARP. Przez wiele lat należał do Towarzystwa Urbanistów Polskich.

W Koszalinie był także głównym projektantem w Biurze Projektów Sportowych i Rekreacyjnych oraz kierownikiem Pracowni Urbanistycznej w Wojewódzkim Biurze Planowania Przestrzennego. Po wprowadzeniu reformy administracyjnej, od 2000 roku do przejścia na emeryturę pracował jako projektant generalny w Regionalnym Biurze Gospodarki Przestrzennej Województwa Zachodniopomorskiego w Szczecinie. Miał również własną Pracownię Architektoniczno-Urbanistyczną.

Mimo niezwyklej aktywności i licznych zajęć znajdował czas na pracę twórczą i działalność wydawniczą. Uprawiał rysunek, grafikę, akwarelę. Uwieczniał piękno krajobrazu i architektury kraju. Prace prezentował na licznych wystawach zbiorowych i indywidualnych w wielu miastach. Ostatnia miała miejsce w 2001 roku, w Galerii Ratusz w Koszalinie. Wydał zbiory grafik: *Zabytki Parku Krajobrazowego Doliny Słupi* (1989), *Park Krajobrazowy Doliny Słupi* (1990) i – wspólnie z żoną Bożeną, artystą plastykiem – *Rypin w grafice* (1995).

Został pochowany w Rypinie. Miał 80 lat.



Edward Rokosz (1946-2020)

22 sierpnia 2020 roku odszedł Edward Rokosz, malarz, grafik, rzeźbiarz. Urodził się w 1946 roku. Szkołę średnią artystyczną im. Antoniego Kenara w Zakopanem ukończył w 1966 roku. W 1972 roku otrzymał dyplom Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku na wydziale malarstwa i rzeźby. Do Koszalina przyjechał w 1974 roku.

W grupie twórczej realizował prace w technikach ściennych. W 1974 i 1975 uczestniczył w Międzynarodowych Spotkaniach Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach. W 1980 roku wyjechał do Berlina Zachodniego. Tam, już jako członek związku artystów w Niemczech, uczestniczył w prezentacjach. We wrześniu 1985 roku Niemcy zamienił na USA.

Mieszkał w kilku stanach: Nowy York, Virginia, Kalifornia, Floryda i Północna Karolina. Brał udział w wystawach zbiorowych i indywidualnych. Przez ponad 26 lat pracował w Karolinie, zajmując się konserwacją zabytków. Po otwarciu własnej firmy realizował zlecenia prywatne i instytucjonalne. Brał udział w konkursach, projektował rzeźby w miejscach publicznych, zdobywał nagrody i wyróżnienia.

W 2017 roku wraz z żoną, Amerykanką Sarą Berman-Rokosz, powrócił do Polski. Przywiózł ze sobą prace i dokumentację działalności. Zamieszkali nad Bałtykiem – w Łazach pod Koszalinem.

W maju 2018 roku w koszalińskiej Galerii na Piętrze artysta pokazał przekrojową wystawę swoich prac malarskich i rzeźbiarskich. Wernisaż przyciągnął tłumy. W październiku tego samego roku, w Delegaturze Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie, została zaprezentowana wystawa fotosów Edwarda Rokosza, dokumentująca dzieła powstałe oraz szkice prac, które powstały lub miały powstać.

Miał 74 lata.



Stefania Tomaszewska (1939-2000)

24 lipca 2020 roku odeszła Stefania Tomaszewska, nauczycielka fizyki, inżynier budownictwa, pionierka Koszalina. Od 1959 roku związana ze Stowarzyszeniem Teatr Propozycji „Dialog”, przez długie lata wiceprezes teatru.

Grała, reżyserowała, adaptowała, inscenizowała poezję i prozę, wspierała innych twórców, służyła radą. Jak nikt, potrafiła z zainteresowaniem opowiadać o próbach, inspiracjach, kulisach powstawania kolejnych realizacji. Współpracowała przy organizacji *DIALOGÓW O KULTURZE*, spotkań autorskich w „Dialogu” i redagowaniu wydawnictw okolicznościowych o teatrze, uczestniczyła w akcji *Cała Polska czyta dzieciom*. Współuczestniczyła w organizacji wystaw plastycznych w Domku Kata. Była aktywna, twórcza, pomysłowa.

Na scenie zadebiutowała w 1959 roku w *Pod drzwiami* Wolfganga Borcherta. Zagrała w sztukach do tekstów Wisławy Szymborskiej, Doroty Masłowskiej, Kornela Makuszyńskiego, Bolesława Leśmiana, Ingmara Bergmana, Adama Zagajewskiego, Friedricha Dürrenmatta. Najlepiej czuła się w klasycznym repertuarze, w którym doceniała finezję słowa i możliwości interpretacyjne.

Jako reżyserka najchętniej przenosiła na scenę utwory poetek intelektualistek: Agnieszki Osieckiej, Julii Hartwig, Ewy Lipskiej, Kazimierzy Iłakowiczówny, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Emilii Szczeptańskiej. W wielu z tych przedstawień również z powodzeniem wystąpiła.

„Z głębokim żalem informujemy, że odeszła od nas Stenia. Stefania Tomaszewska – współzałożycielka „Dialogu”, aktorka, członkini zarządu, nasza przyjaciółka i mentorka – napisali na profilu FB Dialogu aktorzy i pracownicy teatru. – Pozostała pustka, której nie da się wypełnić niczym”.

W 2018 roku otrzymała złotą Odznakę Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego. W tym samym roku, a wcześniej w 2002 roku, prezydent Koszalina wyróżnił Stefanię Tomaszewską nagrodą za działalność w dziedzinie kultury. W 2019 roku, jako jedyna żyjąca twórczyni teatru, świętowała 60-lecie pracy artystycznej w „Dialogu”. Miała 81 lat.



Regina Adamowicz (1928-2020)

1 listopada 2020 roku odeszła Regina Adamowicz, poetka. Urodziła się w Gojcieniszkach w dawnym województwie nowogrodzkim. Dziadkowie Reginy Adamowicz byli administratorami posiadłości ziemskiej, rodzice rolnikami. Do Koszalina dotarła 1 maja 1946 roku przez Bieniakonie koło Woronowa. Pracowała przy odgruzowaniu miasta, wspólnie z innymi pionierkami, Marią Hudymową i Marią Pilecką, zakładała biblioteki zakładowe, zorganizowała teatr objazdowy. „Wrosłam w to miejsce – mówiła o sobie. – Brakowało mi zapachów Wileńszczyzny, ale szybko odkryłam urok ziemi koszańskiej. Dzisiaj uważam się za koszańniankę. Na tych terenach urodzili się moi synowie, tutaj pochowani są rodzice. Jestem w domu”.

Do 1988 roku kierowała księgowością w Fabryce Maszyn Budowlanych. Wiersze pisała od końca lat 40. XX wieku, w wieku senioralnym zdecydowała się na ich regularne wydawanie (w koszańskim wydawnictwie KryWaj). Pisała dużo, o wszystkim, najwyżej ceniła tematykę patriotyczną i religijną. Szczególnie lubiła pisać dla dzieci, inspiracji szukała w ludziach, wydarzeniach, przestrzeni, przyrodzie, otoczeniu. Poezję upowszechniała w szkołach, przedszkolach. Recytowała swoje wiersze, opowiadała o pierwszych latach w Koszalinie. Wydała tomiki: *Naszyjnik* (2000), *Przekroczyć ścianę wiatru* (2005), *Sen o wiośnie* (2007), *Nie żałuj motylom* (2008), *Myśli dalekie i bliskie* (2010), *Jeszcze jestem* (2014).

W konkursach literackich zdobyła kilkanaście znaczących nagród i 30 wyróżnień. Aktywnie działała w koszańskim Krajowym Bractwie Literackim. Wiersze publikowała w zbiorach i w antologiach. Przez wiele lat była najstarszą żyjącą pionierką Koszalina. Uczestniczyła w spotkaniach pionierów tych ziem. Należała do Stowarzyszenia „Dzieci Wojny”, Klubu Inteligencji Katolickiej, Stowarzyszenia Przyjaciół Koszalina i innych organizacji społeczno-kulturalnych.

W 2016 roku, podczas Gali Koszańskiej Kultury, Regina Adamowicz została uhonorowana nagrodą prezydenta miasta za osiągnięcia w dziedzinie tworzenia, upowszechniania i ochrony kultury, natomiast w 2017 roku otrzymała odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznaną przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego, a wręczoną przez prezydenta Koszalina. Miała 92 lata.



Andrzej Turczyński (1938-2020)

15 listopada 2020 roku odszedł Andrzej Turczyński, pisarz, poeta, dramaturg, publicysta, tłumacz poezji rosyjskiej i hiszpańskiej. Przez wielu krytyków i czytelników uważany za jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy polskich. Mieszkał w Koszalinie.

Pochodził z Lublina, z kresowej rodziny ziemiańskiej o długich tradycjach artystycznych. Rodzice pisarza byli malarzami, stryj wybitnym pianistą i wydawcą, wraz z Ignacym Paderewskim, dzieł Fryderyka Chopina, inny stryj etnografem i pisarzem polsko-ukraińskim.

Dzieciństwo spędził w majątku rodzinnym na Podolu. Po wybuchu wojny został z matką i siostrą wywieziony do Kazachstanu. W latach 1945-1948 mieszkał w Moskwie, tam chodził do szkoły. Po powrocie do Polski jego rodzina osiadła w Lublinie. W maturze w 1955 roku studiował polonistykę na Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, a następnie filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i Uniwersytecie Warszawskim.

Pracował w „Kurierze Lubelskim”. W latach 1959-1961 przebywał w Paryżu i Grenoble. Po powrocie zamieszkał w Olsztynie (1962-1964), gdzie był współzałożycielem pisma literackiego dla młodzieży „Przemiany”. W 1969 roku wydał swój pierwszy dramat *Ubrani są nadzy*. Tego samego roku objął stanowisko kierownika literackiego w Teatrze Lalek Banialuka w Bielsku-Białej. Współtworzył I Międzynarodowe Biennale Teatrów Lalkowych. W 1964 roku przeprowadził się do Warszawy i objął funkcję redaktora technicznego w Biurze Wydawniczym Dom Książki.

W latach 70. XX wieku zamieszkał w Koszalinie. Współpracował z Radiem Koszalin. W latach 1974-1975 kierował lokalnym wydaniem poznańskiego czasopisma „Tydzień”. W 1977 roku nawiązał współpracę z Teatrem im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim. Współpracował z redakcją literacką Radia Koszalin oraz „Głosem Koszalińskim”, a później „Głosem Pomorza”. Przez wiele lat związany z Interdyscyplinarnym Zespołem Badań Sowieologicznych Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie zajmował się tłumaczeniem i opracowywaniem twórczości filozofów i teologów rosyjskich z XIX i XX wieku.

Debiutował na łamach prasy regionalnej poematem i opowiadaniem, które ukazały się w czasopiśmie „Kamena”. Debiutancki tomik wierszy *Żdźbło morza* ukazał się w Wydawnictwie Morskim (1971). Pierwszą książką prozatorską było *Wypłuczysko* (1977), bardzo dobrze przyjęte przez czytelników i krytykę w kraju i poza granicami. Opowiadania, wiersze, felietony, recenzje, przekłady, eseje publikował na łamach kilkudziesięciu czasopism, m.in. w „Kulturze”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Życiu Literackim”, „Poezji”, „Teatrze”, „Odrze”, „Czasie Kultury”. Przez wiele lat, od 1991 roku, stale współpracował z miesięcznikiem „Twórczość”. Wydał około 40 książek, a twórczość Andrzeja Turczyńskiego jest przedmiotem wielu innych publikacji.

Laureat licznych nagród, w tym Fundacji Kultury (1994), Księcia Konstantego Ostrońskiego (1997), Świętego Brata Alberta (1999), Nagrody Specjalnej Ministra Kultury (2005). Powieść *Znużenie* znalazła się w gronie utworów nominowanych do Nagrody Literackiej Nike w 2001 roku. W tym samym roku autor uzyskał nominację do Paszportu Polityki. W 2012 roku jego powieść *Koncert muzyki dawnej* została nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia.

Zmarł w Szczecinie. Miał 82 lata.



Takis Grancaris (1934-2020)

25 listopada 2020 roku odszedł Takis Grancaris, realizator dźwięku w Radiu Koszalin (RK). W rozgłośni przepracował 44 lata, dla radiowców pozostał niedoścignionym mistrzem. Z pochodzenia nie był, jak mówiono, Grekiem, lecz Macedończykiem. Urodził się w zachodniej Macedonii. Jego rodzice mieli gospodarstwo rolne. W greckiej wojnie domowej ojciec należał do partyzantki, trafił do więzienia rządowego. Pod koniec lat 40. XX wieku Takis znalazł się w wielotysięcznej grupie grecko-macedońskich dzieci, które przez Rumunię przyjechały do Polski (w latach 40. i 50. do kraju przybyło 14 tysięcy uchodźców greckich). W 1948 roku jako 14-latek, trafił do obozu przejściowego pod Warszawą, a stamtąd do Technikum Mechaniczno-Radiotechnicznego w Dzierżoniowie. Po zakończeniu nauki otrzymał skierowanie do pracy. 1 stycznia 1957 roku został pracownikiem Radia Koszalin. Był pierwszym realizatorem programów na żywo (live) i radiowcem poszukującym. Wspecjalizował się w trudnych formach: reportażach, słuchowiskach. – *Dziękuję Koszalińska szkoła reportażu odnosiła tak duże sukcesy – przypomina Andrzej Rudnik.*

31 lipca 2001 roku przeszedł na emeryturę. Andrzej Rudnik wspomina anegdoty: – *Na naszym ślubie [Jolanta Rudnik była długoletnią reportażystką RK] Takis stwierdził: „To wy wcześniej żyliście w jakobinacie”, myląc konkubinat z jakobinatem. Gdy w studiu pękła szyba, Takis wyjaśnił, że uderzyła w nie kleopatra, mając na myśli kuropatkę. Radio było jego drugim domem. Pracował nocami, żartowaliśmy, że przyjeżdżał w piżamie, był niezastąpiony. W czasie wolnym chętnie biesiadował na swojej działce częstując przyjaciół potrawami macedońskimi. Był fenomenem radia. Miał 86 lat.*



Wiesław Miller (1957-2020)

7 grudnia 2020 roku odszedł Wiesław Miller, dziennikarz. Przez wiele lat specjalizował się w tematyce sportowej, później był recenzentem, reporterem, publicystą, sekretarzem redakcji, redaktorem naczelnym. Jak mało kto znał historię współczesną Koszalina, przez 30 lat opisując składające się na nią wydarzenia.

Urodził się w 1957 roku w Koszalinie. Ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Dubois, a w 1981 roku Wydział Dziennikarstwa na Uniwersytecie im. Karola w Pradze. Pracę zawodową rozpoczął w „Głosie Pomorza”, gdzie zajmował się sportem. W 1991 roku przeszedł do pierwszej w regionie i drugiej w kraju po transformacji prywatnej gazety codziennej „Gońca Pomorskiego”. Dziennik ukazywał się w czterech województwach Polski północno-zachodniej. Po likwidacji gazety w 1995 roku współtworzył „Tygodnik Koszaliński/Tygodnik Słupski”, którego wydawcą były Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie. Tam był sekretarzem redakcji, pisał recenzje filmowe i muzyczne. W latach 1998-2006 był koszalińskim korespondentem „Kurieria Szczecińskiego”, a w kwietniu 2006 roku wszedł do ścisłego grona dziennikarzy tworzących nowe pismo na koszalińskim rynku wydawniczym. Do 2013 roku, najpierw w dzienniku, a potem tygodniku „Miasto”, był reporterem miejskim, szefem działu miejskiego, zastępcą redaktora naczelnego, przez kilka ostatnich lat redaktorem naczelnym.

Wrócił do „Kurieria Szczecińskiego”, współtworzył „Fakty. Tygodnik Koszaliński” i „Głos Miasta”. Długie lata współpracował z – wydawaną przez Starostwo Powiatowe – „Gazetą Ziemską”. Poza sportem, jego pasjami była muzyka i film. Był znawcą kina, chętnie dzielił się opiniami o klasyce i nowościach. O muzyce rockowej w wydaniu polskim i zagranicznym zaczął pisać najwcześniej, już na początku lat 80. XX wieku do miesięcznika „Pobrzeże”. Był barwną postacią środowiska prasowego. Łącznikiem pokoleń dziennikarzy; pracował z powojennymi, a uczył zawodu tych, którzy przyszli do dzienników po 1989 roku.

Dziennikarze, którzy z nim pracowali opowiadają: – Wiesław miał ogromną wiedzę z wielu dziedzin, czasami zaskakiwał nas, czym się interesował. Potrafił szybko zdobyć informację i wyłowić z niej sedno. Był wymagającym sekretarzem, bardzo pracowitym reporterem miejskim. Nie lubił rezygnować z tematu, twarzą bronił swoich stanowisk. Kolegia redakcyjne z udziałem Wieśka bywały miejscem ostrych sporów. Jego śmierć to ogromna strata. Zmarł nagle. Miał 63 lata.

Nagrody Prezydenta Koszalina za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury

Kapituła konkursu obradowała w składzie: Krystyna Kościńska (przewodnicząca), Bożena Kaczmarek, Anna Mętlewicz, Leopold Ostrowski (przedstawiciele Komisji Kultury Rady Miejskiej), Elżbieta Malczewska-Giemza, Maciej Osada-Sobczyński, Mariusz Rodziewicz, Łukasz Waberski (przedstawiciele Rady Kultury przy Prezydencie Miasta), Dorota Pawłowska – dyrektor Wydziału Kultury i Spraw Społecznych, Marzena Śmigielńska – kierownik Referatu Kultury i Sportu Wydziału KS.

Wpłynęło 40 wniosków, przyznano 22. nagrody.

Nagrody za całokształt wieloletniej pracy artystycznej, twórczej oraz działania na rzecz upowszechniania i promocji kultury

Mirosław Gliniecki. Aktor, reżyser, pedagog teatru, autor scenariuszy teatralnych, współtwórca i szef artystyczny Teatru Stop. Od 30 lat zajmuje się edukacją teatralną; prowadzi warsztaty w kraju i poza jego granicami. Wraz z Teatrem STOP występował na wielu prestiżowych festiwalach. Prowadzi zajęcia dydaktyczne w koszańskiej Gdańskiej Wyższej Szkole Humanistycznej.

Lucyna Maksymowicz. Konsultantka Teatru Stop ds. edukacji, pedagoga-terapeutka, instruktorka teatralna, aktorka, autorka scenariuszy. Z wykształcenia dr nauk humanistycznych. W Teatrze Stop prowadziła cykliczne warsztaty teatralne i dramowe, w tym także dla dzieci specjalnych potrzeb edukacyjnych. Pracownik badawczo-dydaktyczny w Katedrze Pedagogiki i Studiów Edukacyjnych Wydziału Humanistycznego Politechniki Koszalińskiej.

Piotr Krótki. Aktor, reżyser, dramatopisarz. Od 1985 r. na scenie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego – wystąpił w blisko 120. spektaklach. Jako dramaturg zrealizował *Historię Polaka w obrazkach czyli odlot w czasie 2* oraz *Krótki(ego) zarys historii Teatru*. Według jego adaptacji scenicznej powstał spektakl *Piosenka jest dobra na wszystko* (2018). Wyreżyserował m.in. *Dzieła wszystkie Szekspira w nieco skróconej wersji* (2007), *Wigilię Pani Skurcz* (2019), a w 2020 roku monodram *Audycja IV*, który również zagrał.

Nagrody za osiągnięcia w dziedzinie kultury (dorośli)

Wiktor Kazubiński. Absolwent Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych. Laureat I miejsca w V Paris International Music Competition we Francji (multiinstrumentalny konkurs internetowy open, adresowany do młodzieży i dorosłych; uczestnicy uczniowie profesji muzycznych z krajów europejskich) oraz I miejsca w V Madrid Internacional Music Competition w Hiszpanii.

Jacek Piotr Kujawski. Kontrabasista w Filharmonii Koszalińskiej, pedagog Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Kołobrzegu. Studiuje na wydziałach dyrygentury i kompozycji Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. W 2020 r. w repertuarze FK znalazły się dwa skomponowane przez niego utwory symfoniczne: koncert na kontrabas i orkiestrę smyczkową oraz bajka *W zaczarowanym ogrodzie ciotki Nutki*.

Waldemar Miszczor. Wiceprezes i aktor Stowarzyszenia Teatr Propozycji „Dialog”. Autor muzyki i współtwórca spektakli *Równowaga*, *Kłamstwo*, *Pamięci ludzi i wierszy*, *Pustka i światło*. Zajmuje się grafiką komputerową, prowadzi stronę internetową i współtworzy miesięcznik kulturalny „Dialog Art”. W ramach działań warsztatowych z grupą młodzieży wyreżyserował i zmontował etiudę filmową *Drzewo Czarownic*.

Mateusz Prus. Dziennikarz, inicjator i organizator Good Vibe Festival. Pomimo pandemii z Fundacją Nauka Dla Środowiska doprowadził do realizacji kolejnej edycji tego wydarzenia. Zrealizowano cztery

koncerty, które odbyły się w nowych, odkrytych na potrzeby festiwalu, miejscach: dziedzińcu Politechniki Koszalińskiej, placu Polonii, parku Książąt Pomorskich, katedrze NPNMP. Zaproszone zespoły reprezentowały nową falę polskiej muzyki jazzowej i elektronicznej.

Kacper Wojcieszek. Tancerz, choreograf, współwłaściciel i dyrektor artystyczny Teatru Muzycznego Adria, otwartego w 2020 roku. Przyczynił się do uzyskania amerykańskiej licencji na wyprodukowanie światowej rangi musicalu *The Bodyguard*. Wyprodukował oraz wyreżyserował musicale: *Grease*, *Showlesque*, *O Mamma Mia*, *Świąteczny Szał Przebojów*.

Nagrody I stopnia za osiągnięcia w dziedzinie kultury (dzieci i młodzież)

Gabriela Bortnowska. Uczennica ZPSM w Koszalinie w klasie fortepianu. Pracuje pod kierunkiem Pawła Bortnowskiego. Uczestniczyła wielu konkursów, które w 2020 roku w większości odbywały się w formule online. Laureatka I miejsca w International Music Competition w Belgradzie. Zdobyła również I miejsce w IV Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. N. Perelmana w St. Petersburgu i II miejsce w XX Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. Juliusza Zarębskiego w Łomiankach. Uczestniczyła w Międzynarodowym Forum Pianistycznym „Bieszczady bez Granic” w Sanoku i zdobyła jedną z najwyższych nagród Forum – Złoty Parnas. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Julia Chojnacka. Uczennica klasy I OSM II st. w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, w klasie skrzypiec dr Natana Dondalskiego. Zdobywczyni m.in. I miejsca w International Music Competition „The Art of Strings” – Great Composers Competition w Londynie i I miejsca w II Konkursie Skrzypcowym Muzyki Polskiej im. Wandy Wiłkomirskiej w Częstochowie, w którym wzięło udział 70 uczestników. Laureatka XVII edycji Programu Stypendialnego MKiDN „Młoda Polska”, stypendystka Centrum Edukacji Artystycznej, przyjęta do Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci.

Wiktor Dziedzic. Uczeń w klasie skrzypiec dr Natana Dondalskiego w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie. Zdobył m.in. I miejsce w International Internet Music Competition „IMKA”

w Sarajewie, I miejsce w V „North” International Music Competition w Sztokholmie oraz I miejsce w „Proviolin 2020” International Competition w Hiszpanii. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci.

Nagrody II stopnia za osiągnięcia w dziedzinie kultury (dzieci i młodzież)

Anieli Dąbrowska. Uczy się gry na gitarze pod kierunkiem Zbigniewa Dubielli w Pałacu Młodzieży w Koszalinie. Uzyskała II miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Gitarowym „Hity na gitarze” Koszalin 2020 oraz II miejsce w VII Festiwalu Piosenki Gitarowej we Włodawie.

Maja Jodłowska. Uczennica klasy II OSM II st. w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, w klasie gitary Piotra Tyborskiego. Laureatka II miejsca w VII Ogólnopolskim Konkursie Gitarowym „Hity na gitarze” w Koszalinie oraz II miejsca w V Paris International Music Competition w Paryżu (online).

Anna Łodzińska. Dziewięcioletnia uczennica Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie. Członkini Zespołu Akordeonowego AKORD. Gry na akordeonie uczy się pod kierunkiem Artura Zajkowskiego. Zdobyła III miejsce w Międzynarodowym Konkursie Akordeonowym „Prikamie” w Perm w Rosji. Jest również laureatką III miejsca w Międzynarodowym Konkursie Akordeonowym „ASTANA” w Nur-Sultan w Kazachstanie.

Borys Palonek. Dziesięcioletni uczeń Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, w klasie fortepianu Pawła Bortnowskiego. Zdobył I miejsce w International Music Competition w Belgradzie (konkurs internetowy), w którym uczestniczyli muzycy z Polski, Rosji, Ukrainy, Serbii, Kostaryki, Kazachstanu, Kataru, Mongolii, Rumunii, Francji, Wietnamu, Bułgarii, Mołdawii, Turcji, Słowenii.

Hanna Skupień. Miłośniczka fotografii. Umiejętności zdobywała w Pałacu Młodzieży w Koszalinie pod kierunkiem Moniki Kałkowskiej. Zdobyła III miejsce na XIX Przeglądzie Fotografii Dzieci i Młodzieży „Kontrasty” w Gorzowie Wlkp. Zakwalifikowała się do

wystaw: Ogólnopolskie Biennale Plastyczno-Fotograficzne Dzieci i Młodzieży „Przyroda” w Radomiu i wystawy X Międzynarodowego Konkursu Fotograficznego „Matematyka w obiektywie” w Szczecinie.

Martyna Skuza. Uczennica w klasie skrzypiec dr Natana Donaldskiego w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie. Laureatka II miejsca w Międzynarodowym Konkursie Muzycznym „VI North International Music Competition” w Sztokholmie. Konkurs odbywał się w formule online, a Martyna Skuza była jedną z najmłodszych uczestniczek. Została przyjęta do programu Pomocy Wybitnie Zdolnym na rok szkolny 2020/2021 Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci.

Borys Szczukutowicz. Uczeń Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, w klasie fortepianu Pawła Bortnowskiego. Zdobywca I miejsca w International Music Competition w Belgardzie (konkurs online).

Nagroda za wspieranie działalności kulturalnej Mecenas Kultury 2020

Wanda Stypułkowska, MPS International Sp. z o.o.

W zarządzanej przez siebie firmie MPS International w 2016 roku stworzyła Galerię MPS – otwartą na uzdolnionych artystycznie pracowników oraz lokalnych twórców. W 2020 roku Galeria MPS przeniosła swoją aktywność do internetu, nawiązała współpracę z Centrum Kształcenia Ustawicznego w Koszalinie. MPS International jest sponsorem wielu inicjatyw i wydarzeń kulturalnych. W 2020 były to: koncert online duetu Lucy & Tom, III Konkurs Fotograficzny „Twórczy Koszalin”, książka *Linia życia* Magdaleny Omilianowicz. Zainicjowano także akcję bookcrossingu.

Adrianna Angelard, Hotel Bursztynowy Pałac

Jest sponsorem wspierającym działania Stowarzyszenia Teatr Propozycji „Dialog” im. Henryki Rodkiewicz w Koszalinie. W 2020 r. hotel gościł m.in. jurorów i uczestników Festiwalu Debiutów w Monodramie „Strzała Północy”, Krystynę Prońko, Lecha Dyblika. Był także sponsorem nagrody za zajęcie I miejsca XXXI Turnieju Recytatorskiego im. C. K. Norwida.

Nagroda za działania w zakresie kultury Kulturalna Inicjatywa Roku 2020

Rok Gracjana Bojara-Fijałkowskiego w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej.

Adresatami działań byli mieszkańcy Koszalina i powiatu koszalińskiego, a celem upamiętnienie sylwetki Gracjana Bojara-Fijałkowskiego oraz popularyzacja legend regionalnych. Mieszkańcy wzięli udział w wydarzeniach online w ramach Legendarnych Dni Koszalina, w okresie wakacyjnym miało miejsce odsłonięcie tablicy upamiętniającej pisarza w filii nr 3 KBP (z udziałem dzieci pisarza), cykl pieszych rajdów *Śladami koszalińskich legend na Górze Chełmskiej* oraz gra miejska *Wytropić zbójców z Gracjanem*. Projekt otrzymał dofinansowanie z NCK w ramach Programu *Kultura – Interwencje 2020*.

Nagroda za realizację przedsięwzięcia artystycznego Wydarzenie Kulturalne Roku 2020

Musical *The Bodyguard*

Pierwsza realizacja otwartego 26 września 2020 roku prywatnego Teatru Muzycznego Adria, stworzonego przez Kacpra Wojcieszka oraz Magdalenę Łoś-Wojcieszek. Jako pierwszy w Polsce teatr otrzymał amerykańską licencję na wyprodukowanie musicalu na bazie słynnego filmu. Polska została też szóstym państwem w Europie, które uzyskało zgodę na realizację musicalu. *The Bodyguard* wystawiono 11 razy, obejrzało go 1125 osób. Casting przyciągnął młodych wykonawców z całej Polski. Spektakle oglądali goście m.in. z Łodzi, Poznania, Gdyni, Gdańska, Rzeszowa, i Krakowa, a także Wielkiej Brytanii i Niemiec.

Spis treści

WSTĘPY	3
KULTURA W KWARANTANNIE	5
Piotr Pawłowski <i>Co drugi hotel pusty</i>	6
Aleksandra Barcikowska <i>Po dwóch stronach ekranu</i>	14
<i>Jak minął 2020 rok?</i>	18
WYDARZENIA	23
ARCHITEKTURA/DESIGN	
Jarosław Jurkiewicz <i>Konserwatorski Oscar za remont kościoła</i>	24
Mateusz Prus <i>Amfiteatr rośnie w oczach</i>	28
Tomasz Ogonowski <i>Biblioteka przyszłości</i>	32
Andrzej Mielcarek <i>W świecie znaków</i>	36
Piotr Pawłowski <i>Sara Olszewska: Teraz może być już tylko lepiej</i>	42
FILM	
Justyna Horków <i>Młode kino w trudnych czasach</i>	46
Anna Rawska <i>Festiwal w ważnej sprawie</i>	50
Marcelina Marciniak <i>Sztuka lockdownu w dokumencie filmowym</i>	54
Joanna Krężelewska <i>Filmowe historie przypomniane</i>	55
Magdalena Wojtaszek <i>Skazana na aktorstwo</i>	58
FOTOGRAFIA	
Marta Adamczak <i>Fotografia jak życie – życie jak fotografia</i>	62
Mateusz Prus <i>Z aparatem i kamerą wśród bloków</i>	65
LITERATURA	
Dana Jurszewicz <i>Co się wydało w 2020 roku?</i>	68
Jarosław Jurkiewicz <i>Całe życie pracował na własny pomnik</i>	72
Joanna Wyrzykowska <i>Magda w krainie ludzi</i>	76
Joanna Wyrzykowska <i>Czytamy, bo świat nas nie goni</i>	79
Sylvia Olesiak <i>Podróże z pisarzami</i>	82
Anna Makochonik <i>Rok z legendami</i>	86
MUZYKA	
Beata Górecka <i>Inny, ale intensywny rok Filharmonii</i>	88
Beata Górecka <i>Nie zawiedliśmy słuchaczy</i>	94
Jakub Staniak <i>Dobre wibracje nie odpuszczają</i>	96
Mateusz Prus <i>Muzyka z Koszalina: rap, bity i jazz</i>	100

Maja Ignasiak <i>Apetyt na muzykę</i>	103
Maja Ignasiak <i>Nasz profesor, Andrzej Cwojdzński</i>	106
Jarosław Jurkiewicz <i>Arystokrata estrady</i>	110
Magdalena Wojtaszek <i>Populizm i black metal na pianinie</i>	114

PLASTYKA

Dana Jurszewicz <i>Sztuki plastyczne w cieniu pandemii</i>	117
Anna Popławska <i>Galeria Ratusz: dwie dekady dla sztuki</i>	122
Anna Popławska <i>Codziennosc niecodzienna – nowa wystawa stała w Muzeum</i>	125
Piotr Pawłowski <i>Czuje, ale nie wszystko potrafię nazwać</i>	129
Piotr Pawłowski <i>Pożegnaliśmy Edwarda Rokosza</i>	134

TEATR

Marcin Napierała <i>Grali mimo wszystko</i>	136
Izabela Nowak <i>Dialogowe premiery, goście i pandemia</i>	142
Justyna Horków <i>Suma wszystkich traum, piknik i farsa w Madrycie</i>	146
Izabela Nowak <i>Uniwersalna tematyka i zmiana formuły</i>	152
Joanna Krężelewska <i>Czas w Dialogu to dobry czas</i>	156
Piotr Pawłowski <i>Teatr jest zaborczy</i>	158
Anna Makochonik <i>Dramaturg w średnim mieście</i>	165
Katarzyna Kuźel <i>Scena jest dla mnie wszystkim</i>	169

KULTURA I POGRANICZA

Aleksandra Barcikowska <i>Wsparcie dla upowszechniających kulturę</i>	174
Marcin Napierała <i>Zamiast jubileuszu – pożegnanie</i>	176
Marcelina Marciniak <i>Kulturę jamneńską ocalić od zapomnienia</i>	180
Andrzej Mielcarek <i>Wystawa, która wybrzmi</i>	182
Marcin Napierała <i>Adria wraca do korzeni</i>	184
Karolina Pawłowska <i>Koszalin śpiewa w chórze</i>	187
<i>Miesięcznik, portal i rocznik</i>	190

POŻEGNANIA/PODSUMOWANIA

Pożegnania	192
Nagrody Prezydenta Koszalina 2020	195
Autorzy „Almanachu Kultury Koszalińskiej 2020”	200

Autorzy Almanachu Kultury Koszalińskiej 2020

Marta Adamczak: fotografka, kuratorka wystaw

Aleksandra Barcikowska: dziennikarka

Beata Górecka: dziennikarka

Justyna Horków: graficzka

Maja Ignasiak: dziennikarka

Jarosław Jurkiewicz: publicysta

Dana Jurszewicz: dziennikarka

Joanna Kręzelewska: dziennikarka

Katarzyna Kuźel: dziennikarka

Anna Makochonik: dziennikarka, redaktorka

Marcelina Marciniak: dziennikarka

Andrzej Mielcarek: publicysta, wydawca

Marcin Napierała: dziennikarz

Izabela Nowak: publicystka

Tomasz Ogonowski: publicysta, dramaturg

Sylwia Olesiak: bibliotekarka

Magdalena Pater: fotografka

Karolina Pawłowska: dziennikarka

Piotr Pawłowski: dziennikarz, publicysta

Anna Popławska: dziennikarka

Mateusz Prus: dziennikarz

Anna Rawska: dziennikarka

Izabela Rogowska: fotografka

Jakub Staniak: dziennikarz

Magdalena Wojtaszek: dziennikarka

Joanna Wyrzykowska: dziennikarka

